www.tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 24 (1118)
7-13.06.2021
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

Zakopane przejęte przez deweloperów

Senator Lidia Staroń nie szanuje wyroków

Ambasador Izydorczyk
Ścigam każde kłamstwo

Jak zagraniczni studenci oswoili Polskę

PO-PiS NA OSTATNIEJ PROSTEJ

Rozmowa z prof. Jackiem Raciborskim

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
24 >
9 771509 311102

eprasa.pl 86890ebbab

10 LAT AURORA

PIERFRANCESCO FAVINO

MICAELA RAMAZZOTTI

KIM ROSSI STUART

CLAUDIO SANTAMARIA

NAJLEPSZE LATA

REŻYSERIA GABRIELE MUCCINO („W POGONI ZA SZCZĘŚCIEM", „SIEDEM DUSZ")

40 lat przyjaźni. Od niewinnej młodości po blaski i cienie dorosłego życia

W KINACH OD 18 CZERWCA

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa"

eprasa.pl 86890ebbab

Jerzy Domański

Nawrocki – ostatni prezes IPN?

Mamy mieć nowy Polski Ład. Polacy dzięki dojnej zmianie trafią do raju. Już za piątej kadencji PiS nasza ojczyzna będzie potęgą, a nasze życie będzie przepiękne. Brzmi to jakoś znajomo. Choć trąci dość prostacką podróbą. Jeśli ktoś chciałby wiedzieć, dokąd zmierzamy pod batutą prezesa Kaczyńskiego, może zajrzeć do Instytutu Pamięci Narodowej. Ten od dawna korzysta z wszelkich możliwych dobrodziejstw, jakimi dysponuje władza. Od dwóch dekad nic tak bujnie nam się nie rozwinęło jak IPN. Gdyby zsumować budżety, jakie trafiły tam od 2000 r., okazałoby się, że dosłownie wszyscy obywatele, choć niepytani o zdanie, zasponsorowali tę instytucję wieloma miliardami złotych, luksusowymi lokalami i płacami, o jakich nauczyciele czy naukowcy nawet nie marzą. W IPN-owskim Ładzie nawet premie dla kierownictwa i jego najgorliwszych popleczników są bajkowej wielkości.

Ład ładem, ale nawet hurraoptymiści wiedzą, że nie ma darmowych obiadów. Skąd więc tak niezwykła hojność władzy wobec tworu kierowanego jeszcze formalnie przez Jarosława Szarka? Bo choć Szarek bardzo się starał i gorliwością przebił wszystkich poprzedników, i tak rządzącym nie dogodził. Z Karolem Nawrockim nie mógł wygrać. Rywal był szybszy w zgadywaniu oczekiwań władzy. W nagrodę, bez względu na decyzję Senatu, jest już prezesem IPN. Oby ostatnim. I na krótko. A do tego czasu będzie tam jak dotąd. Bo, po pierwsze, władza płaci pieniędzmi z budżetu, na który w większości składają się ludzie, dla których IPN z przybudówkami jest czymś ze snu wariata. A po drugie, za to często paszkwilanckie i usługowe fałszowanie historii trzeba dobrze płacić. Nawet najwierniejsi producenci kolejnych wersji historii Polski nie są aż taki głupi, by robić to z innych pobudek niż bardzo godziwe zarobki.

Kuriozalność IPN, i to na skalę światową, polega również na tym, że tę firmę tak skonstruowano, że jest w pełni samowystarczalna. Trzy w jednym: instytut badawczy, prokurator i sąd.

Badają przeszłość według własnych bardzo specyficznych kryteriów. A na bazie tego, co chcą udowodnić, wydają broszury, które nazywają książkami naukowymi. Choć są one wyłącznie propagandowymi aktami oskarżenia. I wyrokami politycznymi. Jeśli czegoś im jeszcze brakuje, to funkcji egzekucyjnych w sprawach personalnych.

Cmentarze, pomniki i nazwy ulic czy placów likwidują przecież taśmowo, potwierdzając swój barbarzyński charakter.

Dobrze, że Lewica przygotowała projekt ustawy likwidującej tę niesławną instytucję.

BĄKOWSKI

CYTATY

DR AGNIESZKA GRAFF, feministka, wykładowczyni na UW
Na studia humanistyczne trafia masa ludzi, którzy czytaniem gardzą, a czytających mają za frajerów.
„Wysokie Obcasy"

PROF. TADEUSZ KLEMENTEWICZ, politolog
Za rządów PiS cały kraj stał się rezerwuarem taniej pracy i niskich podatków.
„Trybuna"

DOŁĄCZ DO NAS
Bądź bliżej PRZEGLĄDU!

eprasa.pl 86890ebbab

W NUMERZE

KRAJ

8 **Pada kartel PO-PiS**
– rozmowa z prof. Jackiem Raciborskim
12 **Jak Lidia Staroń szanuje wyroki**
Sprawiedliwość dla swoich
14 **Dron z jasnego nieba**
Tureckie zakupy dla wojska
17 **Księstwo deweloperów**
Zakopane jak ogromny plac budowy
20 **Sen o polskich szczepionkach mRNA**
Szumne zapowiedzi, brak efektów
23 **Każde kłamstwo ścigam**
Ambasador Izydorczyk kontra Papierz
24 **Straszenie śmiercią klasy średniej to niedorzeczność**
– rozmowa z Łukaszem Komudą
28 **Jak wójt z radą**
Konflikt w gminie Grunwald

ZAGRANICA

32 **Mieszkaniowa segregacja**
Korespondencja z USA
36 **Marsze przez Tęczowy Most**
Korespondencja z Kanady
38 **Paryż ślepy na masakrę Tutsi**
Kolonialny wymiar ludobójstwa

HISTORIA I OPINIE

40 **Droga do wolności. Waryński**
Niepodległość droższa niż rewolucja
42 **Paweł Siergiejczyk**
Lew(icow)y czerwcowy
44 **Jerzy J. Wiatr**
Zrozumieć Walickiego

KULTURA

46 **Jak ona mogła tego nie zrozumieć?**
– rozmowa z Anną Cieślak
49 **Qulturalia**
66 **Etno Beaty Bojdy**

OBSERWACJE

50 **Międzynarodowa Przyjaźń**
52 **Polska gościnność na egzaminie**
Oczami zagranicznych studentów

ZDROWIE

55 **Internetowe testy DNA**
Klucz do zdrowia czy zagrożenie?
56 **Niezdarna zdalna**
Z home office na L4

ZWIERZĘTA

58 **Bieliki są trochę jak my**
Ptaki, które długo dojrzewają

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Nawrocki – ostatni prezes IPN?
27 **Jan Widacki**
Obrońcy mitu
31 **Andrzej Romanowski**
Ekscesywność
35 **Roman Kurkiewicz**
Ja internacjonał, kosmopolit
41 **Tomasz Jastrun**
Wstydliwa choroba
45 **Wojciech Kuczok**
Domy niespokojnej starości

46
KULTURA

JAK ONA MOGŁA TEGO NIE ZROZUMIEĆ?
– rozmowa z Anną Cieślak

52
OBSERWACJE

POLSKA GOŚCINNOŚĆ NA EGZAMINIE
Oczami zagranicznych studentów

58
ZWIERZĘTA

BIELIKI SĄ TROCHĘ JAK MY
Ptaki, które długo dojrzewają

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. WITOLD ROZBICKI/REPORTER

eprasa.pl 86890ebbab

4 czerwca 1989 – tajne porozumienie Kremla i Białego Domu

Każda próba racjonalizowania tych procesów historycznych, które obrosły romantycznymi legendami, spotyka się ze wściekłym oporem większości. Ludzie chcą wierzyć w mity, teorie spiskowe, propagandową spyżę serwowaną przez kolejne ugrupowania i orientacje polityczne. Nie chcą prawdy, są zbyt leniwi, żeby zdobywać wiedzę, myślenie ich potwornie męczy, wolą jak krasule w oborze przeżuwać, co im gospodarz pod pysk podsunie. A takie artykuły jak ten to dla mnie objawienie w tym zalewie głupot i kłamstwa. „Sławianie, my lubim sielanki", pisał Mickiewicz w III części „Dziadów". Jak widać, wieki mijają, ale obłuda i ciemnota trzymają się mocno.

Anna Kremiec

•

Tzw. komuniści troszczyli się, na ile było to możliwe w ówczesnej sytuacji geopolitycznej, o dobro Polski. A dzisiaj solidaruchy robią wszystko, żeby ją osłabić i oddać pod wpływy Putina. Takie tam paradoksy historii.

Mateusz Wróbel

•

Jaki komunizm? Gdzie i kiedy zgodnie z marksizmem nie było własności prywatnej, a podział wytworzonych dóbr działał na zasadzie każdemu według potrzeb? Państwo komunistyczne? Toż to oksymoron – komunizm miał być tworem bezpaństwowym i bezklasowym, w którym praca służyła nie przeżyciu, ale samorozwojowi. Gdzie tak było? Przestańmy karmić wszechogłupiającą propagandę, nazywając socjalizm komunizmem. Już wystarczy, że pokolenie urodzone po 1989 r. wierzy w to, że w sklepach „za komuny" były tylko ocet i musztarda.

Michał Czarnowski

POgrzeb na raty

Czy kiedyś PO była w stanie coś programowo zaproponować? Ch... d... i kamieni kupa, jak powiedział jeden z ministrów Tuska – to był ten program? A drugi, którego niedawno tzw. niezawisły sąd zwolnił z aresztu śledczego, kazał sobie zbudować oddzielne wejście do ministerstwa, żeby nie musieć się spotykać z jego pracownikami. To też był program?

Bohdan Piętka

500+ – hit czy kit?

Może 500+ nie zwiększyło dzietności, ale pozwala rodzinom, w których rodzice zarabiają w okolicach mediany, jakoś związać koniec z końcem. Poza tym znam rodziny mające dwójkę albo więcej pociech, które dzięki temu, że pojawiło się 500+ na każde dziecko, wróciły z emigracji zarobkowej.

Sebastian Wieliczko

ZDJĘCIE TYGODNIA

Muzyka międzygatunkowa. W zoo nieopodal Bangkoku posiłek gromadce lemurów umila plenerowy recital 11-letniej pianistki.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 86890ebbab

Prof. Aleksander Krawczuk, wybitny historyk, znawca kultury i filozofii antycznej, rozpoczyna 100. rok życia. Był bezpartyjnym posłem na Sejm oraz ministrem kultury i sztuki w rządach Messnera i Rakowskiego, aktywnie wzbogacał działalność krakowskiej Kuźnicy. Ad multos annos!

Lewica złożyła w Sejmie projekt ustawy o likwidacji IPN i zastąpieniu go przez Instytut Ochrony Konstytucji. Lewica uważa IPN za niepotrzebny, szkodliwy i kosztujący podatników gigantyczne pieniądze.

Kamila Ferenc, aplikantka adwokacka współtworząca m.in. Fundację Przeciw Kulturze Gwałtu, pełnomocniczka Komitetu Legalna Aborcja bez Kompromisów, zwyciężyła w konkursie Prawnik Pro Bono.

Jan Holoubek został laureatem Nagrody im. Janusza „Kuby" Morgensterna „Perspektywa", przyznanej za najlepszy debiut („25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy"), a ufundowanej przez Polski Instytut Sztuki Filmowej.

Matematyka i fizyka na Uniwersytecie Warszawskim znalazły się po raz kolejny w przedziale od 76. do 100. miejsca w prestiżowym Akademickim Rankingu Uniwersytetów Świata, tzw. szanghajskim.

Od początku pandemii w Polsce infekcję koronawirusem potwierdzono u 2 873 527 osób, z których 73 984 zmarły (stan na 2 czerwca).

1,5 mln zwolnień lekarskich z powodu dolegliwości psychicznych i zaburzeń zachowania wystawiono w 2020 r.

Karol Nawrocki, z nominacji PiS dyrektor Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, po rozwaleniu dorobku poprzedniego kierownictwa muzeum ma chęć zabrania się do IPN. Pierwszy krok to powołanie go przez Sejm na stanowisko prezesa IPN. Teraz czas na decyzję Senatu, ale już wcześniej Kolegium IPN powołało Nawrockiego na wiceprezesa IPN.

Abp Wiktor Skworc, metropolita katowicki, ogłosił, że umowy społecznej dotyczącej zakazu handlu w niedzielę nie można podważać. Mamy więc nową definicję umowy społecznej: mniejszość narzuca wolę większości.

W Bełchatowie z nowym programem kolęd w maju wystartował proboszcz parafii Najświętszej Maryi Panny Nieustającej Pomocy. Pomysł ma szansę na upowszechnienie! Reakcja proboszczów jest entuzjastyczna.

Prawie 520 firm z sektora handlowego zbankrutowało w pierwszym kwartale 2021 r., a pozostałe mają aż 2,1 mld zł niezapłaconych zobowiązań.

PRZEBŁYSKI

Trzy razy neo

Prof. Michał Romanowski, pełnomocnik sędziego Pawła Juszczyszyna, w liście do pierwszej prezes Sądu Najwyższego Małgorzaty Manowskiej opisał ją w sposób, który pokazuje, jak głęboki jest kryzys w tym środowisku. Romanowski drogę zawodową Manowskiej skwitował słowami: „Uważam Panią za osobę, która uzyskała neo nominację na neo sędziego Izby Cywilnej SN i neo nominację na funkcję I Prezesa SN z rażącym naruszeniem prawa". Prezes Manowska ma swoiste podejście do prawa. Zwłaszcza gdy wyroki nie są po jej myśli. Na przykład postanowienie Sądu Okręgowego w Olsztynie w sprawie sędziego Juszczyszyna.

Rojenia o pseudopałacu

Czy pseudozabytkowa makieta pod nazwą pałac Saski to kolejny pomysł dojnej zmiany na wydanie paru miliardów złotych? Najchętniej swojakom. Pałac Saski już przed wojną był koszmarkiem architektonicznym. I to akurat widać na zdjęciach. Dużo gorzej jest z tym, co było w środku. Wiemy tylko tyle, ile się uchowało na dwóch (!) fotografiach. Więcej nie ma, bo wojsko, które tam urzędowało, nie dawało się fotografować.

Jest jeszcze coś. Trochę piwnic odkopanych za czasów Lecha Kaczyńskiego. Tyle że to jeszcze nie zabytek. Społeczna Rada Ochrony Dziedzictwa Kulturowego określiła to jasno: „budowa makiety tzw. pałacu Saskiego jest niezgodna z zasadami i etyką konserwatorską, która wyklucza budowę obiektów nieistniejących".

Duda szuka roboty

Na pochyłe drzewo wszystkie kozy skaczą. A na Andrzeja Dudę skaczą nawet Gmyz i Gociek z „Sieci". Skaczą na prezydenta, bo mogą. I na dodatek kpią sobie z Adriana niemiłosiernie. Uparcie kolportują plotkę, że „ekswiceprezydent" Szczerski, jak już (jeżeli w ogóle) pojedzie na ambasadora przy ONZ, to będzie miał ekstramisję. Ma załatwić Dudzie posadę sekretarza generalnego ONZ. A przynajmniej wysokiego przedstawiciela ONZ do jakichś spraw. Misja samobójcza. Może spróbuje załatwić coś bardziej realnego? Lot na Marsa?

Postawił na słabego konia

Jest jak ćwiartka prezydenta Dudy. Łukasza Rzepeckiego wybrano, bo swoimi nienachalnymi zaletami ustępuje nawet szefowi. Doradca Dudy odpowiada za program „Młodzi w Pałacu". Robota luks: spotkanka, raporciki, jakieś małe knucie i marzenia o wielkiej karierze. Nie spoci się. Jedyny sukces Rzepeckiego to transfer do pałacu Kingi, prezydenckiej córki. Wpadła tam na chwilkę. Ale do CV może sobie wpisać robotę w pałacu.
Rzepecki się stara. Ktoś jednak musi mu powiedzieć, że postawił na słabego konia. Duda to nie jest trampolina do kariery. Dużo sprytniejszy okazał się Piotr Mazurek, pełnomocnik rządu ds. polityki młodzieżowej. Postawił na Kaczyńskiego i winda wiezie go do góry.

FOT. A-MEM, YOUTETUBE (3)

eprasa.pl 86890ebbab

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy Polacy są pruderyjni?

ALEKSANDRA DULAS,
edukatorka seksualna, Fundacja Nowoczesnej Edukacji SPUNK

Jeśli zdefiniujemy pruderię jako udawanie, że seksualność nas nie dotyczy, to przejawiają ją głównie osoby o bardzo konserwatywnych poglądach. Z moich doświadczeń edukatorki wynika, że pruderyjne nie są Polki 60+, które chętnie wchodzą w relacje z mężczyznami i o nich opowiadają, żartują z seksualności itd. Mam jednocześnie wrażenie, że dużo pruderii jest w grupie 40-60 lat. Często obserwuję włączanie się świętoszkowatości zwłaszcza u osób, które mają dorastające dzieci – może dlatego, że chcą im zakomunikować, że „jeszcze nie wolno" albo że „trzeba ostrożnie"? Z kolei młodzież swobodnie mówi o seksie czy ogląda pornografię, ale z drugiej strony potrafi się zawstydzić prostymi rzeczami. Widać, że młodzi ludzie rzadko normalnie rozmawiają o seksualności. Myślę zresztą, że wszystkim nam brakuje takich rozmów. Jeśli chodzi o seks, dużo jest puszczania oka, a nawet rubaszności, natomiast znacznie mniej, szczególnie wśród mężczyzn – szczerego dzielenia się doświadczeniami, wątpliwościami i frustracjami.

ANDRZEJ GRYŻEWSKI,
seksuolog, psychoterapeuta, założyciel Instytutu Psychoterapii Arte Vita

Niestety są. Odpowiada za to klimat społeczny, zwłaszcza silna pozycja Kościoła katolickiego, który dużo mówi o tym, że seksualność jest śliska, dziwna, podejrzana, wręcz zła. W efekcie pruderia jest silnie zakorzeniona także w wielu osobach, które nie są religijne. Oczywiście obyczajowość się zmienia, pokolenie naszych dziadków jest bardziej pruderyjne niż pokolenie rodziców. Objawia się to również w tym, że obecni 30-, 40-latkowie, którzy byli wychowywani przez dziadków, mają silniej zakodowane tego rodzaju zahamowania.

MAŁGORZATA MAJEWSKA-TOMASIK,
psychoterapeutka

Z pewnością są mniej pruderyjni, niż byli. To kolejna sfera, w której bardzo się staramy dogonić tzw. Zachód, czemu zresztą sprzyjają internet i media społecznościowe, co z kolei sprawia, że największą różnicę widać właśnie w tych pokoleniach, które z nowych mediów najczęściej korzystają. Można wręcz zaobserwować pewne wychylenie wahadła w drugą stronę, jak gdybyśmy nieco się zachłysnęli odwilżą obyczajową i nie do końca wiedzieli, co z nią zrobić. Powiedziałabym, że cały czas brakuje nam takiego podejścia do seksu, które jest po prostu zdrowe – podejścia, które z jednej strony jest wolne od pruderii, z drugiej jednak pozwala na to, żeby seks był tylko seksem, a nie manifestem światopoglądowym czy certyfikatem postępowości.

Czytelnik PRZEGLĄDU
TYMOTEUSZ MILAS,

Jeżeli Polaków boli to, że para gejów czy lesbijek trzyma się za ręce i idzie ulicą, jeżeli boli ich widok pary homoseksualistów całującej się w miejscach publicznych, bo geje czy lesbijki nie mogą tego robić bez strachu, że ktoś ich zwyzywa, a w najgorszym wypadku pobije, jeżeli mój sąsiad mówi, że nie powinni pokazywać w telewizji fragmentów nagrań parad równości, bo dzieci na to patrzą – to mamy odpowiedź.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 86890ebbab

Pada kartel PO-PiS

Będziemy mieli wojnę wszystkich ze wszystkimi

PROF. JACEK RACIBORSKI
– kierownik Katedry Socjologii Polityki na Wydziale Socjologii UW. Ostatnio opublikował monografię „Obywatelstwo w perspektywie socjologicznej" i, wraz z zespołem, monografię „Państwo w praktyce. Style działania".

Rozmawia Robert Walenciak

Jak to wytłumaczyć? Najpierw całymi tygodniami obserwowaliśmy konflikty w Zjednoczonej Prawicy: Gowin swoje, Ziobro swoje, prawica się dzieli. Teraz Platforma Obywatelska leci w sondażach, rozsypuje się na naszych oczach. I tak w kółko…

– Te wstrząsy są sygnałem, że polska scena polityczna wchodzi w okres wielkich zmian, w okres rekonfiguracji. W politologii ten proces nazywa się *realignment*. Następuje zmiana dwóch zasadniczych podziałów, które przez lata definiowały polską politykę. Pierwszy, do którego przywykliśmy i który nam stłumił inne, to podział na PiS i anty-PiS – jest on efektywny od 15 lat. Proszę zwrócić uwagę, że to mniej więcej tyle, ile trwał tzw. podział postkomunistyczny.

Czyli na tzw. postkomunę i post-Solidarność – SLD kontra AWS i UW.

– Podział na PiS i anty-PiS wyłonił się w roku 2005 i organizował nam życie aż po ostatnie wybory prezydenckie. Ale ten podział przysłania jeszcze inny twór, który chyba też pęknie. Mianowicie załamuje się partyjny kartel PO-PiS. To jest trochę inny fenomen, opisali go Richard S. Katz i Peter Mair – że oto dwie partie, lub więcej, tworzą nieformalny układ, swoisty kartel, i kolonizują państwo, ograniczają konkurencję, całkowicie formatują rywalizację polityczną.

Polska scena polityczna wchodzi w okres wielkich zmian.

Pojęcie kartelu partyjnego w zasadzie więc odnosi się do systemu partyjnego, w którym teoretycznie walczące ze sobą partie wzajemnie się budują.

Ich konflikt jest głównym elementem polityki.

– Układ PiS i anty-PiS to ogólniejsze zjawisko. Ten podział jest bardzo silny na poziomie elektoratów. A PO-PiS to partyjny kartel działający na poziomie czysto politycznym, parlamentarnym, rządowym i może jeszcze regionalnym. Kartel ten blokował dostęp innym partiom i ruchom politycznym do mediów, podtrzymywał korzystną dla dużych partii ordynację wyborczą oraz reguły finansowania partii i kontrolował inne zasoby państwa, chociaż oczywiście w nierównym stopniu, bo rola partii rządzącej była zawsze większa. Sposobem działania kartelu było przede wszystkim zagospodarowanie konfliktu politycznego. Cała polityka jest organizowana przez kwestie, które wnoszą obie te partie. I tylko one. Teraz wiele wskazuje, że oba te mechanizmy się załamują.

Oni nienawidzą PiS nawet za 500+

Skończy się podział na PiS i anty-PiS? Nie wierzę.

– Ten podział uzyska nowe formy organizacyjne. Bo oczywiście na poziomie wyborczym nie widać żadnej zmiany. Nie ma żadnego rozkładu obozu anty-PiS. Ale spójrzmy głębiej

eprasa.pl 86890ebbab

– łatwość przepływów wyborców między PO a Hołownią świadczy o tym, że tak naprawdę dla wyborców jest mało ważne, czy to PO, czy Hołownia, czy nawet Lewica… Wciąż o poparciu decyduje silna niechęć do PiS. Uzasadniana tym, że jest to partia bardzo groźna – antydemokratyczna, antywolnościowa, obskurancka, represyjna wobec kobiet itd. Wszystkie możliwe epitety można wymyślić, tutaj nic się nie zmieniło! Jak wskazuje ostatni raport Sadury i Sierakowskiego, PiS można nienawidzić nawet za 500+. Chociaż tych, co PiS kochają za 500+, jest chyba więcej.

A wyborcy PiS?

– Trwają, jak trwali. Ale widać tam przesłanki erozji, wyodrębnia się formacja Zbigniewa Ziobry. Gdyby pojawił się inny lider – bo Ziobro za dużo na siebie wziął i zwyczajnie się zużył – ale wsparty przez niego i przez jego aktywistów, ten ruch mógłby się rozwinąć, bo wnosi wcale nie egzotyczne problemy. Podejmuje próby oporu wobec procesu federalizacji Europy. Wysuwa argument nie od rzeczy, że skoro zaciąga się wspólne pożyczki, wprowadza podatki bezpośrednio idące na konto Brukseli, jest to przejaw tendencji federalizacyjnej.

Bo jest!

– A on jest temu przeciwny. Argumentuje, że to zagraża tradycyjnie rozumianej suwerenności. W pewnym sensie ma rację. Ale zasada suwerenności państwa ma też aspekt pozytywny – suwerenność to zdolność państwa do dobrego wykonywania jego zadań i efektywnego odpowiadania na potrzeby obywateli. Otóż Polska dzięki Unii i tym transferom będzie silniejsza, jej moc będzie większa. W tym sensie państwo będzie bardziej suwerenne, gdyż będzie lepiej, skuteczniej wykonywać swoje zadania. Ale klasyczne rozumienie suwerenności jest takie, że władza suwerenna to władza niepodzielna, najwyższa, nikomu niepodlegająca! I ono ma swoich zwolenników. Ten spór wewnątrz Zjednoczonej Prawicy jest poważny i wywołuje jej erozję. A przyśpieszyć ją może paradoksalnie rekonfiguracja w obozie anty-PiS, która jest już prawie pewna. Jej elementem, po pierwsze, jest kryzys wewnętrzny w Platformie.

Budka się chwieje.

– To nie tylko kryzys przywództwa, ale i napięcie ideowe. Jego wyrazem były m.in. hasła budowania chrześcijańskiej demokracji, padające ze strony Komorowskiego deklaracje bliskości z PSL, sygnały PSL, że będą się starać budować coś większego, innego. Bo, zdaje się, wszyscy już się pogodzili z tym, że teraz nie będzie nowego rządu, prób obalania itd. Jest też widoczny problem Lewicy i fragmentu KO, tej lewicowej frakcji Nowackiej, Piekarskiej, Jońskiego…

Na czym on polega?

– Może paść hasło rozejścia się dwóch nurtów lewicowych. Sztandar lewicy socjalnej poniesie Razem, otwierające się na współpracę z PiS. A sztandar lewicy liberalnej – Nowacka i jej grupa. Może nawet się ogłosić centrolewicą, co podkreśli możliwość dalszego związku z PO. Obecna lewica parlamentarna może być rozrywana między te bieguny.

Specjaliści i handlarze

Czy może być ktoś trzeci w grze o elektorat lewicowy?

– Tak. Platforma może się zasadniczo przekształcać. Widzimy przecież działania Trzaskowskiego. Odbieram je jako grę o stworzenie ram programowych i instytucjonalnych dla czegoś nowego, co w pewnym momencie może posłużyć do wypłukania Platformy z co cenniejszych działaczy, a także ze środków finansowych. Wyborcy dotychczasowej lewicy będą nie do pogardzenia. To trudne, trzeba wywołać wrażenie, że do gry wchodzą świeże siły, że jest nowa jakość, ale zachować sakiewkę. Nie można więc PO rozwiązać, bo to Platforma ma subwencję z budżetu państwa. Warunkiem sukcesu jest utrata atrakcyjności przez Hołownię. Bo teoretycznie jest też możliwe, że to Hołownia wyssie znaczącą część aktywów z PO. Ale nie stawiałbym na to. Jego sukces nie jest przesądzony. Zwłaszcza że perspektywa wyborów się oddala.

A jeszcze parę tygodni temu mówiono, że wybory są bardzo prawdopodobne, że będzie rząd techniczny.

– Mówiono: rząd techniczny, ekspercki, pod wodzą Kosiniaka-Kamysza… To był raczej żart. Rząd techniczny rzeczywiście z perspektywy anty-PiS powinien być etapem przejściowym przed ostateczną walką wyborczą z PiS. Ale musiałby to być prawdziwie techniczny rząd, złożony z ekspertów, osobistości, a kierowany przez byłego polityka, najlepiej takiego, który mówi: przychodzę na pół roku, tyle jeszcze mogę, raz jeszcze się poświęcę. Mógłby to być ktoś taki jak Kołodko, Pawlak czy Hausner. Albo ktoś bardziej urzędniczy, symbol neutralnej urzędniczej kompetencji – Jerzy Koźmiński!

Z lewicy pan wybiera…

– To może ze strony prawicy Janusz Steinhoff. Poza tym Waldemar Pawlak to raczej nie lewica. Hausner jest fundatorem kierunku kształcenia na uczelniach pod nazwą zarządzanie publiczne, a zarazem osobą bardzo doświadczoną w praktyce rządzenia. Zrobił na mnie wrażenie jego wywiad z początku pandemii, gdy mówił, jak państwo powinno funkcjonować w tej nadzwyczajnej sytuacji, jak zorganizować „produkcję wojenną" wszystkiego: maseczek, środków dezynfekcyjnych, respiratorów, jak przygotować szpitale… Mówił to, czego nie zrobiono. Taka jest Polska – po jednej stronie są specjaliści, którzy wiedzą, na czym polega problem, jak to skoordynować, a po drugiej stronie ma pan kompletny zamęt. Zakupy respiratorów od handlarza bronią, maseczki bez certyfikatów, brak łóżek, brak odzieży ochronnej, tlenu itd. Trzecia fala

Proces restrukturyzacji po stronie antypisowskiej może przebiegać dramatycznie.

Spór wewnątrz Zjednoczonej Prawicy jest poważny. Jej erozję może przyśpieszyć rekonfiguracja w obozie antypisowskim.

eprasa.pl 86890ebbab

nadeszła i co? Rekordowe wskaźniki śmiertelności... Dobre kadry w Polsce naprawdę się marnują.

Wyborcy wycofają się z polityki

Ale przecież szansa na rząd techniczny jest minimalna, za to na wojnę o Platformę bardzo duża.

– Rzeczywiście proces restrukturyzacji po stronie antypisowskiej może przebiegać tak dramatycznie, że przez kilka miesięcy będziemy mieli wojnę wszystkich ze wszystkimi. Drzazgi będą lecieć. Bo walka toczyć się będzie o ten sam elektorat. Ta walka pomniejszy grono wyborców.

Dlaczego? Przecież ci wyborcy nie pójdą do PiS!

– Nie pójdą do PiS, ale wycofają się z polityki. Ich pasywność – to jest niebezpieczeństwo! Wskazują na taki scenariusz doświadczenia z przeszłości. Mechanizm rozkładu SLD był właśnie taki – w 2005 r. jego wyborcy z roku 2001 w ogóle nie poszli do wyborów. Później wrócili, ale zagłosowali na innych. Teraz ci wyborcy antypisowi mogą się zdemobilizować, zanim na nowo nabiorą nadziei na rychłą zmianę. Dlaczego mieliśmy tak wysoką frekwencję w ostatnim cyklu wyborczym? Bo była wielka mobilizacja, wiara, że już! A po drugiej stronie przekonanie, że nasz rząd, nasz prezydent jest w niebezpieczeństwie.

Teraz tej wiary może nie być?

– Jeżeli dojdzie do burzliwych walk po stronie antypisowskiej, do wyrąbywania sobie miejsca bez troski o to, co najważniejsze, skurczy się cały obóz. Bo nie będzie nadziei. Może poza tą, że słabość anty-PiS wywoła podobne procesy w Zjednoczonej Prawicy, bo skoro znika bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty rządu, można powalczyć o swoje.

Ryzykowna to nadzieja.

– Tak, scenariusz w sumie jest negatywny. Zresztą proszę zwrócić uwagę, jak absurdalny był konflikt o środki europejskie! Ratyfikację należało przesądzić w punkcie wyjścia, a spór polityczny koncentrować na sposobie wydatkowania tych środków i mechanizmach nadzoru nad wydatkami. Roztrwonić można każde pieniądze. Pieniądze źle wydane to ogromne obciążenie na przyszłość. Już teraz obserwujemy wiele niepotrzebnych bądź przeskalowanych inwestycji. Deficytowe aquaparki, które są obciążeniem dla gmin, zabetonowane place i skwery, asfaltowane leśne drogi itp. Mnóstwo jest przykładów marnotrawienia środków unijnych. I gdyby Lewica i Platforma chciały pokazać, jak są racjonalne, doświadczone w rządzeniu, już dawno powinny przedstawić całościowy plan wykorzystania tych środków i zarys planu inwestycji. Przetarg z PiS o tego rodzaju kwestie podtrzymywałby jedność obozu antypisowskiego.

> Jest widoczny problem Lewicy i lewicowej frakcji KO – Nowackiej, Piekarskiej, Jońskiego.

To Hołownia jest głównym problemem PO

Lewica przecież się chwali, że utargowała.

– To były pseudonegocjacje. Ale gorsze jest to, co dzieje się teraz – to chwalenie się, że „Lewica załatwiła to Polkom i Polakom". Przejęcie języka PiS irytuje wielu sympatyków Lewicy. To jest dowód porażki w sferze symbolicznej. I może prowadzić do wyborczych strat. Powiem wprost: liderzy Lewicy powinni wiedzieć, że PiS po prostu wk... większość ich wyborców. I nie ma w tym żadnej racjonalności.

Czyli chodzi o sposób komunikowania się.

– Mydlenie oczu pozornymi negocjacjami jest niepoważne. Rozumiem potrzebę rewanżu, bo Platforma w 2019 r. wypchnęła SLD ze wspólnej listy. Potem mieliśmy układanie list do Senatu, tzw. pakt senacki, i wtedy również PO zachowała się oszukańczo. Poziom poparcia sondażowego wskazywał bowiem, że lewicowcy powinni dostać mniej więcej 10 jedynek.

A dostali trzy...

– Mimo to zachowali się dobrze. Przyjęli pakt senacki, choć był niesprawiedliwy. Dlatego rozumiem potrzebę rewanżu, potrzebę podmiotowości. Tylko czy ten rewanż powinien być przy tej okazji i przy takim ryzyku, w tak trudnym momencie? Ale zobaczymy, proces rekonfiguracji się zaczął i dopiero po pewnym czasie sondaże pokażą hierarchię w opozycji.

Wiemy tyle, że Platforma straciła.

– Ale to, co może się zrodzić na gruzach Platformy, może być nowe i świeże. Platforma zresztą już dokonała bardzo ważnego wyboru, który daje jej pewną siłę na przyszłość – ogłaszając jesienią, że popiera prawo do aborcji i nie będzie dążyć do przywrócenia tzw. kompromisu aborcyjnego. Zasadniczy konflikt w tej sprawie już nie będzie niewygodny dla głównego nurtu PO. Bo Platforma zajęła tu wyraźne stanowisko. Za to będzie niewygodny dla Hołowni.

A dla Lewicy?

– Wygodny. Ale jej ta kwestia nie wyróżnia.

Co zatem dalej z Lewicą? Czy dotychczasowy eksperyment trzygłowego smoka sprawdził się, czy nie? Patrząc z perspektywy sondaży – jest słabo.

– Potencjał takiego ugrupowania pozostaje od lat na tym samym poziomie. To ok. 20%. Ale tak może być przy bardzo dobrym układzie, przy podtrzymaniu wizerunku partii jako serca anty-PiS. Tylko że ten wizerunek jest już nie do obrony.

> Może paść hasło rozejścia się dwóch nurtów lewicowych. Sztandar lewicy socjalnej poniesie Razem, a sztandar lewicy liberalnej – Nowacka i jej grupa.

Więc?

– Wszystko zależy od tego, jak będą przebiegać przekształcenia w obozie antypisowskim. Jaka formacja wyłoni się jako główny rozgrywający. Raczej nie będzie to Lewica. Ważne, jak będzie ewoluować PO. Jak Platforma będzie próbowała marginalizować Hołownię, bo to on jest jej głównym problemem, nie

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, MACIEJ MACIERZYŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 86890ebbab

W 2004 r. Jarosław Kaczyński i Donald Tusk nie byli jeszcze po dwóch stronach politycznego firmamentu.

Lewica. Ona nie jest dla PO groźna, zresztą PO ma swoją lewicową frakcję.

Ludzie wierzą, że dostaną po 100 tys. zł

Ale jak te przemiany się skończą, tego nie wiemy.

– Jeśli chodzi o anty-PiS, jesteśmy w stanie przejściowym. Przebudowy. Prawie pewne jest jedynie, że im gwałtowniejszy będzie to proces, im więcej wzajemnych zniewag, tym większe rozczarowanie i apatia w elektoracie antypisowskim.

PiS może triumfować? Oni poza tym są przekonani, że program Polski Ład, te miliardy, da im bardzo dużo.

– Łatwo w takiej sytuacji o rozbudzenie nadmiernych oczekiwań. To może zwrócić się przeciwko PiS. Ludzie uwierzą, że dostaną po 100 tys. zł! Tymczasem gdyby rozdać wszystkim po równo, wypada zaledwie po 20 tys. zł na głowę w ciągu ośmiu lat. Wielkie oczekiwania generują wielkie napięcia. Poza tym jeśli wróci normalna polityka, wrócą normalne konflikty. Nie wierzę w komfort dalszej pracy tego rządu.

Dlaczego?

– Osiągnięciem polskiej demokracji ostatnich lat jest utrzymywanie pewnych mechanizmów blokujących. A to Senat, a to sędziowie, masowe protesty kobiet, istnienie wcale licznych wolnych mediów, Unia, bywało, że Amerykanie. W sumie antypisowska opozycja hamowała rządy PiS, impet jego zmian. Proces erozji rządu PiS rozpoczął się m.in. w wyniku niezdolności do forsowania nowych projektów. To jest widoczne. I sprzyja dezercji z obozu władzy, zwłaszcza dezercji urzędników, którzy zaczną przedkładać literę przepisu nad lojalność wobec politycznych mocodawców. Jeżeli to blokowanie będzie podtrzymywane…

…PiS będzie mniej groźne?

– Rząd PiS będzie się przekształcał *de facto* w rząd techniczny. Będzie trwał. Ale nie będzie miał siły, by wprowadzać radykalne zmiany. I to jest minimum, które opozycja musi jakoś uzgodnić. Nie dopuścić do dalszych zmian w sądownictwie. Ocalić media, uczelnie. Bo na razie klimat na uczelniach jest jeszcze wolnościowy… Zdolność do blokowania, do przekształcania rządu PiS w rząd techniczny musi być podtrzymywana.

Mamy przypływ mocy idei lewicowych

W sumie kończymy mało optymistycznie. PiS pieniądze z Unii niewiele dadzą, anty-PiS będzie miało wojnę wewnętrzną, Lewica na marginesie…

– Ależ mamy przypływ mocy idei lewicowych! One stały się mainstreamowe. Spójrzmy – PO porzuca „kompromis aborcyjny", przyznaje, że mamy do czynienia z klerykalizacją, że jest problem pedofilii, że Kościół źle tu się zachowuje, że jest problem dyskryminacji osób LGBT. Mamy przesunięcie się partii centrum na pozycje wyraźnie świeckie, laickie. Taki stara się być też Hołownia.

PiS z kolei szczyci się, że będzie dawało biednym i zabierało bogatym.

– W PiS mieszają się dwa populizmy: prawicowy z lewicowym. Ale pewien impuls w kierunku redukowania nierówności widać. Idee uważane do niedawna za trzon ideologii socjaldemokratycznych zostały podjęte przez partie, które określały się jako chadeckie, prawicowe itd. To wbrew pozorom utrudnia sytuację formacji nominalnie lewicowych. Mogą pielęgnować pewne nisze, ale to trudne. Wcześniej czy później będzie więc jakaś fuzja, wyłoni się centrolewica, która w perspektywie stanie się elementem nowego kartelu. Tak możemy fantazjować.

Dlaczego tak się dzieje?

– Mówimy o tym od początku. Kończy się dotychczasowy układ. Wybory 2019 i 2020 r. pokazały odwrót młodzieży, zwłaszcza młodych kobiet, od PiS. Także od PO. To musiało podłamać kartel i niezależnie od wszystkich innych okoliczności otworzyć scenę polityczną.

Działania Trzaskowskiego odbieram jako grę o stworzenie ram programowych i instytucjonalnych dla czegoś nowego.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 86890ebbab

Jak Lidia Staroń szanuje wyroki

Rekomendowana przez PiS na rzecznika praw obywatelskich senator Staroń nie uznaje niewygodnych dla siebie orzeczeń sądów

Marek Książek

Dlaczego formalnie niezwiązana z żadną partią senator Lidia Staroń została wytypowana przez Prawo i Sprawiedliwość jako kandydatka na rzecznika praw obywatelskich, dosadnie wyjaśnił wicemarszałek Sejmu Ryszard Terlecki: „Bo bardzo chce". Już od pewnego czasu jej nazwisko pojawiało się w kontekście tego zaszczytnego i odpowiedzialnego stanowiska, ale raczej jako ciekawostka polityczna. Zwłaszcza że taki pomysł rzucił np. Michał Wypij, olsztyński poseł Porozumienia Jarosława Gowina.

Lidia Staroń domagała się praw własności do lokalu użytkowego. Zarząd SM Pojezierze na to się nie zgodził. Tak zaczęła się wojna.

„Rzecznik praw obywatelskich to osoba, która ma łączyć środowiska. Powinna to być osoba, która w swoim życiu broniła najsłabszych. Uważam, że taką osobą jest Lidia Staroń", mówił w lutym br., gdy w Senacie przepadła kandydatura nominowanego przez PiS Piotra Wawrzyka. Przebojowa senator z Olsztyna miała być receptą na impas w wyborze następcy Adama Bodnara. Co prawda, Lidia Staroń jest z wykształcenia inżynierem budownictwa, ale poznaje prawo na co dzień, gdy walczy o sprawiedliwość dla pokrzywdzonych, a dzięki zaciekłym bojom z „mafią spółdzielczą" dostała się do parlamentu.

Bezkompromisowa pani senator

„Mafia" lub „zorganizowana grupa przestępcza" – taką etykietkę Lidia Staroń przykleiła zarządowi Spółdzielni Mieszkaniowej Pojezierze w Olsztynie, z którym toczyła zaciekłą wojnę. Przed wyborami 2005 r. docenił to sam przewodniczący Platformy Obywatelskiej Donald Tusk, który tak publicznie ją wychwalał: „Mimo szykan samotnie doprowadziła do rozbicia mafii spółdzielczej w Olsztynie i aresztowania prezesa. Zdemaskowała powiązanych z korupcyjnym układem sędziów. Podczas pięcioletniej walki szykanowano ją i zastraszano, próbowano zdyskredytować w mediach. W jej samochodzie przecięto przewód hamulcowy, innym razem opony. Nie ugięła się. Wręcz przeciwnie, narastał w niej bunt; konsekwentnie dochodziła prawa". Po takiej laurce wybór na posłankę PO, do której to partii pani Lidia wstąpiła, stał się formalnością. Na jej stronie internetowej zawisła ulotka z rekomendacją „trzech muszkieterów": Donalda Tuska, Bronisława Komorowskiego i Jarosława Gowina.

Nie wiadomo dokładnie, co było z tymi hamulcami i oponami, czy istotnie zostały uszkodzone, ale takie historie dobrze się sprzedają, świadcząc o bezkompromisowości bohaterki. Ważne też, aby jej przeciwnik miał odpowiednio duży format, bo walka z byle kim nie przynosi chwały. Takim przeciwnikiem dla Lidii Staroń stał się Zenon Procyk, prezes SM Pojezierze, były szef rady miasta, uważany w tamtym czasie w Olsztynie za postać bardzo wpływową. Nagłośniony przez media, w tym wiodące stacje telewizyjne, temat różnych nieprawidłowości, jakich miał się dopuścić z „grupą przestępczą" spółdzielni, wkrótce został przekuty w formalne zarzuty. A kiedy w kwietniu 2005 r. Kazimierz Olejnik, zastępca prokuratora generalnego, wygłosił w „Gazecie Wyborczej" zdanie, że „tak wstrząsającej patologii jak w Olsztynie nie widział nigdy", prokurator Grażyna Waryszak z Elbląga wystąpiła o aresztowanie Procyka i dwóch jego zastępców. Zarzuty wydawały się mocne: korupcja, niegospodarność, sprzedaż miejscowym notablom mieszkań po obniżonych cenach, do tego fałszowanie głosowań w organach spółdzielni, co miało ułatwić prezesowi zachowanie stołka.

Stenogramy nielegalnych podsłuchów

Po ośmiu miesiącach spędzonych w areszcie Procyk wrócił do domu, głównie dzięki żonie Krystynie, która jak lwica walczyła o jego uwolnienie. Potem był długi proces, podczas którego zgromadzono początkowo ponad 100 tomów akt, a później przybyło drugie tyle. Przed sądem w Ostródzie przewinęły się tabuny świadków; kto raz zetknął się z prezesem Pojezierza, mógł się spodziewać wezwania na rozprawę. Kilka pierwszych posiedzeń sądu budziło zainteresowanie mediów, zwłaszcza pod koniec lipca 2008 r., gdy pojawiła się tam Lidia Staroń, już jako posłanka PO. Wygłosiła wtedy zdecydowane oświadczenie, jakoby władze spółdzielni stanowiły zorganizowaną grupę przestępczą, i twardo przy tym określeniu się upierała. Sąd jednak nie potraktował tych słów jako dowodu w sprawie, wziął natomiast pod uwagę dowody materialne. Większość zarzutów upadła już w pierwszym procesie, a bulwersująca sprawa zakupu ponoć drogich podzielników ciepła okazała się mocno nadmuchana – zarząd kupił je za średnią cenę, za to ich jakość była lepsza i dzięki temu lokatorzy mogli zaoszczędzić na cieple dostarczanym przez spółkę miejską. Tak samo upadł zarzut budowy „prominenckiego" bloku, w którym mieszkania sprzedawano taniej niż w innych budynkach. Po prostu koszty budowy były niskie i można ją było uznać za wzorcową – oby takich tanich inwestycji było więcej, stwierdzili biegli sądowi, o czym pisaliśmy na łamach PRZEGLĄDU.

Nie doczekał wyroku pierwszej instancji zastępca Procyka, który nie wytrzymał psychicznie nagonki i skoczył z 10. piętra, ponosząc śmierć na miejscu. Nachodzony przez oficera Centralnego Biura Śledczego Andrzej Ł. popełnił samobójstwo w pobliżu lokalu należącego do Lidii Staroń. Co ciekawe, jej walka z Pojezierzem zaczęła się od sporu

eprasa.pl 86890ebbab

Lidia Staroń jest kandydatką PiS na rzecznika praw obywatelskich, „bo bardzo chce".

dotyczącego tego właśnie lokalu użytkowego na terenie spółdzielni. Lidia Staroń domagała się praw własności do tego obiektu, zarząd spółdzielni na to się nie godził, a ona twierdziła, że nalicza jej paskarskie czynsze. Potem skanalizowała ten protest w założonym przez siebie stowarzyszeniu lokatorów. Tutaj interesujący wątek – dziennikarz „Polityki" Piotr Pytlakowski potwierdził nam, że gdy w początkowej fazie zbierał materiały w sprawie rzekomej afery w Pojezierzu, Lidia Staroń zaprosiła go do swojego domu i zapoznała z mężczyznami, których przedstawiła jako oficerów CBŚ. Pokazała mu dostarczone przez nich stenogramy (nielegalnych) podsłuchów, stosowanych wobec Procyka i jego rodziny. A nie powinna mieć do nich dostępu!

Zastępca prezesa Pojezierza nie wytrzymał psychicznie nagonki i popełnił samobójstwo w pobliżu lokalu należącego do Lidii Staroń

Sprawiedliwość dla swoich

Po długich bojach sąd apelacyjny w 2015 r. uniewinnił Zenona Procyka – ale nie w oczach Lidii Staroń, która podtrzymywała swoje zarzuty. I to na jej wniosek, gdy już była senator niezależną (bo PO nie wystawiła jej w wyborach), prokurator generalny minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro wystąpił o kasację wyroku. W kwietniu 2017 r. Sąd Najwyższy oddalił kasację jako oczywiście bezzasadną. W takich wypadkach SN zwykle nie uzasadnia wyroków na piśmie, lecz tym razem, ze względu na wagę sprawy, sędzia sprawozdawca Michał Laskowski szczegółowo wyjaśnił, że nie ma podstaw do podważenia wyroków niższej instancji. Jednak senator Staroń uparcie trwała przy swoim, co uzasadniała w TVP Olsztyn: „Sąd Najwyższy nie rozpoznał kasacji merytorycznie, a szkoda. Oddalił postanowienie z przyczyn formalnych. Uważam, że to klęska wymiaru sprawiedliwości". Oczywiście zinterpretowała ten wyrok bardzo pobieżnie, bo w uzasadnieniu SN aż gęsto od argumentów merytorycznych. Widocznie pani senator bliżej do ludowej mądrości babki Pawlakowej z „Samych swoich": sąd sądem, a sprawiedliwość musi być po naszej stronie!

Jak bardzo Lidia Staroń nie mogła (nie chciała) pogodzić się z prawomocnymi wyrokami, świadczą jej zabiegi o zdyskredytowanie sądów w telewizji zwanej publiczną. Jako gwiazda „Sprawy dla reportera" Elżbiety Jaworowicz wystąpiła również w jednej z pierwszych edycji programu „Kasta". Jego autorzy zajęli się dosyć skomplikowaną sprawą „pani Basi" spod Olsztyna, której główna księgowa Pojezierza nie zwróciła wkładu budowlanego za przejęte mieszkanie. Był to jeden z wątków w procesie przeciw członkom zarządu spółdzielni i księgowa poniosła za to konsekwencje. Ale Procyk od tego zarzutu został całkowicie uniewinniony. Niemniej i on w „Kaście" został zmieszany z błotem, a reporter TVP Info przyznał mu się, że program realizowano „w porozumieniu z panią senator". Być może pretekstem do podjęcia tego tematu stało się wysokie zadośćuczynienie i odszkodowanie, jakie sąd przyznał Procykowi za bezprawne aresztowanie i pozbawienie stanowiska prezesa spółdzielni. W każdym razie pani senator o przeproszeniu go nawet nie myśli, podobnie jak media, które go wcześniej postponowały.

Co ciekawe, kandydatura Lidii Staroń przestała już się podobać Jarosławowi Gowinowi, do którego pani senator ma teraz pretensje, że niespodziewanie poparł prawnika prof. Marcina Wiącka. Wyznała w mediach, że Gowin od wielu miesięcy ją namawiał, słał do niej SMS-y, aby startowała na rzecznika z ramienia Zjednoczonej Prawicy. I nagle zmienił front, podpisując się pod nazwiskiem kandydata opozycji. „Po prostu nie rozumiem tej decyzji", podkreśliła w „Gościu Wiadomości" TVP. Trudno więc się dziwić, że nie jest pewna, jak parlament potraktuje jej aspiracje, chociaż tak bardzo chce być rzecznikiem. ■

FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

eprasa.pl 86890ebbab

W Afganistanie drony były wykorzystywane głównie do tropienia i zabijania bojowników podkładających miny pułapki.

Dron z jasnego nieba

O broni, której brakuje w polskim arsenale

Marcin Ogdowski

Zachodnia interwencja w Afganistanie zaczęła się tradycyjnie – od zmasowanych nalotów. Nad głowami terrorystów przelatywały wówczas m.in. potężne B-52, w ładowniach których mieściło się nawet 31 ton uzbrojenia. Pięcioosobowe maszyny działały wedle zasad przetestowanych w czasie II wojny światowej – ich celem było „przeoranie" wskazanego obszaru, tak by nie został kamień na kamieniu. Różnica sprowadzała się do omijania obiektów cywilnych oraz liczby zaangażowanych samolotów – bazy Al-Kaidy i stanowiska talibów nie wymagały podrywania setek bombowców naraz. Od ostatnich dywanowych nalotów, na Wietnam, minęło 30 lat. Co istotne, właśnie wtedy, na początku lat 70., narodziła się koncepcja wojskowego użycia bezzałogowych aparatów latających. W 2001 r. pomysł miał za sobą okres niemowlęcy, a dla przyjętych na stan urządzeń szukano odpowiedniego zajęcia. Pod koniec dekady Afganistan stał się teatrem działań wojennych, na którym drony odgrywały już niezwykle ważną rolę. Wciąż jednak najistotniejsze zadania powierzano zmechanizowanemu piechurowi i tradycyjnemu lotnictwu. Kilka lat później niepozorne samolociki wzięły na siebie niemal cały wojenny wysiłek Zachodu. Tym samym Afganistan zapisze się w historii jako pierwsza wojna dronów.

Złudzenie niskich kosztów

W drugiej połowie 2013 r. pracowałem w prowincji Ghazni jako reporter akredytowany przy polskim kontyngencie wojskowym (PKW). Polacy nie dysponowali uzbrojonymi dronami, ale dowódca PKW mógł używać maszyn amerykańskich. Z czego korzystał głównie do tropienia i zabijania „kopaczy" – bojowników podkładających miny pułapki. O skali tych operacji świadczyły nacięcia na balustradzie w sztabie kontyngentu – każde odpowiadało zabitemu talibowi. Choć nie były oficjalnym zestawieniem, osoba, która je wykonywała, miała dostęp do bieżących raportów. Pierwsze nacięcia, obejmujące okres działalności XIII zmiany PKW, pojawiły się w maju 2013 r. Gdy wyjeżdżałem z Afganistanu pod koniec października, było ich już 80. A mówimy o niedużej strefie odpowiedzialności i małym zgrupowaniu wojsk. Pięć lat temu rząd USA zdecydował się na publikację danych dotyczących akcji w Pakistanie, Jemenie, Somalii i Libii. Waszyngton przyznał się do prawie 500 ataków w latach 2009-2015, w których zabito ponad 2,5 tys. członków „wrogich formacji zbrojnych". Z raportu wynikało, że śmierć poniosło także 116 cywilów. Pentagon i agencje wywiadowcze nie zgodziły się na ujawnienie informacji na temat użycia bezpilotowców

eprasa.pl 86890ebbab

w strefie „aktywnych działań zbrojnych". Z nieoficjalnych źródeł wiadomo, że spośród 51 tys. poległych w Afganistanie bojowników jedna trzecia padła ofiarą dronów.

Większość dronów pozostaje nieuzbrojona, a używa się ich głównie do misji rozpoznawczych. Pod Hindukuszem wykorzystywano je, by zajrzeć „do środka" wioski będącej na trasie patrolu. Niemniej jednak to bezpilotowce przenoszące rakiety odpowiadają za wspomniane statystyki. Ich operatorzy nie ginęli – maszyny latające nad Afganistanem obsługiwali żołnierze z baz w Niemczech lub USA. I do tego właśnie sprowadza się podstawowy atut dronów – nie generują kosztów związanych ze śmiercią własnych ludzi. Kilka dekad wstecz opinia publiczna przełykała doniesienia o setkach czy tysiącach zabitych „naszych chłopców", dziś znacznie mniejsze ofiary mają moc obalania rządów i zmiany polityki.

Rzeczywistość szybko zrewidowała założenie o niskokosztowej naturze wojny z wykorzystaniem uzbrojonych maszyn. Okazało się bowiem, że operatorzy dronów wcale nie są wolni od psychicznych skutków zabijania. Czynionego zdalnie, ale przez to z większym rozmysłem, poprzedzonego często długim śledzeniem celu, co nie ułatwia jego dehumanizacji. Oglądanie efektów ataku, zwłaszcza gdy nie udało się uniknąć cywilnych ofiar, tylko potęgowało traumę. Obecnie więc wszystkie państwa posiadające rozbudowane floty dronów mają i wdrażają kolejne procedury pozwalające lepiej unikać PTSD wśród personelu obsługującego podniebnych zabójców (krótsze dyżury, podział obowiązków i odpowiedzialności, częstsze badania psychiatryczne itp.).

Dramatyczny poziom udronowienia

Dron to tylko pozornie prosty samolocik. Mówimy o maszynie, która musi działać niezależnie od pory dnia i warunków atmosferycznych (śnieg, deszcz, wiatr), zarówno na niskim, jak i na wysokim pułapie. Przewidzianej do wielogodzinnego utrzymywania się w powietrzu, także w sytuacji utraty łączności i braku możliwości sterowania przez operatora. Istotą drona jest prowadzenie precyzyjnej obserwacji przy użyciu wysokiej klasy kamer i oprogramowania zdolnego w czasie rzeczywistym analizować obraz i wyłuskiwać niezbędne informacje. A przy tym wciąż musi to być urządzenie względnie proste w obsłudze i łatwe do naprawienia – nawet gdy doposażymy je w systemy uzbrojenia. Gotowe do użycia w kilka-kilkanaście minut, bezgłośne, trudne do wykrycia. Ostatecznie więc będące wytworem zaawansowanej technologii z zakresu elektroniki, łączności, materiałoznawstwa i wielu innych. Nic dziwnego, że nieliczne kraje są dziś w stanie zbudować pełną paletę bezpilotowców – od mikrodronów niepostrzeżenie zaglądających w okno, wykorzystywanych przez policję i służby specjalne, po potężne maszyny o zasięgu międzykontynentalnym, przygotowane do przenoszenia 1,5 tony uzbrojenia. Przykładem tego drugiego typu jest amerykański MQ-9 Reaper, którego skrzydła mają rozpiętość 20 m, a pełna masa startowa sięga niemal 5 ton. Od 2019 r. dwa takie drony stacjonują w Mirosławcu jako część amerykańskiego kontyngentu w Polsce.

Miliard złotych na zakup dronów to całkiem realny wydatek. Patrząc na czysto wojskowe korzyści – raczej nieprzydatny.

System Bayraktar TB2 kupujemy wraz z uzbrojeniem – kierowanymi laserowo pociskami.

Mirosławiec miał być stolicą polskich bezzałogowców. Przez lata z szumnych zapowiedzi pisowskich ministrów obrony niewiele wynikało (co nie przeszkadzało Amerykanom w korzystaniu i rozbudowywaniu ich części bazy). Choć na godle tamtejszej jednostki umieszczono drona z podwieszonymi rakietami, sprzętu tej klasy wojskowi nie otrzymali. 12. Baza Bezzałogowych Statków Powietrznych ma na stanie jedynie orbitery, wyprodukowane w Izraelu aparaty rozpoznawcze. To doskonała ilustracja dramatycznie niskiego poziomu „udronowienia" Wojska Polskiego. Armia dysponuje kilkudziesięcioma niedużymi aparatami szczebla taktycznego – obok izraelskich są to polskie drony FlyEye, wyprodukowane przez WB Electronics. Ma też do dyspozycji kilkaset sztuk bezzałogowców samobójców. Ten ostatni produkt, o nazwie Warmate, fachowo określany mianem amunicji krążącej, był swego czasu oczkiem w głowie Antoniego Macierewicza. Dlatego pierwszym użytkownikiem tego uzbrojenia stały się Wojska Obrony Terytorialnej. Co znamienne, słabość armii wcale nie wynika z zapóźnienia rodzimego przemysłu. Państwowa Polska Grupa Zbrojeniowa faktycznie nie ma w tej chwili odpowiedniej oferty, ale prywatny WB Electronics od lat pracuje nad udanymi konstrukcjami, wspomniany już system Warmate eksportując na Ukrainę, do Zjednoczonych Emiratów Arabskich i… Turcji.

FOT. MARCIN OGDOWSKI. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 86890ebbab

Prawdą jest, że do tej pory nie opracowano polskiego bezzałogowca o zastosowaniu operacyjnym – mającego co najmniej średni zasięg i zdolnego przenosić rakiety. Rzecz w tym, że MON oczekiwało na gotowy produkt, czego nie sposób zapewnić bez wcześniejszych umów i finansowania prac konstrukcyjnych. Tak to wygląda na świecie, w takich okolicznościach powstawał turecki Bayraktar TB2.

Drony zwiastują zwrot?

Informacja o zakupie bezzałogowców w Turcji spadła na wojsko niczym grom z jasnego nieba. Wydawać by się mogło, że decyzja o pozyskaniu czterech zestawów, każdy po sześć dronów, ucieszy mundurowych, pozwoli bowiem na częściowe wypełnienie istotnej luki. System Bayraktar TB2 kupujemy wraz z uzbrojeniem – kierowanymi laserowo pociskami – a kontrakt obejmuje także mobilne stacje kontroli, radary, symulatory, pakiety części zamiennych, szkoleniowy i logistyczny. Nasze bezzałogowce wreszcie zyskają kły – można by rzec. Ale czy nie będą to zęby popsute? Napięte stosunki Ankary z innymi członkami NATO zmusiły tureckich konstruktorów do opracowania zamienników wielu kluczowych elementów dronów, wcześniej pozyskiwanych bez trudu na Zachodzie. Czy są one równie niezawodne i skuteczne jak chociażby kanadyjskie silniki i głowice elektrooptyczne? MON na ten temat milczy, a minister Mariusz Błaszczak chwali się kolejnym udanym zakupem sprzętu, który – jak podkreśla – sprawdził się już w warunkach bojowych. I tu znów pojawiają się uzasadnione wątpliwości. Szef resortu obrony ma na myśli zeszłoroczny konflikt azersko-ormiański w Górskim Karabachu. Bayraktary będące na wyposażeniu sił powietrznych Azerbejdżanu rzeczywiście zdziesiątkowały wówczas Ormian. Prezentowane przez Azerów i Turków filmiki z akcji TB2 nie zostały spreparowane. Równie prawdziwe były doniesienia z północnej Syrii, gdzie w lutym ub.r. dronów używali sami Turcy wobec oddziałów rządowej armii syryjskiej. I w tym przypadku TB2 narobiły spustoszeń. Rzecz w tym, że ani Ormianie, ani Syryjczycy nie mieli obrony przeciwlotniczej z prawdziwego zdarzenia. Rosja zaś, którą postrzegamy jako główne zagrożenie, bezbronna w tym zakresie nie jest. Warto wspomnieć, że gdy Syryjczyków w prowincji Idlib wsparli Rosjanie, bezkarne dotąd bayraktary zaczęły spadać, a wojska Asada odzyskały utracone pozycje.

> Tureccy konstruktorzy musieli opracować zamienniki wielu kluczowych elementów dronów. Czy są równie niezawodne i skuteczne?

Być może wcale nie o walory tureckich maszyn chodzi. Nie jest tajemnicą, że polska dyplomacja obraziła się na Stany Zjednoczone po wyborze na prezydenta Joego Bidena. Żałoba po Donaldzie Trumpie trwa, a towarzyszy jej dalsze ochładzanie stosunków z Unią Europejską i dwustronnych relacji z Niemcami i Francją. Kompromitacja idei Międzymorza, obumarcie Trójkąta Weimarskiego, nieudany eurosceptyczny sojusz polsko-brytyjski oraz żałosny w skutkach alians z Węgrami sprawiają, że Polska szuka politycznego partnera. Kogoś, kto byłby przeciwwagą dla tradycyjnych sojuszników III RP, czyli Waszyngtonu i Berlina. O tym, że w głowach pisowskiej wierchuszki zrodził się plan zbliżenia z Ankarą, może świadczyć zachowanie eurodeputowanych PiS. 21 maja br. sprzeciwili się oni rezolucji PE, nawołującej proturecki Azerbejdżan do uwolnienia ormiańskich jeńców wojennych. Kilka dni później prezydent Andrzej Duda podpisał w Turcji kontrakt na dostawy dronów, a prorządowe media informowały z entuzjazmem o mającym nastąpić niebawem przebazowaniu tureckich samolotów myśliwskich na lotniska w Polsce. Pominięto przy tej okazji fakt, że obecność Turków wynika z ich natowskich zobowiązań, że jest częścią rutynowej misji Air Policing, mającej na celu ochronę państw nadbałtyckich, a Sojusz podjął decyzję w tej sprawie wiele miesięcy temu. Sądząc jednak po opiniach internautów, specom od rządowej propagandy udało się stworzyć wrażenie zacieśniania polsko-tureckich więzi. Niewykluczone zresztą, że w całej sprawie właśnie o wrażenie chodzi – o zmitygowanie Waszyngtonu oskarżanego wręcz przez PiS o ignorowanie Polski. Nie chcecie nas, to zbudujemy sobie alternatywny sojusz – tak wówczas należałoby odczytywać posunięcia polskich władz. I jakkolwiek byłyby one grą pozorów, miliard złotych na zakup dronów to już całkiem realny wydatek. Patrząc na czysto wojskowe korzyści – mimo ogromnych potrzeb raczej nieprzydatny.

Marcin Ogdowski
m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 86890ebbab

Księstwo deweloperów

Zakopane zmieniło się w ogromny plac budowy

Paweł Grocholski

– Bierzemy tego urzędnika, prowadzimy w błoto po kolana, a on mówi: tu na mapach jest las. Panie, jaki las? Tu żadnego lasu nikt nie pamięta, przecież tu nigdy nie było drzew, macie jakiś błąd w mapach – opowiadają góralscy robotnicy po zrealizowaniu inwestycji w lesie. Są z niej bardzo dumni, to akurat nie dom ani hotel, lecz wyciąg narciarski. A przy wyciągu, ale innym, nielegalnie postawiona karczma i barwna opowieść o wściekłym góralskim chłopie, który wparował na sesję rady gminy Kościelisko i zbluzgał jednego z radnych za to, że mimo przyjęcia łapówki nie załatwił legalizacji obiektu. Niestety, romantyczne czasy samowoli budowlanych się skończyły. Teraz buduje się z legalnymi pozwoleniami.

– Strategia deweloperów jest prosta i obliczona na lata. Planując poważną inwestycję, wynajdujesz ważnego, decyzyjnego urzędnika – i ten kontakt musi być pewny. Najczęściej szukanie odpowiedniej osoby jest najtrudniejszym etapem inwestycji. Umawiasz się z tym urzędnikiem, jak to się mówi, na kawę i wręczasz mu przykładowo 200 tys. zł, co dla ciebie jest kwotą niewielką, a dla niego dość sporą. Uzgadniasz, że on będzie przez kilka najbliższych lat pilotował twoją sprawę i systematycznie przepychał ją dalej. Ten opłacony urzędnik zajmuje się też dalszą redystrybucją twoich pieniędzy. Podpłaca kolejnych, aż w końcu otrzymujesz pozwolenie na budowę. Cały proces musi oczywiście trwać kilka lat, żeby nikt się nie zorientował – mówi mieszkaniec Zakopanego, ale woli zachować anonimowość, bo, jak twierdzi, niezbitych dowodów na branie łapówek przez urzędników nie ma. Wyraża tym sposobem wartą odnotowania frustrację zakopiańczyków bezsilnych w walce o przestrzeń u podnóża Tatr.

– Byłam zaskoczona, kiedy parę minut po mojej wizycie w wydziale budownictwa w starostwie zadzwonił do mnie deweloper i groził mi, mówiąc: „Mnie pani nie powstrzyma, a może sobie pani tylko zaszkodzić" – wspomina osoba, której drewniany dom z widokiem na góry został zasłonięty sześciokondygnacyjnym obiektem pensjonatowym.

Stary dom przy ul. Witkiewicza.

W centrum miasta zostały tylko działki toksyczne: z nieuregulowanymi kwestiami własnościowymi i te, na których stoją zabytkowe wille.

35 metrów za 1,5 mln

Ciszę poranka narusza dźwięk wydawany przez rozklekotane dieslowskie silniki, robotnicy budowlani w swoich wysłużonych, sprowadzonych z Niemiec volkswagenach lub audi jadą do pracy. W powietrzu chmury spalin, woń oleju i ropy naftowej. Chwilę potem niezależnie od pogody i pory roku wąskimi ulicami Zakopanego przepychają się betoniarki. Między nimi pojazdy ciągnące ciężki sprzęt budowlany oraz wysoko zawieszone ciężarówki z napędem na cztery koła. Słychać jazgot pił łańcuchowych, łomot młotów pneumatycznych, wycie pomp do betonu, a nad tym wszystkim miarowy, jednostajny, niski warkot koparek. Miasteczko pod Giewontem zmieniło się w ogromny plac budowy.

Musimy jak najszybciej wycofać pieniądze z kont bankowych, szaleje inflacja, a nawet jeśli nie szaleje, to idzie lub grozi. Rząd szykuje zamach na nasze konta, żeby rozdać nasze ciężko zarobione złotówki tym patologicznym pięćsetplusom, dzieciorobom i pijakom. Skandal, nie oddamy, łapy precz od naszego – jest to pewnego rodzaju mantra bądź rodzaj

eprasa.pl 86890ebbab

uprzejmej rozmowy (bo o takie oczywistości nie da się przecież pokłócić), powtarzane przez świetnie wyposażonych turystów w czasie górskich wycieczek. Słucham tego przekazu niemal codziennie, ale w różnych formach: od wulgarnej po subtelną, skrzącą się od trudnych do wymówienia słów. Jednak nie tylko turyści tak uważają – o widmie inflacji piszą biznesmeni oraz szanowane gazety niezależne od rządu.

Wniosek jest prosty: trzeba jak najszybciej pozbyć się pieniędzy. W związku z tym bogatsi, pocieszając się, że gorzej mają tylko Węgrzy, inwestują w nieruchomości, biedniejsi fundują sobie więcej wyjazdów w góry, noclegi w droższych miejscach, lepszy samochód, bo za chwilę tych cyferek na bankowym koncie nie będzie się dało na nic wymienić.

Spalony pustostan na Bulwarach Słowackiego.

Mieszkanko na szóstym piętrze w centrum, 35 m kw., kosztuje ponad 1,5 mln zł i jest pewniejszą lokatą kapitału niż najlepsza lokata oferowana przez banki, ma przynosić 8% zysku w skali roku. Autor ogłoszenia szczegółowo wylicza, że metr jest wart 44 812,03 zł. Ponadto reklamuje, że dom wyposażono w windę i domofon, a oprócz tego jest to „obiekt zamknięty, monitorowany i ochraniany". W ogłoszeniu można też wyczytać, że w budynku jest dostęp do internetu. Sprzedający starannie unika słów kawalerka, mieszkanie, te 35 m wyłożonej drewnopodobnymi panelami podłogi na poddaszu woli określać mianem apartamentu klasy premium. Opisany przykład należy do rzadkości. Pod Tatrami króluje taka trochę biedniejsza klasa premium – ceny w apartamentowcach budowanych pośpiesznie z pustaków i betonu wahają się między 12 a 22 tys. zł za metr kwadratowy.

Powstał nowy budynek z widokiem na grań Tatr i całym mnóstwem mieszkań, metr kosztuje 18 tys. Jak teraz przekonać zatrwożonego inflacją turystę do wydania 770 tys. zł na korytarzyk, łazienkę, sypialnię i kuchnię połączoną z jadalnią, wszystko na 41 m kw.? Tu pojawia się „model biznesowy w formie apartamentów inwestycyjnych stanowiących atrakcyjną lokatę kapitału". Słowem, które wiele wyjaśnia, jest condohotel, a w nim condominium, czyli wspólnota mieszkaniowa, gdzie część pomieszczeń należy do wszystkich użytkowników, np. piwnica, a w niej siłownia, spa i tym podobne wspaniałości. Sprzedawcy i gospodarze jednocześnie zapewniają stały dochód. W przypadku powyższych 41 m kw. zgodnie z „kalkulatorem twojego partnera biznesowego" mieszkanie będzie przynosiło 3653,13 zł miesięcznie, czyli zainwestowanych 770 tys. uzbiera się po 17 latach. Do tego weźmy pod uwagę, że wartość nieruchomości ma stale rosnąć, a wartość pieniędzy stale spadać. Kolejnymi plusami wymienianymi przez „mojego partnera biznesowego", który natychmiast skraca dystans, mówiąc do mnie „cześć", jest odpisanie podatku VAT, zapewnienie sobie emerytury, do tego możliwość „pobytu właścicielskiego" przez siedem dni w sezonie i drugie tyle poza sezonem.

Efekt? Działka budowlana w Zakopanem, nieco ponad 450 m kw., jest sprzedawana za 2,8 mln zł, można na niej postawić budynek o powierzchni 400 m. Drewniany domek na Olczy (dzielnica Zakopanego) został wystawiony na sprzedaż jako działka inwestycyjna z wizualizacją apartamentowców. W ogłoszeniu pojawia się dopisek: „Przedmiotowa działka zabudowana jest domem drewnianym o powierzchni ok. 65 m kw. Budynek nadaje się do generalnego remontu lub wyburzenia".

> Jeszcze nigdy klient nie poprosił o projekt budynku mniejszego niż największy możliwy na danej działce.

Czysty zysk

– Obiekty deweloperskie, które wszędzie w Zakopanem powstają, to nie są skomplikowane budynki; projekt, a potem budowa mieszczą się w granicach miliona złotych, najczęściej cała inwestycja zwraca się po sprzedaży kilku mieszkań. A jak masz ich z pięć więcej, to jest już czysty deweloperski zysk – mówi Andrzej Stopka, architekt z Zakopanego.

– Jeszcze nigdy mi się nie zdarzyło, żeby klient poprosił o projekt budynku mniejszego niż największy możliwy na danej działce – dodaje znajoma architektka.

Biznes się kręci, ulokowany kapitał drzemie gotów przynieść krociowe zyski, ale, jak zauważają inwestorzy, ilość ziemi na Podhalu się kurczy, a w ścisłym centrum Zakopanego pozostały jedynie działki toksyczne. To te z nieuregulowanymi kwestiami własnościowymi oraz te, na których stoją zabytkowe wille.

„Zabytkowy pensjonat Chata płonie, co było do przewidzenia. Ile

eprasa.pl 86890ebbab

jeszcze ludzi musi zginąć, ile domów spłonąć, żeby zostały zaspokojone brudne interesy deweloperów?". Ten emocjonalny wpis został opublikowany 20 marca o godz. 5.09 na Facebooku, autor widział pożar z okna swojego domu. Wtedy jeszcze nie było wiadomo, że w Chacie zginęły trzy osoby, ale półtora miesiąca wcześniej, dokładnie 7 lutego, spłonęła willa Borek, gdzie śmierć poniosły dwie osoby.

– Mimo wszystko nie poddaliśmy się, decyzję o pozwoleniu na budowę zaskarżyliśmy do wojewódzkiego sądu administracyjnego, bo widzimy szereg nieprawidłowości – dowiaduję się w Stowarzyszeniu Lepsze Zakopane, które od kilku lat broni przed zakusami deweloperów rejonu Górnej Równi Krupowej z zabytkową willą Chata. – Na skrawkach ziemi odkupionych od miasta w sąsiedztwie Chaty, chociaż nie na miejscu samej Chaty, deweloper chce postawić dwa budynki, ale na jednym garażu podziemnym – relacjonuje osoba z Lepszego Zakopanego. – Kolejna sprawa to kwestia drogi dojazdowej, która nie spełnia wymogów, i trzecia rzecz – inwestor już sprzedał dwa nieistniejące apartamenty. Nie jest to jeszcze właściwa sprzedaż, ale przyrzeczenie sprzedaży z wpisem do księgi wieczystej. Przepisy głoszą, że dom mieszkalny ma być mniejszy, pensjonat może być większy, deweloper chce zbudować większe obiekty, nazywa je pensjonatami i sprzedaje w nich mieszkania. Chlebiński (naczelnik wydziału budownictwa) mówi, że nie ma nic dziwnego w tym, że pensjonat ma wielu właścicieli. Jednocześnie w resorcie kultury utknął nasz wniosek o wpisanie rejonu Górnej Równi Krupowej do rejestru zabytków. Procedura trwa już trzy lata. Natomiast po pożarze Chaty dowiedzieliśmy się nieoficjalnie, że inwestor myśli o sprzedaży tego terenu.

Powolny rozpad społeczności

Niezwykle tragiczne w skutkach pożary z zimy 2021 r. spowodowały, że mieszkańcy, którzy w wyniku pandemii przestali się spotykać i zamilkli, teraz wstrząśnięci znowu zaczęli wyrażać dezaprobatę, dodatkowo sprawą zainteresowały się media. – Na miejscu zabytków, a także na każdym wolnym skrawku w Zakopanem, niezależnie od wartości historycznej, krajobrazowej, społecznej, przyrodniczej i estetycznej, powstają wielkogabarytowe budowle, projektowane bez szacunku i bez korespondencji z otoczeniem – określa problem Kinga Zuber, antropolożka pracująca w Muzeum Tatrzańskim i mieszkanka Zakopanego. Zwraca też uwagę na idący za inwestycjami powolny rozpad lokalnej społeczności: – Znikają miejsca przypadkowych spotkań z sąsiadami, odpoczynku z rodziną czy psem na spacerze; na łąkach, gdzie od pokoleń bawiły się dzieci, wyrastają budynki, których otoczeni siatką mieszkańcy są izolowani od miejscowych, strzeżeni przez firmy ochroniarskie.

Beata Słama, redaktorka i recenzentka książek górskich, wypowiada się w podobnym tonie: – Konsekwencje rozpasanej deweloperki to gentryfikacja miasta, spychanie mieszkańców na margines, koszmarne ceny mieszkań. Normalni ludzie, przykładowo młode małżeństwa, którzy chcą tu pracować, nie mogą nic kupić, nie mogą też nic wynająć, bo wynajmu długoterminowego prawie nie ma. Odpływa z miasta inteligencja, odpływają artyści, no i nikt tego nie bada, nie analizuje.

W końcu Kinga Zuber pisze list otwarty do władz Zakopanego, oto fragment: „Stare, piękne, drewniane domy popadają w ruinę, na każdym płocie, przy każdym zapomnianym zabytku wisi karteczka »Skupuję nieruchomości« i numer telefonu, do zerwania w listku. Stare domy płoną, giną w nich ludzie. Gdzie są odpowiedzialni? Gdzie są ludzie, którym płacimy, których wybraliśmy w demokratycznych wyborach właśnie po to, aby chronili swoich obywateli, ich życie, zdrowie, interesy, zapewniali edukację. Chronili również przed agresywną, szkodliwą, niebezpieczną polityką wielkich inwestorów. Nie pozostawali obojętni na szkodę tych, którzy są zbyt słabi, żeby samemu się bronić, a nawet samemu o swój interes zadbać".

List zostaje wysłany do burmistrza Zakopanego Leszka Doruli, starosty powiatu tatrzańskiego Piotra Bąka oraz naczelnika wydziału budownictwa Jerzego Chlebińskiego. Następnie ukazuje się w internetowym wydaniu „Tygodnika Podhalańskiego", z czasem też w papierowym, wywołuje gorącą dyskusję i liczne głosy poparcia.

Po miesiącu Leszek Dorula w bardzo uprzejmy sposób odpisuje i nie ogranicza się do wyświechtanego, powtarzanego wszystkim dziennikarzom tekstu o błędach poprzedniej ekipy i niemożności zmiany niezwykle liberalnego prawa. Zwraca uwagę, że mieszkańcy mogą nie dostrzegać pozytywnych działań urzędników, bo zablokowanych inwestycji nie widać. Jako przykład wymienia odrzucony projekt inwestycji na Drodze do Daniela. Bąk i Chlebiński (ich podpisy znajdują się na każdym pozwoleniu na budowę) nie zadali sobie trudu, żeby zareagować na głos Kingi Zuber.

Paweł Grocholski

Dochodowy biznes skupowania nieruchomości – ogłoszenie na zrujnowanym hotelu Bristol.

FOT. PAWEŁ GROCHOLSKI

eprasa.pl 86890ebbab

Sen o polskich szczepionkach mRNA

Szybka ścieżka dla projektów związanych z koronawirusem wygląda tak, że pół roku po zakończeniu konkursu trwa ocena wniosków

Marek Czarkowski

Dzięki pandemii COVID-19 termin mRNA (*messenger* RNA, czyli matrycowy RNA, albo informacyjny RNA, to rodzaj kwasu rybonukleinowego, którego funkcją jest przenoszenie informacji genetycznej) na stałe wszedł do wszystkich języków świata. Oparta na mRNA technologia stała się podstawą opracowania szczepionek produkowanych przez Pfizer/BioNTech i Modernę. To przyszłość medycyny obiecująca leki m.in. na nowotwory czy choroby serca. Nad jej rozwinięciem pracują dziś największe koncerny farmaceutyczne i najpoważniejsze światowe laboratoria. Zmobilizowano ogromne środki i najtęższe umysły.

Wstający z kolan naród Polan nie mógł być gorszy. Premier Mateusz Morawiecki powierzył Agencji Badań Medycznych koordynację merytoryczną spraw związanych z wdrożeniem w Polsce produkcji szczepionek bazujących na technologii mRNA. Zapowiedział też uruchomienie potężnych rządowych środków. „Te nowe technologie to wielka nadzieja nie tylko w kontekście walki z COVID-19", zapewniał premier.

21 kwietnia br., podczas gospodarskiej wizyty w Międzynarodowym Instytucie Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie, towarzyszący Morawieckiemu dr n. med. Radosław Sierpiński, p.o. prezes Agencji Badań Medycznych oraz pełnomocnik prezesa Rady Ministrów ds. rozwoju sektora biotechnologicznego, oświadczył: „W ciągu dwóch-trzech lat chcemy zbudować własne narzędzie do walki z nadchodzącą pandemią. W tym celu potrzebujemy dokonać transferu wiedzy i technologii od światowych korporacji, również technologii mRNA, która daje możliwość tworzenia innowacyjnych leków".

Nie będzie to łatwe zadanie. 6 kwietnia ub.r. Narodowe Centrum Badań i Rozwoju ogłosiło konkurs pod hasłem „Szybka Ścieżka – Koronawirusy". Kierownictwo NCBR zadeklarowało 208,4 mln zł na wsparcie polskich przedsiębiorców i naukowców, którzy podjęli prace nad diagnostyką, leczeniem i przeciwdziałaniem chorobom wirusowym. Przyjmowanie wniosków trwało od 6 maja do 31 grudnia 2020 r. Status konkursu – jak dziś widać na stronie internetowej NCBR – „Trwa ocena wniosków"! Jest szansa, że zanim wyłonieni zostaną pierwsi zwycięzcy, pandemia minie. Taka to szybka ścieżka.

Agencja Badań Medycznych w zeszłym roku sfinansowała realizację 27 projektów dotyczących COVID-19. Na liście znalazły się m.in.: zastosowanie amantadyny w zapobieganiu progresji i leczeniu objawów COVID-19, opracowanie szczepionki przeciwko wirusowi SARS-CoV-2 w oparciu o wektor wirusowy krowianki MVA i monitorowanie zmienności genetycznej wirusa SARS-CoV-2 w Polsce. Ile na to poszło, nie wiadomo. ABM nie podaje takich informacji.

Agencja wkracza do gry

Wspomniana wcześniej decyzja premiera otworzyła kierownictwu Agencji Badań Medycznych drzwi do sezamu. Na stronie internetowej ABM znalazłem ostatnio dwa interesujące ogłoszenia. Pierwsze to konkurs na rozwój innowacyjnych rozwiązań terapeutycznych z wykorzystaniem technologii RNA. Drugie – konkurs na wsparcie komercyjnych badań klinicznych z wykorzystaniem technologii RNA. Oba te przedsięwzięcia łączy wspólny regulamin, kwota 300 mln zł oraz termin składania wniosków – od 10 maja do 20 lipca br. Warto im się przyjrzeć.

Konkursu na wsparcie komercyjnych badań klinicznych z wykorzystaniem technologii RNA nie ma w planie działania ABM na rok 2021. Jego regulamin i reszta dokumentacji są identyczne jak w konkursie na rozwój innowacyjnych rozwiązań terapeutycznych z wykorzystaniem technologii RNA, ale kto by się tym przejmował.

Agencja nie ukrywa, że będzie on finansowany ze środków publicznych. Czy jednak można za komercyjne badania kliniczne płacić pieniędzmi podatników? To przecież najdroższa część procedury wprowadzania leku do obrotu i koncerny farmaceutyczne zwykle realizują ją z własnych środków. Być może szefostwo ABM doszło do wniosku, że tym razem należy uczynić wyjątek i choć częściowo sfinansować badania prowadzone przez duży zachodni koncern.

Pierwszy krok już został zrobiony. 29 kwietnia br. na stronie ABM pojawiła się informacja, że „Roche we współpracy z ABM uruchamia w Polsce badanie nad doustnym lekiem przeciw COVID-19". Szwajcarski koncern ma przeprowadzić w naszym kraju badania kliniczne drugiej i trzeciej fazy substancji oznaczonej symbolem AT-257, produkowanej wspólnie z amerykańską firmą Atea Pharmaceuticals z Bostonu. Pierwotnie Roche miał realizować te badania w Wielkiej Brytanii, ale nie było tam wystarczającej liczby pacjentów. W Polsce na przełomie kwietnia i maja mieliśmy prawie 20 tys. zachorowań dziennie i ok. 500 zgonów

Mabion ma wyprodukować dla Novavaksu w sumie dwie serie nie szczepionki, ale jednego z jej składników.

eprasa.pl 86890ebbab

Co i kiedy ostatecznie wyprodukuje Mabion, tego nie wiadomo.

na COVID-19, co dobrze rokowało dla badań klinicznych. Cytowany przez Agencję Reutera prezes koncernu Christoph Franz powiedział, że marzy o możliwości zwalczania pandemii za pomocą pigułki do końca roku. Agencja Badań Medycznych może mu w tym pomóc. Bez wątpienia – za darmo.

Szczepionka Novavaksu, z którym Mabion podpisał umowę, na razie nie została oficjalnie zarejestrowana ani w USA, ani w Europie.

Ogłoszony przez ABM konkurs dotyczący rozwoju innowacyjnych rozwiązań terapeutycznych z wykorzystaniem technologii RNA jest jeszcze ciekawszy. W regulaminie stwierdzono wyraźnie, że „działania podejmowane w ramach tego Projektu powinny obejmować opracowanie i doprowadzenie do co najmniej I fazy badań klinicznych polskiej szczepionki mRNA, a w dalszej perspektywie skomercjalizowania wyników tych prac oraz osiągnięcia możliwości produkcyjnych szczepionek mRNA na terenie Rzeczypospolitej Polskiej (poprzez stworzenie pilotażowej linii produkcyjnej służącej badaniom i rozwojowi)".

Zacznijmy od tego, że za 300 mln zł trudno poważnie myśleć o stworzeniu szczepionki mRNA. Dla porównania – koncerny GlaxoSmithKline i Sanofi Pasteur dostały od Amerykanów 2,1 mld dol. na opracowanie szczepionki, i to nie w technologii mRNA. A mimo tak wysokich kwot nadal jej nie ma. Moderna skasowała 1,53 mld dol., a ile dostały Pfizer i BioNTech, dokładnie nie wiadomo, ale na pewno były to kwoty rzędu miliardów, nie milionów.

Na razie nikt też nie mówi o kluczowej dla sprawy ochronie patentowej. Ani nie pyta, jak to możliwe, że tak potężne koncerny farmaceutyczne jak Novartis, Sanofi, GlaxoSmithKline, AstraZeneca czy Merck nie podjęły próby opracowania szczepionki przeciw COVID-19 z wykorzystaniem technologii mRNA. Ano dlatego, że Moderna i BioNTech miały patenty na kluczowe rozwiązania, niezbędne, by szybko opracować skuteczny specyfik. Takich firm jest więcej. Pokaźnymi pakietami patentów dysponują także niemiecka spółka CureVac i kanadyjska Arbutus Biopharma.

Lecz „najgorętszą" dziś spółką w obszarze tej technologii jest amerykański start-up Laronde, w który ostatnio zainwestował fundusz podwyższonego ryzyka Flagship Pioneering, należący do Noubara Afeyana, głównego udziałowca Moderny. Dr Avak Kahvejian wraz ze współpracownikami opracował *endless* RNA (niekończące się RNA), które może się okazać kolejnym przełomem w biotechnologii. Oczywiście technologia eRNA jest już chroniona patentami. I jest o niej głośno.

Doprawdy trudno sobie wyobrazić, że podwładni ministra nauki Przemysława Czarnka będą w stanie za 300 baniek opracować rozwiązania, które przebiją te zza oceanu.

Opowieści szefa Polskiego Funduszu Rozwoju

Podczas gdy Amerykanie, Hindusi, Grecy, Turcy i Węgrzy trzęsący największymi spółkami biotechnologicznymi pędzą ile sił w pogoni za zyskiem i nowymi odkryciami, Polacy tkwią w swojskich klimatach.

3 marca br. Agencja Reutera i Bloomberg, relacjonując konferencję prasową zarządu spółki Mabion poświęconą umowie z amerykańską firmą Novavax, opatrzyły depesze z Warszawy tytułami „Polska podpisała umowę na produkcję szczepionki Novavax COVID-19" oraz „Transakcja Novavax z Mabionem wzmacnia rodzącą się w Polsce scenę biotechnologiczną". To była również wiadomość numer jeden w polskich mediach – w tym roku będziemy mieli szczepionkę! Nic dziwnego, że w kolejnych dniach

FOT. DZIENNIK ŁÓDZKI/POLSKA PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl 86890ebbab

akcje Mabionu wystrzeliły: 2 marca br. kosztowały 31,30 zł, 5 marca – 63 zł, a 15 marca – 116,40 zł. 4 marca, dzień po wspomnianej konferencji prasowej, spółka ogłosiła w komunikacie giełdowym, że planuje wyemitować „nie więcej niż 2 430 554 akcji" serii U. Cenę ustalono na 55 zł za akcję. W krótkim czasie spółka pozyskała ponad 130 mln zł. Dodajmy do tego pożyczkę w wysokości 30 mln zł udzieloną przez Polski Fundusz Rozwoju oraz deklarację objęcia przez PFR akcji Mabionu o wartości 10 mln zł.

7 kwietnia br. w programie Studio Biznes prezes Polskiego Funduszu Rozwoju Paweł Borys tak mówił o planach spółki: „Firma zawarła z amerykańską firmą Novavax umowę na produkcję szczepionek (przeciw COVID-19 – przyp. aut.) w Polsce. W tej chwili trwa przenoszenie i wdrażanie tutaj technologii produkcji szczepionek amerykańskiej firmy Novavax, w tym samym czasie trwa proces uzyskiwania zgody na dopuszczenie tych szczepionek do obrotu na terenie Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych. Zakładamy, wedle informacji przekazanych nam przez spółkę, że transfer technologii zakończy się do połowy roku i w trzecim kwartale firma Mabion może rozpocząć już w pełni produkcję w Polsce szczepionek marki Novavax".

W najnowszym numerze tygodnika „NIE" Paweł Kukiz stoi pod latarnią, ale już nie czeka na propozycje.

W polskich mediach regularnie pisano i mówiono, że spółka będzie produkowała szczepionkę przeciw COVID-19. Nikomu nie chciało się czytać ze zrozumieniem komunikatów giełdowych Mabionu, którego przedstawiciele nigdy nie mówili, że firma ma umowę z Amerykanami na produkcję szczepionki. Nikt też nie pytał, na jakiej podstawie prezes Polskiego Funduszu Rozwoju opowiadał, że w trzecim kwartale spółka może rozpocząć produkcję szczepionki Novavaksu.

Dziś PFR nie odpowiada na pytania, a fakty są takie – Mabion w ramach zawartej umowy ma wyprodukować „jedną serię techniczną i jedną serię testową będącą potwierdzeniem powtarzalności produkcji". Nie szczepionki – jak chcieli prezes Borys i polskie media – lecz substancji czynnej, czyli antygenu szczepionkowego!

Fachowcy wiedzą, że to tylko jeden ze składników specyfiku. Do produkcji swoich preparatów Moderna i Pfizer/BioNTech potrzebują ich ponad 200. Novavax pewnie będzie potrzebował ich mniej, ale polska firma ma wytwarzać jeden. Do kompletnej szczepionki jeszcze daleka droga.

Szczepionka czy pieniądze

Jeśli zatem ktoś sądzi, że z zakładu w Konstantynowie Łódzkim we wrześniu lub w październiku wyjadą tiry z fiolkami, które trafią do punktów szczepień na terenie kraju, jest w wielkim błędzie. Spółka sama przyznaje, że „mieszanie i rozlew szczepionki, zgodnie z dotychczasowymi ustaleniami, będzie odbywało się w zakładzie poza Polską". Najprawdopodobniej w Hameln, gdzie mieści się zakład spółki Siegfried AG, z którą Novavax podpisał umowę w maju, lub w zakładzie w Halle należącym do Baxter International Inc., z którym to koncernem Amerykanie zawarli umowę już w styczniu br.

Poza tym Novavax ma problemy. W kwietniu pojawiła się informacja o kłopotach z zapewnieniem dostaw szczepionki do krajów Unii Europejskiej. Brytyjski tygodnik „The Observer" cytował prezesa Stanleya Ercka, który mówił, że niedobór worków o pojemności 2 tys. litrów i filtrów stanowi zagrożenie dla produkcji. Novavax ostrzegł, że zapowiadany wcześniej cel – dostarczenie odbiorcom 150 mln dawek szczepionki miesięcznie – został przesunięty z końca drugiego kwartału na trzeci.

3 maja br. Agencja Reutera doniosła, że Amerykanie już poinformowali Komisję Europejską, że dostawy ich specyfiku rozpoczną się „pod koniec roku". Komisja zamówiła 200 mln dawek i wie, że większość trafi do Europy w przyszłym roku. Ale nie robi dramatu. Traktuje produkt Novavaksu jako alternatywę lub uzupełnienie dla szczepionki Pfizer/BioNTech, z którymi ma gigantyczną umowę na dostawę 1,8 mld dawek w latach 2022-2023. Unia Europejska liczy 508 mln mieszkańców, więc szczepionką Comirnaty Pfizer/BioNTech będzie można każdego zaszczepić trzy razy! No i jest Moderna z potężnie rozbudowanymi w Europie mocami produkcyjnymi. Kto jeszcze będzie mógł się wcisnąć na tak konkurencyjny rynek?

Spółka Mabion wkrótce wyprodukuje najwyższej jakości „antygen szczepionkowy". Lecz co zrobią szefowie Novavaksu, wiedząc, że z produkcją ich szczepionki w tym roku może być krucho? Na razie ani w Stanach, ani w Europie nie została oficjalnie zarejestrowana i dopuszczona.

Mabion prowadzi ciekawą politykę. 13 maja br. odwołany został prezes spółki Dirk Kreder, od lat związany z branżą farmaceutyczną. Pracował m.in. dla koncernów Novartis i Roche. Zastąpił go Krzysztof Kaczmarczyk, którego kariera zawodowa rozkwitła w sektorze finansowym: w Deutsche Banku, Credit Suisse oraz w Emitelu i KGHM. Najważniejszym zadaniem nowego prezesa będzie, jak określono w komunikacie, „przeprowadzenie Mabionu przez proces pozyskania inwestora strategicznego". Czyli nie produkcja leków, ale poszukiwanie partnera gotowego włożyć w spółkę poważne pieniądze. Jednak należy zachować ostrożność w ocenie możliwości i perspektyw Mabionu. Obecnie kurs akcji spółki oscyluje wokół 45-48 zł. A 15 marca br. wynosił 116,40 zł.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 86890ebbab

Każde kłamstwo ścigam

Ambasador Izydorczyk nie odpuszcza Papierzowi

Robert Walenciak

– Nie poszedłem na wojnę z Ministerstwem Spraw Zagranicznych, tylko z MSZ-owskimi patologiami – mówi Jacek Izydorczyk, były ambasador w Japonii. O jego historii pisaliśmy w PRZEGLĄDZIE (nr 3/2021), po tym jak w kompromitujący dla państwa polskiego sposób został odwołany z placówki.

Jak już dziś wiemy – zarzuty przeciw niemu okazały się wyssane z palca i napisane *ex post.*

Warto tę sprawę przypomnieć, bo pokazuje ona patologię istniejącą w MSZ. Otóż pretekstem do odwołania Izydorczyka był zarzut, że jeździł z żoną w podróże służbowe, na spotkania oficjalne poza Tokio, na które był zaproszony właśnie z małżonką. I że kupował jej na koszt ambasady bilety kolejowe i lotnicze. Chodziło o sześć podróży, w sumie koszt tych biletów to równowartość… niespełna 5,5 tys. zł.

Zarzuty przeciw ambasadorowi Izydorczykowi okazały się wyssane z palca i napisane ex post.

Tę „nieprawidłowość" wykryły dwie trzyosobowe komisje, które w tej sprawie przylatywały do Tokio z Warszawy. Pomnóżmy cenę biletów (w klasie biznes dla jednej osoby sięgać może 20-30 tys. zł) przez sześć, dodajmy do tego koszt hoteli i diet – okaże się, że takie dwie wycieczki do Tokio mogły kosztować polskiego podatnika nawet kilkaset tysięcy złotych!

A są jeszcze inne kwestie. Po pierwsze, kontrola z centrali została do Tokio wysłana już po tym, jak zadecydowano o odwołaniu Izydorczyka i wniosek został zaaprobowany przez premiera Morawieckiego. Po drugie, 19 lutego br. działająca przy Ministerstwie

Finansów Międzyresortowa Komisja Orzekająca w sprawach o naruszenie dyscypliny finansów publicznych wydała orzeczenie, w którym uniewinniła Jacka Izydorczyka. Uznała, że miał prawo kupować żonie bilety, gdy oficjalnie mu towarzyszyła.

Od tego orzeczenia odwołała się rzeczniczka dyscypliny finansów publicznych Maria Branecka. Sprawa biletów więc się nie skończyła. Ale Izydorczyk jest spokojny: – Po pierwsze, spodziewałem się, że będą się odwoływać, bo to jest sposób na przedłużenie sprawy. Po drugie, publicznie zadałem pytanie, czy pani Branecka zajmuje swoje stanowisko legalnie. W ustawie jest napisane, że może je pełnić osoba, która jest magistrem prawa, ekonomii lub administracji, a ona ma podobno dyplom magistra inżyniera. Po trzecie, to wszystko jest zbyt grubymi nićmi szyte – mam w rękach *claris* skierowany do ambasady w Tokio, z września 2019 r., kiedy już mnie tam nie było – polecenie anulowania innej noty obciążeniowej, którą wystawiono na moje nazwisko, za jakoby inne „nieprawidłowości". Tym samym ministerstwo przyznało, że czego innego domagano się ode mnie przed moim odwołaniem przez prezydenta – a czego innego, gdy wróciłem do Polski. To zresztą jest patologia – bo proszę mi pokazać instytucję, w której można dowolnie wystawiać i anulować noty obciążeniowe i nikt tego nie kontroluje!

Sprawa biletów jest jedną z wielu, które dotyczą relacji Izydorczyk-MSZ. Spróbujmy je wymienić. Jedna już się zakończyła. To była sprawa karna przeciwko wiceministrowi Marcinowi Przydaczowi, który w audycji radiowej mówił, że Izydorczyk, składając zawiadomienie do prokuratury i opisując incydenty z udziałem dyrektora generalnego Andrzeja Papierza, mijał się z prawdą. Sąd nie skierował jej do rozpatrywania na rozprawie; umorzył ją na posiedzeniu niejawnym, w uzasadnieniu podając, że taki zwrot nie oznacza, że wiceminister zarzucił byłemu ambasadorowi kłamstwo. Izydorczyk uważa jednak, że rzecz nie jest zakończona – może skarżyć Przydacza w procesie cywilnym. Ale na to ma jeszcze czas.

Natomiast w sądzie jest sprawa karna przeciw wiceministrowi Pawłowi Jabłońskiemu. Jabłoński bowiem pozwolił sobie na bardziej dosadne określenia – ustosunkowując się do zawiadomienia do prokuratury, które przeciwko ośmiu urzędnikom MSZ złożył Izydorczyk (o tym za chwilę), stwierdził, że jest w nim „sporo kłamstw". Będzie więc musiał wskazać, jakie to kłamstwa. Sąd sprawę trzyma na półce.

Na każdy atak reaguję. Zwłaszcza kiedy wiem, że informacje w nim zawarte pochodzą ze środka MSZ lub służb.

Ciekawa jest natomiast sytuacja ze wspomnianym zawiadomieniem. Rzecz dotyczy szeroko opisywanego w mediach incydentu

eprasa.pl 86890ebbab

w Kamakurze. Przypomnijmy – wchodząc do tamtejszej świątyni szintoistycznej, dyrektor generalny MSZ miał zachowywać się w sposób niewłaściwy, obrażając gospodarzy i kompromitując Polskę. Izydorczyk mówił o tym w rozmowie z Onetem, wcześniej, zaraz po tych wydarzeniach, pisał do MSZ i telefonował m.in. do wicemarszałek Sejmu Małgorzaty Gosiewskiej. I Papierz, i towarzyszący mu urzędnicy MSZ zarzucili Izydorczykowi kłamstwo i konfabulację. Napisali oświadczenie, że Izydorczyka w ogóle z nimi wówczas nie było, zwiedzał świątynię Buddy, więc cóż mógł zobaczyć? Na co ambasador przedstawił plan kompleksu w Kamakurze, świątynia buddyjska leży kilka kilometrów od szintoistycznej, nie sposób zatem zwiedzać ich równocześnie ani tak, że na chwilę odchodzi się od grupy. Poza tym przedstawił zdjęcia z wycieczki, na których widać, że grupa jest razem. I oskarżył urzędników MSZ, że aby chronić Papierza, poświadczają nieprawdę. Sprawa stała się bardzo poważna. Ale prokuratura odmówiła wszczęcia postępowania.

Izydorczyk nękany jest atakami hejterów czy wypowiedziami zaprzyjaźnionych z Papierzem dziennikarzy i urzędników.

Na to Izydorczyk złożył zażalenie do sądu – i wygrał. Sąd Rejonowy dla Warszawy-Śródmieścia w postanowieniu z 30 kwietnia polecił prokuraturze ponowne zajęcie się sprawą. „Ustalając stan faktyczny, prokurator oparł się w całości na twierdzeniach zawartych w pismach nadesłanych przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych, nie odnosząc się w żaden sposób nawet do załączonych przez skarżącego do zawiadomienia o podejrzeniu popełnienia przestępstwa dokumentów", czytamy w uzasadnieniu.

Z kolei Andrzej Papierz atakuje Izydorczyka na kilku innych frontach. Złożył doniesienie do prokuratury „w sprawie". Nie wiadomo, na jakim etapie jest postępowanie, choć Izydorczyk przez prokuraturę był przesłuchiwany w charakterze świadka w maju 2020 r.

Poza tym przeciw byłemu ambasadorowi toczą się dwie sprawy sądowe. Jedna, wytoczona przez obecnego ambasadora RP w Tokio w imieniu „ambasady RP", co jest dziwne, bo z takim powództwem może wystąpić tylko ministerstwo, a nie ambasador Paweł Milewski. Udzielił on zresztą pełnomocnictwa – radcy prawnemu MSZ! I domaga się zapłaty za wspomnianą wcześniej notę obciążeniową. Tę samą, na temat której wypowiedziała się Międzyresortowa Komisja Orzekająca przy Ministerstwie Finansów. Druga zaś z powództwa Andrzeja Papierza, o ochronę dóbr osobistych.

W tej drugiej chodzi cały czas o incydent w Kamakurze – sąd do czasu rozstrzygnięcia wydał Izydorczykowi zakaz wypowiadania się w tej kwestii. Ale kiedy sprawa trafi na wokandę, nie wiemy.

Izydorczyk jest również nękany pomniejszymi atakami – internetowych hejterów czy wypowiedziami zaprzyjaźnionych z Papierzem dziennikarzy i urzędników. – Na każdy atak reaguję – mówi.

Ostrzegam, że jak władza się zmieni, to – jeśli łamali prawo – odpowiedzą za to. Na pewno tego przypilnuję.

– Zwłaszcza kiedy wiem, że informacje w nim zawarte pochodzą ze środka MSZ lub służb. Każde kłamstwo ścigam. Chodzę na policję, kieruję sprawy do sądów. To jest męczące, ale skuteczne. Liczba ataków zmalała. Choć wiem, że cały czas jestem pod obserwacją. Banalny przykład – przesyłki pocztowe trafiają do mnie z opóźnieniem, najczęściej uszkodzone. I wszystkich, w tym niektórych sędziów i prokuratorów, ostrzegam, że jak władza się zmieni, to – jeśli łamali prawo – odpowiedzą za to. Na pewno tego przypilnuję.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Rozmawia Jakub Dymek

Czy 10 tys. zł to dużo?

– Zależy oczywiście dla kogo. W Polsce dla osoby zarabiającej płacę minimalną i zadłużonej to majątek, jakiego sama nie zaoszczędzi przez kilka lat. Dla osoby należącej do 1% najzamożniejszych to pewnie miła premia do miesięcznej pensji, ale 10 tys. w jedną stronę czy drugą nie robi komuś takiemu zasadniczej różnicy. Mamy w naukach społecznych pojęcie granicznej wartości dobra, w tym pieniądza, które sugeruje, że za pewną granicą bogactwa nawet z dużych pieniędzy trudno zrobić zauważalny pożytek.

Pytam rzecz jasna dlatego, że w Polsce trwa od pewnego czasu dyskusja o granicach klasy średniej – czy ktoś, kto zarabia owe 10 tys. miesięcznie, jest krezusem, czy średniakiem?

– To ciekawe, jak nerwowo ludzie reagują dziś na zapisanie ich do klasy wyższej. Ile złości budzi w człowieku, który zarabia dwie, trzy lub cztery przeciętne pensje, nazwanie go bogatym! Ekonomiści wymyślili, żeby po prostu ująć w ramach klasy średniej tę połowę społeczeństwa, która zarabia medianę dochodu na rękę *per capita* – lub nieco powyżej albo poniżej tej kwoty. Zgodnie z najczęściej stosowanymi miarami klasa średnia stanowi ok. 54% polskiej populacji w wieku 24-64 lata. Od tej połowy średniaków biedniejsze jest 30% społeczeństwa, a zamożniejsze kolejne 16%. Sam wzór jest dość skomplikowany, ale założenia tego myślenia są proste, prawda? W Polsce to oznacza, że w środku są osoby, które mają między 1,5 tys. a 4,5 tys. zł gotówki na osobę w gospodarstwie domowym.

I część osób, gdy widzi te liczby, mówi, że sobie z nich kpicie. 1,5 tys. zł na osobę to nie jest żadna klasa średnia, bo dziś za tyle pokoju albo kawalerki w Warszawie nie wynajmiesz, nie mówiąc już o utrzymaniu się – krzyczą. I ja, prawdę mówiąc, tej irytacji się nie dziwię.

– Ja też się nie dziwię. Ale to kwestia zderzenia wyobrażeń o klasie średniej z popkultury i telewizji z rzeczywistością ekonomiczną. Stereotyp mówi, że osoba z klasy średniej może jeszcze nie lata na wakacje

eprasa.pl 86890ebbab

Straszenie śmiercią klasy średniej to niedorzeczność

Polski Ład premiera Morawieckiego to „polska łatka". Oszczędny program, a nie żadna antyliberalna rewolucja

na Malediwy, ale domek na przedmieściach i własne auto ma. Niestety, to mit, a konkretnie połączenie dwóch mitów. Obietnicy III RP o tym, jak powinno wyglądać przyzwoite życie w kapitalizmie, i wyobrażenia o potędze klasy średniej z krajów zamożnego Zachodu. Nakarmieni tymi mitami myślimy, że mały domek na własność i zdolność oszczędzania to jakieś życiowe minimum. Tymczasem w polskich warunkach własna nieruchomość może oznaczać już milionowy majątek, a według danych 40% gospodarstw domowych wciąż nie posiada żadnych oszczędności. Dlatego ekonomiczne, dochodowe podejście do klas społecznych budzi sprzeciw. Te granice klasy średniej wydają się z obu stron zaniżone. 1,5 tys. zł – przecież za tyle ktoś głoduje i właściwie trzeba mu pomóc! A niecałe 5 tys. zł z drugiej strony to przecież także, jak się wydaje, żadna zamożność – nikt za tyle nie kupi sobie ani domu, ani jachtu, ani sportowego samochodu.

Ale to nie jest tylko polski przypadek. Młody Włoch albo Hiszpan, którego nie stać nawet na kawalerkę i mieszka z rodzicami do 30. roku życia, zarabiając pensję minimalną, również by się zezłościł, gdyby ktoś chciał go zapisać do klasy średniej.

– To jest problem z ekonomistami. Często zupełnie arbitralne liczby i stworzone na ich podstawie granice – inflacji czy zadłużenia – każemy traktować jako święte i obowiązujące. W rzeczywistości nic nie jest takie proste. Ale spójrzmy, co by było, gdyby nagiąć te ekonomiczne granice klasy średniej do oczekiwań ludzi na temat stopy życiowej i ich potrzeby porównywania się z zagranicą – szybko by się okazało, że np. 70% Polek i Polaków należy do klasy niższej, choć mają etat, stabilną pracę i może nawet jakieś oszczędności.

ŁUKASZ KOMUDA
– ekonomista, ekspert Fundacji Inicjatyw Społeczno-Ekonomicznych, współtwórca podcastu „Ekonomia i cała reszta". Redaktor, autor przekładów książek ekonomicznych, komentarzy i analiz.

Czy to byłoby uczciwsze? Czy wtedy nie irytowalibyśmy ludzi? Każdy model pozostawi kogoś niezadowolonym. Ale jasne, czasem i ja muszę sam sobą potrząsnąć i zastanowić się, czy trzymam się tego ułamka albo procenta, bo ma to uzasadnienie, czy po prostu uległem czarowi okrągłych liczb.

Po tym jak premier ogłosił założenia Polskiego Ładu, część publicystów zaczęła wieszczyć rychły koniec klasy średniej, która umrze pod ciężarem nowych obciążeń podatkowych. Słusznie?

– Dotychczasowy polski system podatkowy to było kuriozum. Biedniejsi płacili proporcjonalnie większy odsetek swoich dochodów w podatkach i składkach niż bogaci. To jest coś, czego nikt nigdzie na świecie świadomie nie buduje. Trudno znaleźć nawet jakieś ultraliberalne czy libertariańskie argumenty za taką konstrukcją – tam dominuje raczej marzenie o idealnym podatku liniowym zanurzonym w próżni, takim samym od każdej formy dochodu. PiS w Polskim Ładzie proponuje pewne łagodne zmiany w stronę progresji. Ale nie ma tam przecież kolejnego progu, radykalnej podwyżki stawek, za to znajdziemy kilka elementów łagodzących. Mówienie o jakiejś zagładzie klasy średniej w tym kontekście jest podwójnie śmieszne.

Podwójnie?

– Po pierwsze, dlatego że skala tych zmian jest tak niewielka. Zarabiam miesięcznie 10 tys. zł brutto na rękę, podnoszą mi podatki o 85 zł, idę sobie podciąć żyły? No nie żartujmy. Po drugie, sztafeta publicystów „Newsweeka" czy „Gazety Wyborczej" strasząca nas teraz nieuchronną zagładą klasy średniej tak naprawdę reprezentuje klasę wyższą. Tylko nie chcą oni tego przyjąć do wiadomości! Często są to osoby, które nawet nie mówią w imieniu zwyczajnie zamożnych, tylko same znajdują się na szczycie szczytów, w gronie powiedzmy 5% najlepiej zarabiających Polaków. I rozumiem, że one sprzeciwiają się większej progresji podatkowej. Ale obowiązkiem zarówno ekonomisty, jak i uczciwego dziennikarza jest powiedzenie, że ci obrońcy dotychczasowych stawek podatkowych nie należą do klasy średniej.

Premier Morawiecki powiedział niedawno – co szybko zyskało rozgłos – że bogaci w Polsce nie dokładają się wystarczająco do systemu, do szkół i dróg, z których w końcu korzystają. Ale on sam jest milionerem, a gdy mówi „bogaci", ma na myśli głównie zarabiających po 6-8 tys. zł albo 10 tys. To kwoty absolutnie nieporównywalne z jego

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 86890ebbab

własnym majątkiem i zarobkami prezesa banku. Dlaczego na to się nabieramy?

– To prawda i trzeba zwrócić uwagę, że w Polskim Ładzie nie ma mowy o podatkach nakierowanych na najzamożniejszych: majątkowym i spadkowym. Nie ma o tym słowa. Ja zaś stoję na stanowisku podobnym do tego, które reprezentują np. badacze z grupy Dobrobyt na Pokolenia. Mianowicie: potrzebujemy podatku majątkowego, aby chociaż pomóc sfinansować straty, jakie budżet państwa poniósł w czasie lockdownów i pandemii COVID-19. Podatek majątkowy w Polsce nie przyniesie państwu jakichś imponujących przychodów, ale po 10 latach wyrówna nam większość kosztu tarcz antykryzysowych. Choć trzeba pamiętać, że Polacy są bardzo mało majętnym narodem. Rzeczywiście zatem w kraju, gdzie majątki są tak śmiesznie małe, sam podatek majątkowy niestety nie pozwoli nam obniżyć choćby opodatkowania pracy. Żeby to zaczęło się opłacać, stawki podatku majątkowego musiałyby być groteskowo wysokie. Ale to nie znaczy, że nie należy o takich rozwiązaniach mówić i nie należy próbować sięgać dzięki dobrze zaprojektowanemu podatkowi majątkowemu do kieszeni tych naprawdę najzamożniejszych. Na przykład polityków…

Właśnie! Politycy, nawet zwykli parlamentarzyści, często należą w Polsce do elit finansowych. Choć lubią swoje majątki ukrywać albo robić inne dziwne manewry.

– Ale zarazem nie może nas dziwić, że akurat politycy do tej klasy wyższej się zaliczają. Chociaż ukrywania majątków nie można pochwalać.

Jednocześnie niektórzy i tak mówią, że 6 tys. zł na rękę im nie starcza!

– Ja uważam, że parlamentarzyści są naszymi przedstawicielami i nie powinni za bardzo się odklejać od tego, na jakim poziomie żyją ludzie, których mają reprezentować. Mają prawo zarabiać więcej niż medianę krajowych zarobków, albo i dwie, ale naprawdę nie ma potrzeby, żeby im dodatkowo pomagać finansowo w tym odklejeniu się. Spójrzmy na Platformę/Koalicję Obywatelską. Bogaci też mają prawo mieć swoją reprezentację, a liberałom bliżej do bogatych niż biednych. To nie jest zarzut, ale prosty fakt.

A Platforma okopuje się na pozycjach partii najzamożniejszych?

– Oczywiście. Ale o to także nie mam pretensji. Jedyne, co może tu gorszyć, to język i estetyka tego rodzaju walki o swoje interesy. To rozdzieranie szat i krzyczenie o „dorzynaniu klasy średniej" albo straszenie tym, że ludzie masowo wyjadą z Polski. Nikt nie wyjedzie, prawie nikt nie przerejestruje firmy do Czech czy Wielkiej Brytanii, prawie nic się nie zmieni. To nie jest nowy ład, tylko nowa łatka. Nie będzie w Polsce żadnej rewolucji wymierzonej w klasę średnią. Są ludzie, którzy uwielbiają powtarzać, że zapłacą wyższe podatki, ale gdy państwo da im to, co oni by chcieli. Czyli: żadnych kolejek w szpitalach, żadnych dziurawych dróg i wysokie emerytury. Jednak to w praktyce oznacza, że nigdy żadne państwo nie zaspokoi żądań tych ludzi, bo zawsze będzie coś, do czego można się przyczepić. A jeśli można się przyczepić, to jest świetna wymówka, żeby nie płacić podatków, przez co brakuje środków na skrócenie kolejek, naprawę dróg i wzmocnienie systemu świadczeń emerytalnych.

Czy ten język jest jakoś szczególny dla Polski?

– Nie, nie powiedziałbym. Na przykład pochwała podatku liniowego – choć chyba nigdzie na świecie nie występuje on w takiej czystej formie – jest dość powszechna w środowiskach liberalnych. Bo rozwiązania proste i jednoznaczne mają dar przyciągania. Jest coś kuszącego w obietnicy identycznej stawki podatku dla wszystkich i za wszystko. Zarazem nie trzeba długiego namysłu, żeby zrozumieć, że proste rozwiązania niekoniecznie się sprawdziły, często są nieskuteczne i niesprawiedliwe. O koncepcje sprawiedliwości można się spierać, jasne. Bo czy podatek liniowy może być najsprawiedliwszy? Zdaniem niektórych najsprawiedliwsze jest pogłówne...

Tylko że obok tych abstrakcyjnych rozważań są bardzo konkretne cele, jakie chcemy i możemy dzięki podatkom osiągać. A jesteśmy w takim momencie i w takiej sytuacji, że potrzebujemy większej redystrybucji, jak i tego, by inwestycje nakręcały gospodarkę, a pieniądze z konsumpcji szybko do tej gospodarki wracały. I nie trzeba być ekonomistą, by rozumieć, że niektóre wydatki – na jedzenie i utrzymanie – to dziś ważniejsza potrzeba niż inwestycje w mieszkania, kryptowaluty czy klocki Lego. A to ostatnie podobno jest teraz modne wśród tych, których nie stać na inwestycyjny zakup mieszkania.

A jak do tego się mają podatki?

– Ano tak, że patologiczną sytuację w Polsce, ten degresywny system, po prostu należało zmienić. I jak sądzę, to było już nieuchronne. Akurat zrobiło to PiS, ale zrobiłby to każdy odpowiedzialny rząd, choć raczej nie polscy liberałowie. Moim zdaniem zaś – czy komuś to się podoba, czy nie – Polski Ład jest skrojony dość sensownie zarówno pod względem samych propozycji podatkowych, jak i pewnego marketingu politycznego. Bo 90% zyskuje, a 10% traci. Wydaje mi się, że taki system będzie lepszy. I ze względu na redukcję nierówności społecznych, i z uwagi na tę graniczną użyteczność pieniędzy, od której zaczęliśmy naszą rozmowę. W przeciwnym razie w tym degresywnym systemie bogaci będą się bogacić, nierówności rosnąć, a niesprawiedliwość tworzyć będzie oligarchów. Aż w końcu któryś zamarzy skutecznie o tym, by skorumpować władzę albo zwyczajnie ją kupić. To są ostateczne konsekwencje podatkowej patologii.

Dotychczasowy polski system podatkowy to było kuriozum. Biedniejsi płacili większy odsetek swoich dochodów w podatkach i składkach niż bogaci.

W Polskim Ładzie nie ma mowy o podatkach nakierowanych na najzamożniejszych: majątkowym i spadkowym.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl
dymek.substack.com

eprasa.pl 86890ebbab

Z Galicji

Jan Widacki

Obrońcy mitu

Ukazała się niedawno książka „Wokół sprawy Pyjasa" pod redakcją Marii Anny Potockiej. Autorka przestudiowała akta sądowe i IPN, przeprowadziła rozmowy z wieloma osobami i na tej podstawie w bardzo wyważonej formie i niezwykle rzetelnie opowiedziała o sprawie Stanisława Pyjasa, prostując mity i liczne brednie tym mitom towarzyszące. A mitów o tej sprawie naopowiadano już bez liku. Mnie mity – ani brednie – nie przeszkadzają. Każdy może tworzyć mity, opowiadać je, upowszechniać, upiększać. Może też bredzić do woli. Każdemu wolno się ośmieszać. Nawet pół biedy, gdy opierając się na tych mitach i bredniach, odsłania się pomniki i wmurowuje tablice, upowszechniające przy okazji mit. Gorzej, gdy brednie i mity fałszują historię. Jeszcze gorzej, gdy wyrządzają komuś krzywdę.

Maria Anna Potocka przedstawia fakty. Ale ponieważ część tych faktów obala mit, nic dziwnego, że mitomani rzucają się teraz na nią i na red. Wojciecha Czuchnowskiego, którego wina polega na tym, że książkę Potockiej omówił w „Wyborczej".

Mit podstawowy mówi o tym, że Pyjasa zabiła SB. Tezę tę próbowano udowodnić w ciągnącym się kilka lat śledztwie, wszczętym w latach 90., gdy wszystkie archiwa SB były już dostępne dla prokuratora, ale jej nie udowodniono. Po następnych kilku latach kolejne śledztwo prowadził IPN. Powołał zespół biegłych medyków sądowych z całej Polski, z pominięciem medyków krakowskich. Przeprowadzono ekshumację zwłok Pyjasa i dzięki zastosowaniu metod niedostępnych w latach 70. (m.in. tomografii komputerowej) biegli medycy ustalili dodatkowe argumenty przemawiające za nieszczęśliwym wypadkiem. W opinii, znajdującej się w IPN i dostępnej dla zainteresowanych, napisali: „Wyjściową przyczyną zgonu był upadek z wysokości w stanie znacznego upojenia alkoholowego. W jego wyniku doszło do powstania wymienionych wyżej obrażeń, w tym mózgu, skutkujących utratą przytomności. Zasadniczą przyczyną było uduszenie, na co wskazuje ostre rozdęcie płuc…". IPN w 2011 r. cichutko swoje śledztwo umorzył.

Za ten mit prof. Zdzisław Marek zapłacił kierownictwem katedry i na wiele lat dobrym imieniem. Nazwano go „ubeckim ekspertem", który wydał (na życzenie SB oczywiście) nieprawdziwą opinię o przyczynie śmierci Stanisława Pyjasa. Potocka przypomina, że prof. Marek nie wykonywał sekcji Pyjasa ani nie wydawał żadnej opinii w jego sprawie. Sekcję wykonywali dr Jan Kołodziej i dr Barbara Próchnicka, a odbierał (czyli zatwierdzał wnioski) doc. Kazimierz Jaegermann. Potocka rozmawiała z dr. Kołodziejem, który raz jeszcze opisał, jak wyglądała sekcja, jakie były jej ustalenia. I, co najważniejsze, potwierdził, że robiąc sekcję i pisząc z niej protokół, nie konsultował tego z prof. Markiem ani też nie wywierano na niego żadnych nacisków.

Tyle że zwolennicy mitu nie chcą znać faktów. Rzucają się teraz na Potocką, powtarzając te same nieprawdy i te same brednie. Prof. Marek nadal jest „ubeckim ekspertem". A przyczynę śmierci i tak jeden dziennikarz i zarazem niespełniony pisarz wespół z pewnym posłem i jeszcze jedną paniusią, co to bohatersko w stanie wojennym przechowywała w ulu u tatusia ryzę papieru przeznaczonego na ulotki, ustalają lepiej i oczywiście inaczej niż cały legion medyków sądowych.

I po co to wszystko? Dlaczego odsłonięcie fragmentów prawdy wywołuje taką wściekłość dawnych kolegów Pyjasa i tych, którzy po jego śmierci dołączyli do tego środowiska? Przecież nikt nie kwestionuje, że po śmierci Pyjasa i w reakcji na nią powstał Studencki Komitet Solidarności, że tak zrodziła się w Krakowie pod koniec lat 70. zorganizowana opozycja. W szczególności nie kwestionuje tego Potocka. Przeciwnie. Wyraźnie to mówi.

W 1977 r. byłem młodym pracownikiem naukowym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wiadomość o śmierci nastawionego opozycyjnie studenta wzburzyła całe środowisko akademickie. Powszechne było wtedy przekonanie, że za tę śmierć odpowiada SB lub MO. Przeważała hipoteza, że śmierć była efektem pobicia przez mundurowych lub niemundurowych funkcjonariuszy.

W zabójstwo umyślne raczej nikt nie wierzył. Nawet w epoce schyłkowego Gierka bezpieka nie biła ani tym bardziej nie zabijała. Owszem, mogła doprowadzić do wyrzucenia z pracy lub ze studiów, mogła zatrzymać paszport i uniemożliwić wyjazd zagraniczny, mogła przyblokować awans… Zatrzymać na 48 godzin pod byle pretekstem – tak. Ale to był okres, kiedy dopiero rodziła się opozycja. Dopiero co powstał Komitet Obrony Robotników, dwa lata później Konfederacja Polski Niepodległej. Praktyki bezpieki także później się zmieniły. Ale w 1977 r., jak już, to biła raczej milicja (szczególnie ZOMO), o czym po wydarzeniach w Radomiu wiedziała cała Polska. O biciu zatrzymanych na komisariatach też było powszechnie wiadomo. Spekulowano więc: może Pyjas wdał się w jakąś awanturę z milicjantami, może chcieli go tylko pobić, ale przesadzili?

Nikt z nas nie znał wtedy akt, wyników sekcji, ustaleń śledztwa. Tak sobie przemyśliwaliśmy. Dziś, oprócz śledztwa z 1977 r., do którego z przyczyn zasadniczych można by nie mieć zaufania, są akta dwóch kolejnych. Nie tylko żadne nie potwierdziło związków śmierci Pyjasa z bezpieką – one wykluczyły tezę, że padł ofiarą zabójstwa, a nawet, że został pobity i zmarł w wyniku pobicia.

Akta są dostępne w IPN. Jeśli ktoś chce z nimi się zapoznać, to może. Ale mitomani nie chcą. Oni i tak wiedzą lepiej. Wściekli rzucili się na Marię Annę Potocką. Plują i bredzą… Czy naprawdę nie przychodzi im do głowy, że wszystko to, co dziś z siebie wyrzucają na łamy gazet, ktoś w przyszłości będzie czytał, zestawi ich wypowiedzi z faktami, a nawet z zasadami logiki, i uzna ich za zacietrzewionych durniów? Naprawdę nie zastanowiliście się, że wasze wnuki może będą się za was wstydzić? Wasza sprawa.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 86890ebbab

Jak wójt z radą

Konflikt w gminie Grunwald

Helena Leman

Z Ostródy do Grunwaldu droga wije się malowniczo przez dolinę Drwęcy. Od Gierzwałdu, w którym mieści się siedziba gminy, krajobraz zaczyna się zmieniać na bardziej płaski, by przejść w okolicy Stębarku w Grunwaldzkie Pola. Na tych polach od 1998 r. z inicjatywy byłego wójta Henryka Kacprzyka, obecnie szefa Fundacji Grunwald, odbywa się plenerowa inscenizacja średniowiecznej bitwy. W zeszłym roku przedsięwzięcie odwołano ze względu na epidemię, w tym roku odbywać się będzie w cieniu toczącego się w gminie konfliktu.

Nowy wójt gminy Grunwald Adam Szczepkowski, który startował z Komitetu Wyborczego PiS, zamiast szukać płaszczyzn współpracy z opozycyjną w większości radą, postanowił wytoczyć jej wojnę. 25 października ub.r. odbyło się referendum w sprawie odwołania rady gminy, jednak z powodu zbyt małej frekwencji (17,75%) nie stało się wiążące.

Nowy wójt gminy Grunwald Adam Szczepkowski zamiast współpracować z opozycyjną w większości radą, wytoczył jej wojnę.

Wobec tego wójt zwrócił się o rozwiązanie rady w trybie nadzorczym 3 listopada w piśmie do wojewody warmińsko-mazurskiego Artura Chojeckiego, a gdy ten nie podjął działań, do premiera Mateusza Morawieckiego. W 20-stronicowym liście do premiera z 5 marca br. wójt pisze o wszechobecnym „układzie administracyjnym, politycznym i społecznym", który stworzył jego poprzednik przez 28 lat urzędowania, a z którym on teraz musi się mierzyć. „Henryk Kacprzyk spotyka się z opozycyjnymi radnymi i nadal zarządza samorządem, nierzadko z niekorzyścią dla mieszkańców", czytam w liście. W piśmie obrywa się wszystkim: radnym, nawet z komitetu wójta, dyrektorom szkół, policji, prokuraturze, na sądach kończąc. Nawet posłowi Zbigniewowi Babalskiemu z PiS dostaje się za to, „że przez ostatnie dwa lata nie zaszczycił gminy swoją obecnością", a na uroczystościach w powiecie przytulał Henryka Kacprzyka jak przyjaciela, wójtowi nawet nie podając ręki.

Jednak najbardziej szokujące jest upublicznienie danych wrażliwych. Radną Małgorzatę Kamińską wójt charakteryzuje tak: „Prywatnie matka lesbijki o poglądach mocno lewicowych". Dalej zaś pisze: „Radna Bawolska Ewa lecząca się psychiatrycznie przewodnicząca rady. Propaguje postulaty środowisk LGBT, matka córki lesbijki".

Ten gwizd wszedł we mnie

Z Ewą Bawolską spotykam się w jej domu w Stębarku. Podczas rozmowy zaznacza, żeby pokazać wszystkie elementy konfliktu, a nie tylko skupiać się na wątku ujawnienia preferencji seksualnych córki.

– Stwierdzenie wójta w liście do premiera, „że gmina nie zyskuje nic na inscenizacji bitwy pod Grunwaldem", jest równie oburzające jak atak na córkę. Oczywiście upublicznienie jej orientacji było prymitywne. Zwłaszcza że bardzo długo z tym walczyła, a kiedy po 10 latach już sobie wszystko poukładała, ten jej spokój nagle runął, zadzwoniła do nas roztrzęsiona. Nigdy nie kryliśmy się z jej orientacją seksualną. Ta sytuacja była w pełni przez nas akceptowana. Wychowałam siódemkę dzieci, czterech synów i trzy córki, najstarszy syn jest niepełnosprawny. Odtrącając córkę z powodu inności, musiałabym odtrącić i jego. Jestem zdeklarowaną katoliczką i wiem, co o osobach homoseksualnych mówi Pismo Święte, ale pisali je tylko ludzie. A Bóg jest miłosierny.

Ewa Bawolska jest po studiach na kierunku administracja publiczna, pracowała przez pięć lat jako nauczycielka, obecnie współpracuje ze stowarzyszeniem osób niepełnosprawnych. Do rady gminy weszła w drodze wyborów uzupełniających w lutym 2019 r. na miejsce zwolnione przez Adama Szczepkowskiego. W maju 2020 r. wybrano ją na przewodniczącą rady.

– Gdy na sesji 13 maja zostałam powołana na to stanowisko, co było dla mnie zaskoczeniem, nagle usłyszałam przeraźliwy gwizd pani wójtowej – opowiada. – Zabolało mnie to do tego stopnia, że nie umiałam się pozbierać. Poszłam do psychiatry. Nie ukrywałam, że się leczę, i nawet do głowy mi nie przyszło, że ktoś może ten fakt przeciw mnie wykorzystać.

Kiedy na sesji 18 marca br. radni pytali o listy, wójt udzielił wymijającej odpowiedzi. Wobec tego wystąpili o ujawnienie całej korespondencji w drodze dostępu do informacji publicznej.

– Według mnie wójt „zdiagnozował" orientację seksualną mojej córki na podstawie śledzenia jej mediów społecznościowych – relacjonuje Małgorzata Kamińska. – Ja dowiedziałam się o niej z listu do wojewody, który pierwszy do nas dotarł i był podobny w treści do pisma do premiera. Przesłałam go córce, gdyż nie dowierzałam. W Wielki Piątek, późnym wieczorem, wpadła do nas z takim płaczem, że nie mogliśmy jej uspokoić. Zaczęła nas przepraszać, tłumaczyć, że nie chciała, że przez nią będziemy mieli kłopoty. W pewnym momencie powiedziała, że planowała rzucić się pod pociąg, a mieszka blisko linii kolejowej. Całą noc jej tłumaczyliśmy, że ją kochamy i zawsze może na nas liczyć, że rozumiemy, że jeszcze nie była gotowa, aby nam powiedzieć. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło, otrzymała wiele wsparcia, także od obcych ludzi.

19 marca na koncie wójtowej na jednym z portali społecznościowych ukazało się zdjęcie Daniela Obajtka z dwuznacznym napisem: „Pocałujta w dupę wójta".

eprasa.pl 86890ebbab

Wójt Adam Szczepkowski zaznaczył, że kto nie chce współpracować, lepiej żeby złożył mandat.

– Nie ukrywałam, że się leczę, i do głowy mi nie przyszło, że ktoś może to wykorzystać – mówi radna Ewa Bawolska.

– Na początku kwietnia małżonka wójta udostępniła dwa posty o tym, że odmienna orientacja seksualna dzieci wynika z błędów wychowawczych rodziców – dodaje Ewa Bawolska. – Nie było tam wprost odniesienia do mojej sytuacji, ale myślę, że to główny powód, dla którego wójt wyciągnął tę sprawę. W połowie kwietnia pojawiła się na tym samym koncie grafika z tęczowymi krzesłami; takich zawoalowanych treści było więcej. Jeśli chodzi o moją sytuację, rozwiążę ją podczas postępowania sądowego.

Także Małgorzata Kamińska i jej córka złożyły pozwy w sądzie. Kobiety wsparł Olsztyński Marsz Równości. „Ani orientacja seksualna, ani zdrowie psychiczne nigdy nie powinny być wykorzystywane jako argument do dyskredytacji jakiejś osoby. (…) W tej sprawie najgorsze jest to, że wójt wyciągnął orientację seksualną dzieci i zaatakował rodzinę radnych. Wykluczenie kogokolwiek jest przemocą, szczególnie jeśli jest to poruszane w dyskusji publicznej”, mówiła mediom Emilia Bartkowska-Młynek.

Donosy, pogróżki, plakaty i nekrologi

Ewa Bawolska w wyborach samorządowych 21 października 2018 r. głosowała na Arkadiusza Rosę, dyrektora szkoły niepublicznej w Dylewie, który przegrał w pierwszej turze. W drugiej turze udziału nie wzięła, gdyż była w sanatorium. Jak wielu w gminie Grunwald chciała zmian, nowej krwi, nowego pomysłu na zarządzanie małą ojczyzną.

– Na początku większość z nas popierała wójta, ustaliliśmy jego wynagrodzenie najwyżej, jak to możliwe w widełkach – mówi. – Był po czterdziestce, prowadził duże gospodarstwo. Pierwszy zły sygnał wychwyciłam zaraz po kampanii. Wójt, dziękując za poparcie w wyborach, zaznaczył, że liczy na współpracę z radnymi, a ten, kto nie chce współpracować, lepiej, żeby złożył mandat.

W styczniu 2019 r. wójt przedstawił na sesji projekty uchwał o zamiarze likwidacji dwóch z pięciu szkół publicznych w gminie. Rada 24 stycznia 2019 r. podjęła uchwałę o zamiarze likwidacji szkoły w Mielnie, ale odrzuciła pomysł zamknięcia szkoły we Frygnowie. Sprawa szkół ciągnęła się aż do kwietnia 2020 r. i zakończyła fiaskiem. Wójt w liście do premiera skarży się, że „do dyskusji z rodzicami nie doszło, bo radni przy nacisku dyrektorów nie podjęli nawet uchwały intencjonalnej”. Pisze też, że jego poprzednik „nie pilnował rozhulanych nadgodzin” w oświacie itp. Do tego doszło niezgodne z prawem przeprowadzenie konkursu na dyrektora SP w Stębarku.

O bardziej sprawiedliwe i kulturalne traktowanie dyrektorów apelowała Ewa Chmielińska z ZNP. Szerzej pisze o tym w Grunwaldzkich Komentarzach na FB Piotr Kołodziejski, wydawca lokalnej gazety „Boleści Grunwaldu”. – Z tymi szkołami to trzeba było inaczej rozegrać – mówi zaś Małgorzata Kamińska. – Najpierw porozmawiać, wysondować, posłuchać drugiej strony. Przeprowadzić reorganizację zamiast likwidacji. Nie zwalniać od razu z gminy fachowców, którzy mieli doświadczenie.

Na dyrektora jednej ze szkół przeznaczonych do likwidacji wpłynął donos do urzędu gminy, że molestował dzieci. Chociaż prokuratura sprawę umorzyła, wójt szeroko opisuje ją premierowi, z użyciem nazwiska dyrektora, krytykując przy okazji prokuraturę, że badała sprawę pod innym zarzutem niż wymieniony w anonimie.

– Adam Szczepkowski w piśmie do premiera wiele rzeczy nadinterpretuje i wielokrotnie mija się z prawdą. Jako przykład podam rzekome przywłaszczenie 300 tys. zł przez dyrektorkę szkoły. Tutaj po prostu doszło do błędu, gdyż wpisano złą liczbę uczniów do tabelki. Żadne pieniądze nie zniknęły. Zwrócimy się do organu nadzoru w kwestii tych fałszywych doniesień – zapowiada Ewa Bawolska.

Opozycjoniści podkreślają, że choć wójt przedstawia się jako walczący z układem, sam tworzy nowy: zatrudnił żonę w gminnym ośrodku kultury na stanowisku kierownika artystycznego, a szwagra na zlecenie w nowo powstałym Grunwaldzkim Centrum Sportu, Rekreacji i Turystyki. Zastępcą wójta jest jego kuzyn.

Z listu wójta do premiera: „Prywatnie matka lesbijki o poglądach mocno lewicowych”, „lecząca się psychiatrycznie przewodnicząca rady”.

FOT. FACEBOOK, HELENA LEMAN

eprasa.pl 86890ebbab

Kolejnym punktem wywołującym niezgodę są finanse gminy, którą nowy wójt przejął z zadłużeniem ok. 9 mln zł. – Większość gmin ma długi, lecz my nie chcemy się dalej zadłużać, rolować kredytu kredytem. Kanalizacja siada, hydrofornia ledwo chodzi, oczyszczalnia też, a gmina kupuje cyfrowe wodomierze. Po co ludziom wodomierze, jeśli nie będą mieli wody? – pyta Małgorzata Kamińska.

„Uporczywe dążenie wójta do emisji obligacji najpierw na kwotę 14, potem 10, a na koniec 9 mln zł zbiegło się z odwołaniem przez radę gminy dotychczasowej przewodniczącej. Zarówno wybór przewodniczącego, jak i podjęcie uchwały w sprawie obligacji to wyłącznie kompetencja rady gminy, a nie mieszkańców, wójta czy jakiejś grupy nieformalnej. Tymczasem transparenty i okrzyki zgromadzonych na sesji osób miały wywrzeć presję na radnych. Zresztą na tym się nie skończyło, niektórzy radni otrzymywali pogróżki przez telefon, słownictwo użyte w tych wiadomościach nie nadaje się do zacytowania" – tak opisuje sesję z maja 2020 r. w „Grunwaldzkich Komentarzach" radny Ryszard Bala.

Na facebookowym profilu wójta pojawił się też plakat z napisem, że „radni jednym głosowaniem pozbawili mieszkańców Gląd świetlicy, Dylewa – remontu drogi, a gminę zakupu komputerów dla uczniów i nauczycieli do zdalnego nauczania i remontu GOK-u".

Na początku kwietnia br. Ryszard Bala odebrał przesyłkę z własnym nekrologiem. Wcześniej nieznani sprawcy, podpisani jako mieszkańcy, postawili między Zybułtowem a Mielnem baner wzywający go do rezygnacji z funkcji radnego. W liście wójt donosi premierowi, że Bala nawołuje ludzi do zmiany rządu, ukradł kartę podczas referendum, „niezrozumiałe jest też, że popiera wpisy na FB mówiące, że żołnierze wyklęci to bandyci, z których robię bohaterów. Gdzie są granice?", pyta wójt, który od nekrologu się odciął i rzecz potępił.

Autorefleksji brak

Sposób komunikowania się wójta z radnymi pokazuje jego wystąpienie na sesji 18 marca 2021 r.: „Nie będziemy się bawić dalej w kotka i myszkę (…). Jakąś drogę rozwiązania z tego impasu znajdę. Czy to się Państwu będzie podobało, czy też nie. Czy będą takie pytania, czy inne padały w moją stronę, to ja to zrobię. I Państwu nie ulegnę. Żebyście mieli tę świadomość. I ten wasz mentor, który ukierunkowuje niektórych tutaj, to niech sobie nie myśli, że będzie wiecznie bezkarny".

Zdaniem przewodniczącej rady Adam Szczepkowski nie rozumie, na czym polega samorządność. Traktuje gminę jak własny folwark, a radnych jak swoich poddanych, którzy mają być mu bezwzględnie posłuszni.

13 kwietnia 2021 r. rada gminy wystąpiła z listem otwartym do wójta, wezwała go do zaniechania nagonki na opozycyjnych radnych, których jest 10 w 15-osobowej radzie, oraz skupienia się na realizacji zadań samorządowych. List kończy się frazą: „A jeśli to dla Pana niewykonalne – wzywamy do złożenia mandatu".

Wójt odpowiedział oświadczeniem, które trudno nazwać kompromisowym. – Poraża w nim absolutny brak autorefleksji – komentuje Piotr Kołodziejski. – Z oświadczenia wynika, że to Adam Szczepkowski i jego rodzina są ofiarami nagonki medialnej. Wójt tłumaczy, że pism skierowanych do wojewody i premiera nie podał do publicznej wiadomości. Chyba nie wie, że jeśli podbija pismo urzędową pieczątką, to w tym momencie traci ono walor listu prywatnego.

26 kwietnia zarejestrowano komitet referendalny. W gminie trwa zbieranie podpisów pod wnioskiem o przeprowadzenie głosowania w sprawie odwołania wójta. W uzasadnieniu wniosku postawiono mu 10 zarzutów.

Ministerstwo analizuje

Art. 96 p. 2 ustawy o samorządzie gminnym mówi: „Jeżeli powtarzającego się naruszenia Konstytucji lub ustaw dopuszcza się wójt, wojewoda wzywa wójta do zaprzestania naruszeń, a jeżeli wezwanie nie odnosi skutku – występuje z wnioskiem do Prezesa Rady Ministrów o odwołanie wójta". Pytam więc, czy wojewoda warmińsko-mazurski wezwał oficjalnie wójta do zaprzestania naruszeń. Zwłaszcza że sytuacja się powtórzyła, listy o wydźwięku dyskryminacyjnym były dwa. Pytam też, czy treści zawarte w liście do premiera nie naruszają art. 32 i 47 konstytucji.

17 maja rzecznik prasowy wojewody Krzysztof Guzek odpowiada, że obecnie nie toczy się żadne postępowanie o naruszenie prawa przez wójta gminy Grunwald. 19 maja Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji, do którego został przekazany list do premiera, wyjaśnia, że „sprawa jest analizowana przez MSWiA we współpracy z Wojewodą Warmińsko-Mazurskim. W piśmie Wójta został sformułowany wniosek dotyczący rozwiązania Rady Gminy Grunwald, stąd konieczność uzyskania stanowiska Wojewody, na które MSWiA obecnie oczekuje".

Odpowiedź MSWiA jest zastanawiająca, zwłaszcza w kontekście art. 96 p. 1, który mówi o rozwiązaniu rady gminy na wniosek prezesa Rady Ministrów, w drodze uchwały przez Sejm.

Choć wójt przedstawia się jako walczący z układem, sam tworzy nowy. Zastępcą Szczepkowskiego jest jego kuzyn.

Wójt nie odpowiedział na moje pytanie, czy nie lepiej było uszanować wynik ubiegłorocznego referendum, przeprosić i zacząć nowe rozdanie.

20 maja w Sejmie oświadczenie w tej sprawie wygłosiła posłanka Lewicy Monika Falej: „Gdyby był to spór merytoryczny, pozostawiłabym sprawę odpowiednim instytucjom i literze prawa. Jednak w krążących kopiach listu pomawia się radnych i radne i ujawnia się dane wrażliwe członków ich rodzin. Pragnę wyrazić swój stanowczy sprzeciw wobec takich praktyk, szczególnie gdy mają podłoże homofobiczne".

Na koniec pytam o sprawę w sołectwach. Zdania są podzielone, jedni twierdzą, że odwołanie wójta w połowie kadencji nie ma sensu, drudzy są na niego wkurzeni i licznie podpisali się pod referendum, jeszcze inni mówią, że z wójtem dałoby się porozumieć, gdyby nie występował w tandemie. Takie głosy słyszę nie tylko w sołectwach.

Helena Leman
h.leman@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 86890ebbab

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Ekscesywność

„Ekscesywny" – to ulubione słowo Romana Graczyka. Używane wszakże bez troski o jego prawdziwe znaczenie. Jednak w sensie Graczykowym książka „Demiurg. Biografia Adama Michnika" jest ekscesywna niewątpliwie. Jak zawsze u tego autora występują tu bowiem amatorszczyzna, brak zaplecza historycznego i kulturowego oraz brak warsztatu. Te ułomności niszczą książkę w zarodku. Bo gdyby nie one, nie przykładałby Graczyk takiej wagi do relacji składanych po latach, niemających zatem wartości źródłowej, nie cytowałby „za kimś" (nagminną formułą jest tu „cyt. za"), nie pisałby komunałów o „tradycji dworkowo-niepodległościowej", nie absolutyzowałby międzywojennego komunizmu, nakładając go mimowolnie na ukraiński nacjonalizm, nie uważałby, że działalność antypaństwowa i działalność szpiegowska to zjawiska *de facto* tożsame. Gdyby zaś była mu znana Tacytowa formuła *sine ira et studio*, nie zastygłby w pozycji niezłomnego solidarnościowca z lat 80. zeszłego wieku, nie pisałby o „zabójstwie Pyjasa", nie dostrzegałby w Jerzym Urbanie jedynie rzecznika stanu wojennego. Nie podejmowałby też polemiki z Pawłem Smoleńskim na temat lustracji, bo mówi ona wiele o obu adwersarzach, lecz niczego o Michniku (takich wtrętów nie na temat jest w książce sporo). Umiałby wreszcie oddzielić fakty ważne od nieważnych, nie zajmowałby się plotkami i sprawami alkowy, w ocenie ludzi nie stosowałby uproszczonych etykietek, nie podejmowałby ryzykownych uogólnień. „W czasach KPP – pisze – Słonimski komunistą nie był, a został nim w latach 50.". Jakby powrót w 1951 r. do kraju i włączenie się w działalność propagandową były automatycznym akcesem do partii. „Nie uważam, iżby żydostwo było czymś obciążającym", zauważa łaskawie gdzie indziej. Graczyk nie zna nawet terminu tak dla historyka istotnego jak „prezentyzm" – musi mu go wyjaśniać Ludwik Dorn.

Gdybyż jednak szło tylko o luki w wykształceniu. W tej książce najbardziej uderzają pycha i brak empatii. Czytelnik woli już, gdy Graczyk (w imię – a jakże – obiektywizmu) „dowala" Michnikowi, niż gdy go komplementuje, klepie po ramieniu, recytuje swoje *chapeau*, chwali za „klasę" i „styl". „Strzeż mnie, Boże, od przyjaciół, z wrogami sam sobie dam radę" – chciałoby się powtórzyć starą sentencję, choć o przyjaźni nie ma tu mowy (co byłoby godne uszanowania, choć nie w przypadku Graczyka), ale nie ma też mowy o życzliwości (która ze skomplikowanej materii historycznej pozwoliłaby to i owo zrozumieć). Tymczasem Graczyk – jak to Graczyk – rozumie niewiele, a przemilcza sporo. Michnikowi zarzuca tłumienie wolności słowa (*sic*!), nie wspomina jednak, że wytaczane przez niego procesy sądowe zabiegały po prostu drogę szerzonym kłamstwom („poznajcie prawdę, a ona was wyzwoli"?). Trwające latami zmasowane ataki na Michnika, to „wycie", o którym kiedyś pisał zmarły niedawno Andrzej Osęka, są u Graczyka absolutnie nieobecne. I dzieje się tak nawet w przypadku listu zbiorowego z listopada 2008 r., twierdzącego – wbrew faktom i wbrew prawomocnemu wyrokowi sądowemu – jakoby Michnik „wielokrotnie powtarzał: ja tyle lat siedziałem w więzieniu, to teraz mam rację". Graczyk zapomniał? Ten list sam podpisał.

Kreując się na jedynego sprawiedliwego, traktuje więc Graczyk wybiórczo nie tylko Michnikowy, lecz i własny życiorys. Półgębkiem, w jednym przypisie, wspomina kilka swych tekstów w „Gazecie Wyborczej", dodaje nawet, że w pewien sposób kształtowały one jej oblicze, nie mówi jednak, że nie były to na tych łamach jedyne teksty jego autorstwa, że był on przez 12 lat jednym z czołowych publicystów „Gazety", że przez rok czy dwa pełnił funkcję sekretarza jej wydania krakowskiego. Graczyk roni łzy nad „nietolerancją" „Gazety", choć przecież długo tolerowano tu jego teksty, jaskrawo sprzeczne z linią Michnika. Na okładce „Demiurga" wymienia (bo trudno przyjąć, by tego z nim nie uzgodniono) różne swoje książki, pomija jednak, traktującą o „Tygodniku Powszechnym", skandalizującą „Cenę przetrwania?" – jakby chciał przemilczeć także to, że kolejne miejsca swej pracy regularnie po latach dezawuuje. Zapomina wreszcie, że Adam Michnik podał mu kiedyś pomocną dłoń, zatrudniając go w swojej firmie, w dodatku na wyjątkowych prawach, bez konieczności przeniesienia się z Krakowa do Warszawy.

Rozumiem, że rola Katona nie pozwala pamiętać o długach wdzięczności. I nawet gotów byłbym to także uszanować, wszakże pod jednym warunkiem: by o tym uwikłaniu (kolejne ulubione słowo Graczyka) czytelnik został poinformowany. Tymczasem tego też tu zabrakło. Choć inna sprawa, że to sam Graczyk, jeszcze przed rozpoczęciem pracy nad książką, powinien postawić sobie pytanie, czy w ogóle powinien się do niej zabierać. Do pisania biografii Michnika miał on przecież prawo mniejsze niż ktokolwiek.

Zapewne nie jestem obiektywny – Graczyka znam osobiście, przez kilkanaście lat (do „Ceny przetrwania?") byłem z nim na stopie przyjacielskiej. Ale to z tej właśnie racji uważam, że trzeba dać świadectwo. Bowiem – wśród wielu innych – mam też w pamięci moment odejścia Graczyka z redakcji „Tygodnika Powszechnego", w proteście – uwaga – przeciw uprawianej tu apologii Jana Pawła II. Wtedy, w 1991 r., nie uważałem, by Graczyk postępował słusznie, ale dla jego odwagi cywilnej i bezkompromisowości miałem wielki szacunek, kiedyś broniłem go nawet przed Jerzym Turowiczem. Dziś widzę, że nie było warto. Graczyk, miotający się w życiu od ściany do ściany, jest w gruncie rzeczy zawsze taki sam. Ekscesywny.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 86890ebbab

W ubogich dzielnicach Baltimore jest opuszczonych ok. 16 tys. budynków.

MIESZKANIOWA SEGREGACJA

Amerykańska bieda ma czarny kolor. Nie bez przyczyny

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Ponad pół wieku po zrównaniu w prawach obywatelskich Afroamerykanie pozostają najuboższą warstwą amerykańskiego społeczeństwa. Obiegowa opinia chętnie szuka przyczyn tego stanu w indywidualnych wyborach, a nawet wadach osobowościowych – lenistwie czy braku ambicji. Odkąd ruch Black Lives Matter (Czarne życia się liczą) wywalczył miejsce na debatę o kategoriach dyskryminacji, na które wciąż istnieje ciche, acz systemowe przyzwolenie, Ameryka mierzy się z niewygodnymi faktami na temat spuścizny po latach segregacji, a także przejawów swojego wciąż żywego rasizmu. Kiedy – i czy w ogóle – sprawiedliwości społecznej stanie się zadość?

W 1968 r., cztery lata po ogłoszeniu Ustawy o prawach obywatelskich (Civil Rights Act, CRA) kończącej erę segregacji Waszyngton zatwierdził Ustawę o sprawiedliwym dostępie do mieszkalnictwa (Fair Housing Act, FHOA), która formalnie zakazywała dyskryminacji na tle rasy, religii i pochodzenia (po poprawce w 1974 r. również płci) podczas sprzedaży, wynajmu czy finansowania lokalu mieszkalnego. Olbrzymi odsetek czarnoskórej populacji Ameryki powitał FHOA z dużo większym entuzjazmem niż desegregację. Realizacja amerykańskiego snu, czyli możliwość podniesienia stopy życiowej i pomnożenia majątku, o wiele bardziej wiąże się bowiem z prawem do własności niż z dyskryminacją rasową w restauracjach czy tramwajach. Ta własność to dla zdecydowanej większości Amerykanów po prostu dom lub mieszkanie. Wartość nieruchomości z biegiem lat rośnie i w ten sposób statystyczni Joe czy Susan Brown stają się z czasem ludźmi zamożniejszymi. Ponadto jako właściciele nieruchomości, lub choćby tylko kredytu hipotecznego, dostają do dyspozycji cały wachlarz możliwości finansowych, które mogą im przysporzyć bogactwa. Najpopularniejsza to pożyczka pod zastaw aktualnej wartości domu. Można z niej sfinansować jego remont lub rozbudowę, zakup nowej nieruchomości, inwestycję na giełdzie, a nawet wyprawę do kasyna. Pieniądz rodzi pieniądz, a w Ameryce dodatkowo nieruchomość rodzi pieniądz.

Bieda bez kredytu

Pół wieku od ogłoszenia równości to szmat czasu, mając te same możliwości ekonomiczne, można by całkiem przyzwoicie się dorobić bez względu na pozycję wyjściową. Statystyki mówią jednak co innego. Udział Afroamerykanów w rynku mieszkaniowym wciąż jest najniższy

eprasa.pl 86890ebbab

w kraju, na poziomie nieco ponad 40%. Tymczasem wśród populacji białej odsetek ten wynosi 76%, a wśród Azjatów i Latynosów ponad 60% (Brookings Institution, 2019 r.). Więcej – ubiegłoroczny powszechny spis ludności wykazał, że tendencja jest spadkowa. We własnym domu żyje dzisiaj mniej czarnoskórych Amerykanów niż 40-50 lat temu. O co chodzi?

Szybka i do niedawna pokutująca w przestrzeni publicznej odpowiedź brzmi: bo Afroamerykanów nie stać na uciułanie wkładu, a potem na spłatę kredytu. Przepaść majątkowa między nimi a resztą społeczeństwa, zwłaszcza jego białą warstwą, jest ogromna. Przeciętny majątek białego gospodarstwa domowego szacowany jest na 983,4 tys. dol., podczas gdy gospodarstwa czarnoskórego – na 142,5 tys. dol. (Brookings, 2019). Odpowiedź prawdziwa jest jednak dużo bardziej skomplikowana.

Po pierwsze, okazuje się, że kredyt kredytowi nierówny, amerykańskie banki zaś nadal praktykują systemowy rasizm. Wykazali to m.in. ekonomiści z Uniwersytetu Kalifornii, publikując dwa lata temu raport „Dyskryminacja kredytobiorcy w erze innowacji w usługach finansowych". Po przeanalizowaniu danych odkryli, że odsetek odmów udzielenia kredytu hipotecznego w grupie klientów kolorowych (Afroamerykanów i Latynosów) wyniósł prawie 20%, podczas gdy w grupie klientów białych z porównywalną, a czasem nawet niższą zdolnością kredytową zaledwie 7%. Do tego pożyczki dla osób kolorowych były wyżej oprocentowane i choć nie mówimy o dużej różnicy (0,08%), to przekłada się ona na dodatkowe tysiące dolarów zainkasowane od klienta w czasie spłacania pożyczki.

Bieda w inner cities

Po drugie, za utrzymującą się biedą i ślimaczym tempem awansu ekonomicznego czarnoskórej Ameryki po dziś dzień stoją pewne wydarzenia i rozwiązania z przeszłości, w tym polityka samego Waszyngtonu.

– W połowie XX w. rząd federalny realizował dwa wielkie programy, które diametralnie zmieniły oblicze amerykańskiego miasta. Pierwszy to idea budownictwa komunalnego, które często wyrastało na miejscu wcześniej mieszanych dzielnic, zastępując je strefami posegregowanymi. Drugi to plan budowy dotowanych przedmieść, gdzie jednak domy były sprzedawane tylko rodzinom białym. Nic w naszej historii nie przyczyniło się bardziej do segregacji mieszkaniowej i w efekcie ekonomicznej niż realizacja tych dwóch idei – wyjaśnia Richard Rothstein, autor wydanego w 2017 r. bestselleru „Kolor prawa. Zapomniana historia o tym, jak rząd posegregował Amerykę".

Oba programy były dzieckiem ery Nowego Ładu, okresu wzmożonych reform w sferze publicznej, za pomocą których prezydent Franklin Delano Roosevelt wyciągał Amerykę z zapaści po wielkim kryzysie. Budownictwo komunalne nadzorowane przez utworzoną w 1934 r. Federalną Agencję Mieszkaniową (Federal Housing Agency, FHA) miało być ratunkiem dla mas pozbawionych przez kryzys zatrudnienia i tym samym dachu nad głową. Ponieważ jednak wciąż obowiązywała segregacja rasowa (zakazana dopiero w 1968 r.), rząd budował oddzielne blokowiska dla rodzin białych i oddzielne dla kolorowych. By z kolei wesprzeć i ożywić rynek nieruchomości, FHA wprowadziła nową formę kredytu hipotecznego, rozpisanego aż na 30 lat, tak by był on dostępny dla klasy pracującej. O ten wygodny kredyt mogły się ubiegać jedynie osoby białe, z czego zresztą tłumnie korzystały. Już w latach 40. XX w. komunalne osiedla dla białych zaczęły świecić pustkami, podczas gdy po przydział mieszkań w tych dla kolorowych ustawiały się kolejki. Rząd „rozwiązał" problem, otwierając przed rodzinami kolorowymi kolejne blokowiska uprzednio zastrzeżone dla białych. Gdy w latach 50. i 60. reszta białej klasy pracującej wyniosła się na przedmieścia, *inner cities* stały się domeną ludności kolorowej i w takiej formie funkcjonują do dziś.

> We własnym domu żyje dziś mniej czarnoskórych Amerykanów niż 40-50 lat temu.

Bieda za czerwoną linią

Dotowane przedmieścia, czyli sławetne amerykańskie suburbia, to pomysł nieco późniejszy – odpowiedź rządu na powojenną bombę demograficzną. Nowoczesna zabudowa jednorodzinna wciąż jednak nie była dostępna dla kolorowych. Wykluczenie z ofert kredytowych to jedno, ale system ochraniał suburbia przed ludnością kolorową także w inny sposób. Rządowa agencja finansowa Home Owners' Loan Corporation (HOLC) wymagała od banków, by kredytobiorcy podpisywali wraz z aktem własności specjalną klauzulę, że nie sprzedadzą domu osobie kolorowej. Praktyki tej zakaże dopiero wspomniana ustawa o mieszkalnictwie z 1968 r.

Żeby w pełni zrozumieć „sukces" białego przedmieścia, a jednocześnie ekonomiczny cios, jaki wymierzył dzielnicy kolorowej i jej mieszkańcom, trzeba przyjrzeć się praktykom redliningu (zakreślania na czerwono). *Redlining* został wymyślony przez HOLC jako narzędzie chroniące gwarantowane przez rząd pożyczki przed niewłaściwą lokatą kapitału. Miasta dzielono więc na strefy w zależności od ich postrzeganej atrakcyjności inwestycyjnej i odpowiednio oznakowywano. Najmniej atrakcyjne strefy zakreślano na czerwono – stąd nazwa – i niemal zawsze zaliczano do nich dzielnice kolorowe oraz mieszane. Był to sygnał dla agentów nieruchomości, że biały klient zainteresowany posesją w takim miejscu nie otrzyma kredytu. Siłą rzeczy biały klient przenosił zainteresowanie na dzielnice preferowane przez kredytodawców, czyli białe. – Bez znaczenia przy tym bywał fakt, że dane osiedle mogło *de facto* przewyższać zamożnością wszystkie inne w okolicy – wyjaśnia historyk urbanistyki z Uniwersytetu Kalifornii w Los Angeles Eric Avila.

Avila wskazuje jako przykład dystrykt Sugar Hill w Los Angeles. W okresie międzywojennym reprezentacyjna dzielnica LA, jeden z najbardziej pożądanych adresów w mieście, z wystawnymi rezydencjami śmietanki czarnoskórego Hollywood, w tym zdobywczyni

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 86890ebbab

Oscara Hattie McDaniel („Przeminęło z wiatrem"), tuż po wojnie już tylko sypialnia klasy pracującej, a ledwie kilkanaście lat później korytarz komunikacyjny zalany asfaltem.

Bieda samonapędzająca się

Trudno się dziwić, że wszystkie te praktyki prowadziły kolorową Amerykę do katastrofy ekonomicznej. Nieruchomości na wypłukanych z białych sąsiadów, oznaczonych na czerwono osiedlach ulegały deprecjacji. Niższe wpływy z podatków od nieruchomości ograniczały z kolei budżety lokalnych władz na dostarczanie w tych rejonach kluczowych usług publicznych, takich jak utrzymywanie dróg, terenów zielonych i bezpieczeństwa, a zwłaszcza nakłady na szkolnictwo, które w USA jest finansowane właśnie z podatków od nieruchomości. Kolorowe dzielnice podupadały, a gdy osiągnęły pewien stopień degradacji, tereny w ich sąsiedztwie bez oporów przeznaczano pod zabudowę industrialną czy nawet wysypiska śmieci. Takie posunięcia sprzyjały ich dalszej deprecjacji. Pamiętajmy przy tym, że przez cały ten czas, aż do późnych lat 60., rezydenci „czerwonych" stref nie mieli w banku szans na pożyczkę, z której mogliby sfinansować remont domu i w ten sposób podnieść jego wartość czy przyczynić się do zwiększenia wartości całego osiedla, jeśli do napraw wzięliby się wszyscy.

Richard Rothstein tak wyjaśnia przełożenie tej katastrofy na obecne czasy: – Pod koniec lat 40. dom w Levittown (na jednym z pierwszych planowych suburbiów w USA – przyp. ESM) kosztował 8-10 tys. dol. w przeliczeniu na dzisiejsze pieniądze. Czarnoskóra klasa pracująca spokojnie mogłaby sobie wówczas na taką inwestycję pozwolić. Obecnie te same domy warte są 300-400 tys. dol. i stać na nie już tylko klasę średnią oraz wyższą. Białe rodziny, które nabyły tam domy przed ponad 60 laty, „zarobiły" więc na nich po 200-300 tys. dol. w ciągu dwóch pokoleń. Osobom kolorowym takiej szansy nigdy nie dano.

Bieda pod autostradą

Rozprawiając o źródłach i katalizatorach nierówności majątkowych pomiędzy rasami w USA, nie sposób nie wspomnieć o autostradzie. Nie ma tu żadnej pomyłki, jeden z najważniejszych symboli amerykańskiego postępu, a nawet egalitaryzmu, w niebagatelnej mierze wyrósł na krzywdzie czarnoskórej części społeczeństwa.

– Planiści Eisenhowera wyznaczali bieg autostrad przez osiedla i dzielnice, które uznawali za *blighted* (zdewastowane, ale w mowie potocznej odnoszące się także do ludności kolorowej – przyp. ESM), a następnie, używając niezrozumiałej nowomowy, przekonywali lokalną społeczność, że autostrady nie można puścić inaczej, za to przyniesie ona wszystkim korzyści ekonomiczne – tłumaczy Eric Avila. – Sęk w tym, że wielu dzielnicom, np. Sugar Hill, wciąż było daleko do stanu dewastacji, o jakim mówiła rządowa dokumentacja. Jedyną ich „wadą" był kolor skóry mieszkańców. Nie mówiąc nawet o tym, że odszkodowania za utratę domu i pokrycie kosztów przeprowadzki były dalece nieadekwatne.

Kredytobiorcy podpisywali wraz z aktem własności specjalną klauzulę, że nie sprzedadzą domu osobie kolorowej.

Sugar Hill jest dziś pochowane pod słynną na cały świat dzięki filmom i piosenkom autostradą Santa Monica Freeway. W Atlancie kilka kolorowych osiedli zniknęło pod międzystanową autostradą Interstate 20 (I-20), w Detroit podobnego spustoszenia dokonała I-375, w Shreveport w Luizjanie I-49, a w Nashville w Tennessee I-40. Na potrzeby I-95 przecinającej Miami wysiedlono całą czarnoskórą dzielnicę Overton, ponad 10 tys. ludzi. Gdy w 1961 r. budowniczowie I-85 w Alabamie szykowali się do wyburzenia osiedla, na którym mieszkał Ralph Abernathy, znany aktywista i doradca Martina Luthera Kinga, Abernathy interweniował przeciw tej budowie u samego prezydenta Kennedy'ego. Bez skutku. Stanowy komisarz nadzorujący budowę był znanym rasistą i segregacjonistą. Dziś trudno o większą ironię niż fakt, że część tej autostrady nosi imię Martina Luthera Kinga.

Bieda z odszkodowaniami

Nawoływania do wypłaty potomkom niewolników odszkodowań za krzywdy ich przodków słychać nie od dziś. Ostatnio pojawiły się w nich dwa nowe elementy. Jeden postulat to rekompensaty związane *stricte* z dyskryminacją Afroamerykanów na rynku mieszkaniowym. Mamy nawet pierwsze miejsce, gdzie usiłuje się go realizować – to miasto Evanston w stanie Illinois. Władze Evanston oferują czarnoskórym mieszkańcom 25-tysięczne „stypendia", które można wykorzystać na wkład mieszkaniowy lub remont, jeśli już ma się mieszkanie lub dom.

Drugim jest wołanie o likwidację „rasistowskich" autostrad i finansowe zadośćuczynienie wysiedleńcom lub ich potomkom. Rekompensaty autostradowe znalazły się m.in. w programie wyborczym Pete'a Buttigiega, jednego z kandydatów na prezydenta. Buttigieg jest obecnie sekretarzem ds. transportu i kto wie, czy nie podejmie próby realizacji swoich obietnic. Czy mu się uda, to oczywiście inna sprawa. Rząd musiałby przecież wyłożyć pieniądze nie tylko na demontaż „starych", a przecież świetnie funkcjonujących dróg, ale i na budowę ich nowych odcinków, co z punktu widzenia statystycznego obywatela byłoby karygodnym marnotrawstwem jego podatków.

Pozostaje też zasadnicza kwestia, na ile Amerykanie gotowi są płacić jakiekolwiek odszkodowania za rasizm i związany z nim wyzysk. Ubiegłoroczny sondaż ośrodka Pew Research Center wykazał, że finansowe rekompensaty dla potomków niewolników popiera ledwie co piąty obywatel. Za to aż połowa jest zdania, że w osiągnięciu większej sprawiedliwości społecznej pomogłyby powszechne szkolenia z inkluzywności rasowej we wszystkich sferach życia. Czyli nadal mamy do czynienia raczej z deklaracjami niż z gotowością do konkretnych działań. Hasła o społecznej równości są modne i nośne, lecz Ameryka wciąż nie jest gotowa na uregulowanie rachunków w twardej walucie.

Eliza Sarnacka-Mahoney

eprasa.pl 86890ebbab

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Z niejakim wzruszeniem, kiedy już wyciszyłem zjadliwy chichot, przeczytałem ostatnio coś w rodzaju lamentacji tożsamościowych dwóch nietuzinkowych autorów Onetu, Witolda Jurasza i Janusza Schwertnera. Kilka słów, które kreślę, to nie jest żadna tam polemika, tym bardziej merytoryczna, bo w wypadku tekstu o niezaspokojonych tęsknotach do bycia Polakiem i człowiekiem Zachodu można tylko rozłożyć z bezradności ręce, złapać się potem nimi za głowę, obrócić wokół własnej osi i na koniec hołubca (takiego wschodniego) wyciąć. Bo co tu można rzec? Bycie Polakiem, to – jakkolwiek się zastrzegać – nacjonalistyczne odchylenie. Ale być może na taką świadomość jesteśmy skazani. Co miałoby znaczyć bycie człowiekiem Zachodu? Nie wiadomo. W samym tekście główną tezą jest to, że PiS, wbrew konserwatywnym regułom i ideałom, swoimi ekscesami przepycha Polskę na Wschód.

Najdziwniejsze w tym rozumowaniu wydaje mi się przekonanie, że to Polacy decydują o tym, czy są Zachodem, czy nie. To nawet nie śmieszne, to infantylne. Jesteśmy sporawym rynkiem zbytu dla wytwarzanych w dalekiej Azji zachodnich produktów, w coraz mniejszym stopniu jesteśmy tanią siłą roboczą, ale – co najważniejsze – od stuleci jesteśmy buforem w zamrażanej i odmrażanej zimnej wojnie Ameryki z Rosją, choć tak jak podstawowym podziałem świata jest dziś oś biedne Południe-bogata Północ, a nie żaden Wschód-Zachód, tak głównym motorem światowych naprężeń jest powolna, acz nieuchronna abdykacja imperium USA na rzecz potęgi Chin. Co ma do tego polska duma z poczucia bycia Zachodem? Na początku drugiej dekady XXI w. to już tylko co najwyżej honorowy udział w historycznej klęsce. Ale akurat klęski zawsze darzyliśmy sporym uczuciem.

Ja internacjonał, kosmopolit

Zajmę się jednak tym mitycznym, wymarzonym światem Zachodu, ziemią obiecaną, na którą wedle autorów Polacy po prostu zasługują, wszak tekst nosi znamienny tytuł „Stańmy się w końcu Zachodem". Którym Zachodem? Europejskim? A jeśli tak, to którym? Brytyjskim czy portugalskim? Niemieckim czy greckim? Francuskim czy hiszpańskim? A może włoskim lub amerykańskim? Kanadyjskim czy australijskim? Z tekstu się nie dowiemy, bo po sześciu latach rządów PiS autorzy z legendarnej pozycji rozgrywającego środkowego, co to ani tu, ani tam („Nie interesują nas debaty pomiędzy postrzegającymi bycie Polakiem jako coś lepszego niż bycie człowiekiem Zachodu – i dla odmiany tymi, którzy się swej polskości wstydzą"), wypisują wypisane po stokroć przewiny partii rządzącej, które nie umożliwiają stworzenia prawdziwej konserwatywnej Polski, rozumianej jako silne (Siła! Siła! Narodowa siła!) państwo. Mamy więc kluczowe pojęcie, które nie wiadomo co znaczy. Tak z marzeniami bywa.

W tekście jest pisana cepem dychotomia: „Albo jest się na Wschodzie, albo na Zachodzie. Trzeciej drogi nie ma". Post-thatcherowskiej lekcji, że trzecich dróg jest zawsze najwięcej – autorzy nie odrobili. Argumentem jest to, że tysiąc kilometrów od polskiej granicy jest wojna (Ukraina-Rosja). No cóż, to Zachód, a właściwie jego amerykańska dominanta, wpędził Polskę w bezsensowną, bezzasadną i okrutną wojnę w Iraku i w Afganistanie. Za co i po co ginęli tam żołnierze znad Wisły – nie wie nikt. Rozliczenia całej klasy politycznej za gościnność dla bandytów z CIA torturujących porwanych więźniów w swoim tajnym więzieniu nie było, nie ma i nie zanosi się. To tyle, ile idzie o argument z gdzieś toczącej się wojny.

Jurasz i Schwertner dzielą się duchowym (płynie z duszy) przekonaniem, że ich tęsknoty podziela wielu Polaków. Jak wielu, na jakim polu, skąd to wiedzą? Nie dowiemy się. Ale tak to już jest z własnymi projekcjami. Jesteśmy przekonani, że nasze jest powszechne, że nasze jest oczywiste, naturalne, racjonalne.

Jest oczywiście inny Zachód, za którym i ja niekiedy tęsknię. W ostatnich dniach jego uosobieniem były dla mnie wypowiedzi urodzonej na Sri Lance Kamzy Gunaratnam, wiceburmistrzyni Oslo, która przeżyła masakrę Breivika na wyspie Utøya. Jej pogląd jest wyrazisty: musimy się angażować w zmiany, bo życie społeczne nie jest jakąś baśnią o Zachodzie czy innym raju, jest walką z konkretnymi zagrożeniami i wykluczeniami. I nie jest tak, jak to sobie ustawiają autorzy Onetu, że najlepiej być w jakimś tajemniczym „pośrodku", poza tymi strasznymi skrajnościami.

Breivik chciał silnego państwa, chrześcijańskiej, tradycyjnej, białej Europy. Innego świata chciała i chce Gunaratnam, do której strzelał. I to ona jest nadzieją na lepszy świat, a nie żaden Zachód. Jak to pisał Antoni Słonimski?

Ten, co o własnym kraju zapomina
Na wieść, jak krwią opływa naród czeski,
Bratem się czuje Jugosłowianina,
Norwegiem, kiedy cierpi lud norweski,

Z matką żydowską nad pobite syny
Schyla się, ręce załamując żalem,
Gdy Moskal pada – czuje się Moskalem,
Z Ukraińcami płacze Ukrainy,

Ten, który wszystkim serce swe otwiera,
Francuzem jest, gdy Francja cierpi, Grekiem –
Gdy naród grecki z głodu obumiera,
ten jest z ojczyzny mojej. Jest człowiekiem.

O takim Zachodzie w tekście „Stańmy się w końcu Zachodem" nie przeczytamy. Cóż, każdemu wolno marzyć.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 86890ebbab

Małgorzata P. Bonikowska
Korespondencja z Kanady

Widok z Tęczowego Mostu (Rainbow Bridge) na trzy kaskady wodospadu Niagara jest naprawdę piękny. Normalnie jednak nikt nie chodzi tu, aby podziwiać wodospady, a przez most (nie w czasach pandemii) przejeżdżają sznury samochodów w obie strony, z USA do Kanady i z Kanady do USA, z miasteczka Niagara Falls do miasteczka Niagara Falls – to amerykańskie i to kanadyjskie nazywa się tak samo. Po zbudowanym w 1941 r. moście nie jeżdżą natomiast żadne komercyjne pojazdy, np. ciężarówki transportowe.

Teraz na Rainbow Bridge głównie widać pieszych z walizkami.

Marsze przez Tęczowy Most

Podróżni przybywający do Kanady idą pieszo przez granicę, by uniknąć przymusowego pobytu w hotelu

Teraz na Rainbow Bridge głównie widać pieszych. Bynajmniej nie z powodów turystycznych. Ciągną walizki na kółkach i przemierzają 440-metrowy most, zadowoleni, bo nawet jeśli są zmęczeni po długim locie, sił dodaje im myśl, że nie wyrzucą w błoto ok. 2 tys. dol. i nie spędzą trzech dni w samotności w hotelu, którego w dodatku nie mogą wybrać.

Kanada bardzo ostrożnie traktuje kwestię wychodzenia z pandemii. Przez długi czas, do pojawienia się szczepionek, wyprzedzała południowego sąsiada. Tam chorowało i umierało dużo więcej osób (oczywiście relatywnie do liczby ludności, bo przecież Kanada mimo gigantycznego obszaru ma tylko ok. 40 mln mieszkańców, nieco więcej niż Polska, a USA aż 330 mln). Granicę lądową (najdłuższą na świecie granicę między dwoma krajami, 8,8 tys. km) zamknięto dla ruchu nieuznawanego za niezbędny w marcu zeszłego roku i każdego 21. dnia miesiąca przedłuża się obowiązywanie tego przepisu o kolejny miesiąc.

Do Kanady można przylecieć jedynie do czterech miast: Toronto, Montrealu, Vancouver i Calgary. Inne lotniska nie przyjmują lotów międzynarodowych. W styczniu rząd ogłosił, że każdy podróżny, czy to obcokrajowiec, czy obywatel Kanady wracający do kraju, musi zarezerwować pokój na trzy doby w jednym z wyznaczonych przez rząd hoteli w pobliżu lotniska i tam oczekiwać na wyniki przeprowadzonego po przylocie na kanadyjską ziemię testu PCR na COVID-19 (to oprócz negatywnego wyniku testu wykonanego do 72 godzin przed odlotem, który trzeba pokazać przed wejściem na pokład samolotu). Listę hoteli można znaleźć na stronach rządowych. Koszt pobytu (pokoju i wyżywienia), opłacony rzecz jasna z kieszeni podróżnego, może dochodzić do 2 tys. dol. kanadyjskich (1 CAD = 0,83 USD). Kosztowne to i mało przyjemne, bo każdy chce jak najszybciej dostać się do domu czy miejsca pobytu, gdzie musi odbyć pozostałą część 14-dniowej obowiązkowej kwarantanny.

Wszyscy starają się uniknąć hotelowego zesłania. Jest na to pewien sposób, bo obowiązek spędzenia trzech dni w przylotniskowym hotelu obejmuje tylko osoby przybywające do Kanady samolotem. I tu otworzyła się szeroka brama: legalna, a jakże, ale niesztampowa.

Na prawie 9 tys. km kanadyjsko-amerykańskiej granicy przejść jest ponad 100, chociaż nie wszystkie są otwarte 24 godziny na dobę przez cały rok. Rzadko przejście graniczne znajduje się w niewielkiej odległości od dużego amerykańskiego lotniska, skąd latają samoloty po całych Stanach i poza granice USA. Tak jest w przypadku miasta i lotniska Buffalo, położonego ok. 30 km od granicy. Od lat Kanadyjczycy jeżdżą do Buffalo, skąd latają za mniejsze pieniądze, bo Kanada ma jedne z najwyższych podatków lotniskowych na świecie. Lecąc ze Stanów, oszczędza się na biletach. Do tego większość kanadyjskich linii lotniczych pobiera obecnie opłaty za nadany bagaż, podczas gdy niektóre linie z siedzibą w USA nadal

FOT. EAST NEWS/AP, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 86890ebbab

tego nie robią. Przy cenie 25 dol. za sztukę w jedną stronę czteroosobowa rodzina może zaoszczędzić 200 dol. na samym bagażu!

Teraz „opcja Buffalo" ma dodatkowy plus – możliwość uniknięcia wydatku na hotel. Ponieważ hotele nie są obowiązkowe dla osób przekraczających granicę USA-Kanada drogą lądową, w przypadku przejścia granicznego przez Rainbow Bridge sprawa staje się niezwykle atrakcyjna.

Oto scenariusz, z którego korzystają wjeżdżający obecnie do Kanady. Jeśli jadą do Toronto czy okolic (GTA – Greater Toronto Area to metropolia z 6,2 mln ludności), przylatują do Buffalo, skąd dostają się na granicę do amerykańskiego miasteczka Niagara Falls taksówką, Uberem czy Lyftem albo autobusem. Tam wysiadają, idą na piechotę mostem nad rzeką Niagara (podziwiając po lewej stronie piękne wodospady). Na kanadyjskiej granicy poddają się testowi. Kiedy wynik jest negatywny, pobierają jeszcze zestaw testowy do wykonania za osiem dni i… w kanadyjskim Niagara Falls odbierani są przez rodzinę czy przyjaciół i jadą do domu na resztą kwarantanny. Do centrum Toronto od granicy jest 130 km.

Obowiązek spędzenia trzech dni w wyznaczonym hotelu obejmuje tylko osoby przybywające do Kanady samolotem.

Ba, przepisy stanowią, że amerykańskie taksówki to także *essential services*, czyli usługi niezbędne, a więc zwolnione z zakazu przekraczania granicy. Tacy, którym nie przeszkadza zapłacenie większej kwoty (ok. 200 dol.) za uniknięcie spaceru przez most z bagażem, mogą z lotniska w Buffalo wziąć taksówkę i jechać do Toronto. Tak robią *snowbirds*, czyli zamożni, często emerytowani Kanadyjczycy, którzy zimy spędzają na Florydzie, w Kalifornii czy Arizonie i wracają do Kanady, kiedy tam robi się cieplej.

Kanadyjska rządowa ekspercka rada doradcza (Testing and Screening Expert Advisory Panel) w opublikowanym w maju raporcie zaleca zniesienie wymogu kwarantanny w zatwierdzonych przez rząd hotelach. Podróżni powinni przedstawiać odpowiedni plan kwarantanny do zatwierdzenia, a następnie stosować się do niego. Jeśli go nie mają, powinni być zobowiązani do przestrzegania alternatywnego planu (np. w wyznaczonych miejscach kwarantanny).

Na razie jednak to jeszcze nie ten etap wychodzenia z zagrożenia, twierdzi premier Justin Trudeau. Minister zdrowia Kanady Patty Hajdu zapowiada, że rząd rozważa zmiany obecnego systemu, np. wobec tych przyjezdnych, którzy są w pełni zaszczepieni.

Powszechnie uważa się, że czas znieść hotelowy reżim. Za dużo w nim dziur i nieścisłości, pozwalających wielu przyjezdnym wywinąć się różnymi sposobami. Podróżni płacą kary lub odmawiają ich płacenia, ryzykując dalsze kroki prawne. A tymczasem marsze przez most trwają. ■

eprasa.pl 86890ebbab

Paryż ślepy na masakrę Tutsi

Raport komisji Duclerta pokazał, że rwandyjskie ludobójstwo miało też wymiar kolonialny

Mateusz Mazzini

Odpowiedzialnych za tragedię niemal miliona mieszkańców Rwandy jest wielu – tak wielu, że powoli w debacie międzynarodowej na temat konfliktu pomiędzy ludami Hutu i Tutsi wina staje się rozproszona. O błędach sił ONZ napisano już opasłe tomy analiz, podobnie jak o zaniechaniach ze strony duchownych Kościoła katolickiego, w tym abp. Henryka Hosera, pełniącego wtedy w Rwandzie funkcję wizytatora apostolskiego. Dogłębnie przestudiowano też politykę Stanów Zjednoczonych wobec krajów afrykańskich w tamtym okresie, tak samo jak relacje między obiema grupami etnicznymi, ich rozkład sił i bezpośrednie przyczyny fali przemocy. Jednak z każdym rokiem, odsłonięciem archiwów, opublikowaniem nieznanych dokumentów krąg odpowiedzialnych się powiększa. Udowadniając jednoznacznie, że tragedia Rwandy, rozgrywająca się w ciągu czterech wiosennych i letnich miesięcy 1994 r., była wypadkową wielu globalnych interesów. W tym czysto neokolonialnych, do których istnienia jeszcze niedawno nikt nie chciał się przyznawać.

Ostatnim krajem, który wszedł do grona współwinnych dopuszczenia do masakry na przedstawicielach Tutsi i niektórych, bardziej umiarkowanych Hutu, stała się Francja. Powołana przez Emmanuela Macrona specjalna śledcza komisja historyczna, kierowana przez Vincenta Duclerta, jedną z gwiazd dzisiejszej francuskiej humanistyki, orzekła, że Paryż był ślepy na to, co się działo w Rwandzie, choć miał zarówno wystarczające informacje, jak i zasoby – w tym militarne – by ludobójstwu zapobiec. Duclert, znany i ceniony specjalista od historycznych śledztw, autor monografii o sprawie Dreyfusa i biograf Alberta Camusa, ogłaszając 26 marca publikację raportu końcowego, podkreślił, że w kontekście Rwandy Francja „próbowała zanegować rzeczywistość". Dwa lata pracy, ponad 900 stron oficjalnych publikacji, praktycznie nieograniczony mandat badawczy do penetrowania państwowych archiwów dały efekt, który może wstrząsnąć współczesną francuską polityką zagraniczną, a może i tożsamością narodową. Ustalenia pokazują bowiem, że jeszcze na początku lat 90., kilka dekad po dekolonizacji, w czasach rozkwitu liberalizmu i upowszechnienia się praw człowieka, Francja kierowała się w Afryce paradygmatami czysto kolonialnymi.

Francuzi wysłali misję stabilizacyjną do Rwandy, dopiero gdy ofiary liczono w setkach tysięcy.

Z raportu wynika, że rządzący wtedy krajem socjaliści, na czele z prezydentem François Mitterrandem i jego najbliższym otoczeniem, doskonale wiedzieli o możliwości eskalacji przemocy. Władzę w Rwandzie sprawował wtedy Juvénal Habyarimana, teoretycznie wybrany demokratycznie prezydent, praktycznie krwawy, brutalny, fałszujący wybory dyktator, jednoznacznie faworyzujący Hutu. Utrzymanie go w roli głowy państwa było Mitterrandowi na rękę, bo Habyarimana, choć grał nieczysto, był sojusznikiem Paryża, zwłaszcza gospodarczo. Zdecydowanie bliżej było mu do świata frankofońskiego, również z powodów osobistych – karierę w wojsku i sukces polityczny po odzyskaniu przez kraj niepodległości zawdzięczał edukacji, jaką odebrał z rąk belgijskich kolonialistów w Kongu. Nie przepadał za Brytyjczykami, największym rywalem Francuzów w tej części świata.

Duclert i jego współpracownicy po przeanalizowaniu ponad 800 różnych dokumentów, w tym depesz dyplomatycznych z lat 1990-1994, orzekli, że profrancuska orientacja Habyarimany była dla Mitterranda jedynym ważnym składnikiem jego rządów. Szef francuskich socjalistów bardzo się obawiał wzrostu wpływów Wielkiej Brytanii – wciąż obecnej gospodarczo w sąsiedniej Ugandzie, rozwijającej interesy w Kenii i popierającej Paula Kagame, dzisiejszego prezydenta Rwandy i jednego z najważniejszych liderów Tutsi.

Zgromadzeni wokół Mitterranda dyplomaci, pisze w raporcie Duclert, stosowali w ocenie wydarzeń politycznych w Rwandzie myślenie czysto kolonialne. Ignorowali potwierdzone informacje o dostawach broni dla Habyarimany, nie reagowali, kiedy z Afryki spływały depesze przedstawicieli także innych krajów, alarmujące, że dyktator zbroi się po zęby. Etnicyzacja tamtejszej polityki była Francuzom na rękę, bo gwarantowała zależność Rwandy od Paryża. A że przy okazji destabilizowała region i doprowadziła do masowych mordów – to nad Sekwaną przez wiele lat nie było dla nikogo problemem.

Mitterrand nie reagował więc, ani kiedy Habyarimana budował sobie w kraju małą armię, ani kiedy ta armia zaczęła wykonywać zlecone jej zadanie eksterminacji ludności Tutsi. Francuzi wysłali misję stabilizacyjną, dopiero gdy ofiary liczono w setkach tysięcy. Operacja „Turkus" rozpoczęła się w lipcu 1994 r., z mandatem ONZ. I choć Francja długo była z niej dumna, przypisując sobie wiele zasług w zakończeniu ludobójstwa, w rzeczywistości oddziały biorące udział w misji zrobiły niewiele, żeby wojska Hutu zatrzymać. Dzisiaj coraz powszechniejsza jest interpretacja,

eprasa.pl 86890ebbab

Symboliczna wizyta prezydenta Emmanuela Macrona w Kigali, 27 maja 2021 r.

według której „Turkus" bardziej podsycił niż ugasił konflikt wewnętrzny w Rwandzie. Chociażby dlatego, że w ustanowionej przez ONZ i pilnowanej właśnie przez Francuzów strefie buforowej na zachodzie kraju schroniło się wielu przestępców wojennych, w tym najbardziej krwawi dowódcy bojówek i oddziałów lojalnych wobec Habyarimany.

Francuscy dowódcy byli przynajmniej częściowo świadomi tego faktu, ale nie podjęli żadnych działań, przez to części sprawców udało się nawet uciec z kraju. Duclert podkreśla też, że nie wszystko rozbijało się tutaj o wielkie sprawy. Mitterranda z Habyarimaną łączyła silna więź. Utrzymywali regularny, bezpośredni kontakt, a francuski prezydent w rwandyjskim dyktatorze widział raczej partnera do rozmów, niż demona, za jakiego miała go spora część świata. W kręgu jego dyplomatycznych i wojskowych doradców dominowało także przekonanie, że władza profrankofońska jest w Rwandzie zagrożona, bo Tutsi tworzą własne bojówki, sponsorowane i formowane w dużej mierze w Ugandzie – a więc pośrednio przez Brytyjczyków.

Raport konkluduje, że choć Francja nie ponosi bezpośredniej odpowiedzialności za sam akt ludobójstwa, jej działania wzmocniły mechanizmy – polityczne i militarne – które do ludobójstwa doprowadziły. Innymi słowy, Paryż popełnił w Rwandzie grzech, ale był to co najwyżej grzech zaniechania. Jest to i tak konkluzja przełomowa, w kontrze do trzech dekad samozadowolenia – albo ciszy na temat tego konfliktu we francuskiej opinii publicznej. Ale już odzywają się głosy, że to nie wystarczy. Że Francja sama sobie udziela rozgrzeszenia, bo o ile przyznaje się do błędów, o tyle błędy te są natury politycznej, a więc znacznie bardziej abstrakcyjnej niż odpowiedzialność za setki tysięcy bezsensownych śmierci.

Mimo to raportu Duclerta nie należy bagatelizować. Powołanie przez Macrona komisji było mimo wszystko sporym aktem odwagi, nawet jeśli to dopiero początek konfrontowania się Francji z kolonialną przeszłością. O tym, że obecny prezydent traktuje to zadanie poważnie, świadczył już sam mechanizm pracy komisji. W jej skład weszło 15 osób, ale żadna nie miała wcześniejszego doświadczenia w pracy w administracji publicznej czy korpusie dyplomatycznym ani nie była specjalistą od Rwandy. W ten sposób zespół ekspertów miał być tak niezależny, jak to tylko możliwe. Jego celem było oceniać zebrane dokumenty pod kątem podjętych wówczas decyzji i ich realnych konsekwencji. Nie kierować się własnymi wyobrażeniami tego, co w Rwandzie się stało i co mogło się stać. Dodatkowo Macron pozwolił mu korzystać praktycznie ze wszystkich archiwów państwowych, które mogły zawierać jakiekolwiek ślady francuskich zaniechań w zapobieganiu ludobójstwu. Po publikacji raportu sam przyznał, że to dla Francji ważny krok, zarówno w debacie o samej Rwandzie, jak i w dyskusji o tym, czym była i jest w Afryce Francja.

Bo choć, jak mówi inna znana francuska historyczka Hélène Dumas, wnioski z raportu nie powinny nikogo dziwić, ważne jest, by je wypowiedzieć na głos. O tym, że Francja jeszcze dekady po opuszczeniu swoich posiadłości zachowywała wobec nich kolonialne podejście, mówiło się nad Sekwaną co najwyżej szeptem, przynajmniej na ministerialnych korytarzach. Aktywiści, obrońcy praw człowieka czy migranci krzyczeli wprawdzie znacznie głośniej, ale głosu ulicy nikt nie brał na poważnie. Teraz ten sam głos zyskał najwyższą, bo prezydencką legitymizację. Został sformalizowany, oficjalnie uznany przez aparat państwowy. I być może właśnie to jest największym sukcesem komisji Duclerta. Nawet jeśli wytycza ona przed Francją długi i zapewne bardzo trudny marsz ku nowej, bardziej szczerej, wolnej od kolonializmu tożsamości narodowej.

Paryż miał wystarczające informacje i zasoby – w tym militarne – by zapobiec ludobójstwu.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 86890ebbab

Droga do wolności. Waryński

Sprawa niepodległości Polski była Waryńskiemu droższa niż rewolucja ogólnoeuropejska

Andrzej Andrusiewicz

2 marca 1889 r. rano, gdy więźniowie odbywali spacer, Waryński umarł w samotności w swojej celi numer 14. Sześć lat krótkiego życia (33 lata) spędził w więzieniu, 15 lat w ruchu socjalistycznym. Losy jego współwięźniów różnie się potoczyły. Kazimierz Puchewicz już pięć lat wcześniej zszedł do grobu – zmarł na gruźlicę (1884). [Ludwik] Janowicz po dziesięciu latach Szlisselburga został zesłany na Kołymę, gdzie popełnił samobójstwo. Na Sachalinie wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie współorganizator zabójstwa [Michała] Skrzypczyńskiego, Piotr Dąbrowski, nie mogąc dłużej znieść prześladowań przez strażników. Zbiegł z zesłania organizator nieudanej próby uwolnienia Waryńskiego z warszawskiego więzienia Michał Wojnicz. Po osiedleniu się w Londynie zawarł związek małżeński z córką światowej sławy matematyka, Ethel Boole, autorką głośnej powieści „Szerszeń". Ci, którzy z zesłania powrócili do kraju, przyczynili się do odrodzenia ruchu socjalistycznego. Wielu z nich, już w wolnej Polsce, po 1918 r., sprawowało najwyższe urzędy.

Wraz ze śmiercią Waryńskiego zakończył się heroiczny okres pierwszej partii robotniczej na ziemiach polskich. Pewien robotniczy trybun ludowy mówił z patosem: „Sprawa socjalno-rewolucyjna zaczęła się jeszcze od Jezusa Chrystusa. Sam Chrystus zaszczepił ją ludziom jak roślinę, która puściwszy wśród nich korzenie, chociaż nieraz ginie, ale nigdy już nie zniknie całkowicie, ponieważ wydała owoce. Nasiona posiane przez pierwszego socjalistę Chrystusa rozpowszechniły się po całym świecie i nigdy już nie przepadną" [cyt. za L. Baumgarten, „Szermierze wielkiego jutra. Rzecz o proletariacie", Warszawa 1972, s. 259]. Ideały moralne, walka z tym wszystkim, co zaprzeczało człowieczeństwu, zbliżała do ruchu socjalistycznego ludzi o różnych przekonaniach, agnostyków, ateistów, ludzi wierzących, ale widzących w socjalizmie „chrześcijaństwo odwrócone na lewo" i „zabarwione na czerwono". Socjalizm polski przetrwał nie tylko dlatego, że miał w swych szeregach ludzi odważnych, ale też dlatego, że miał rozumnych.

Proletariat politycznie istniał cztery lata, pozostała jednak spuścizna w dziedzinie moralnej i intelektualnej. Partia miała swoich apologetów i surowych krytyków, bo nowe ujęcie palących kwestii społecznych zawsze budziło kontrowersje. Nie oszczędzano Waryńskiego, dla którego wolność, sprawiedliwość, honor, ojczyzna nie były pustym frazesem. Z jego bogatego życia przeciwnicy wyjmowali trzy słowa („ojczyzną cały świat") wypowiedziane w określonych okolicznościach. Cóż znaczyło to jedno wypowiedziane z dala od kraju zdanie wobec dokonań całego życia? Sprawa niepodległości Polski była mu droższa niż rewolucja ogólnoeuropejska. Działał w głębokim przekonaniu, że pracuje dla dobra kraju, nawet wówczas, kiedy całą swoją energię skierował pod sztandar Międzynarodówki. W więzieniu siedział nie za międzynarodową rewolucję, lecz za polską.

Wieloma drogami Polacy zmierzali do wywalczenia niepodległości. Oczekiwanie na wolną Polskę, wiara, że nie umarła, takie wołanie rozlegało się ze wszystkich obozów politycznych w kraju i na obczyźnie. Jedną z tych dróg wyznaczył Proletariat. Oddał on sprawie niepodległości Polski arcyważną przysługę – zapoczątkował socjalizm niepodległościowy. Po Proletariacie nie pozostało puste miejsce. Ustąpił on miejsca Polskiej Partii Socjalistycznej, w której znaczący udział mieli byli proletariatczycy. To właśnie oni zorganizowali w Paryżu zjazd socjalistów (1892), stawiając walkę o wyzwolenie społeczne na równi z wyzwoleniem narodowym. Socjaliści zdobyli autorytet, którego już nie utracili. Ewolucja programowa wniosła do ruchu socjalistycznego nowe wartości, w tym wartość największą – jasno określony postulat niepodległości, który Józef Piłsudski ujął w zgrabne hasło „Proletariat dla niepodległości, a nie niepodległość dla proletariatu".

Zaczynający od socjalizmu Piłsudski w listopadzie 1918 r. polecił wystawić czerwony sztandar nad Zamkiem Królewskim w Warszawie.

Prof. dr hab. Andrzej Andrusiewicz jest historykiem, politologiem i socjologiem. Specjalizuje się w dziejach stosunków polsko-rosyjskich, historii Rosji oraz polskich ruchów społecznych

Fragment wydanej przez PRZEGLĄD książki Andrzeja Andrusiewicza *Buntownicy i marzyciele. O rewolucji rosyjskiej, rewolucjonistach i terrorystach*

eprasa.pl 86890ebbab

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Wstydliwa choroba

Nie żyje prof. Henryk Samsonowicz, wybitny historyk. Dożył sędziwego wieku. Pamiętam go ze Sztokholmu, jak wiozłem go na lotnisko Arlanda, był bodaj rok 1995. Rozmawialiśmy w samochodzie o polskiej tolerancji w dawnych wiekach. Powiedział: „Polska była skazana na tolerancję, tak różnorodna etnicznie rozpadłaby się, gdyby nie była tolerancyjna". Sam teraz dopowiadam: tolerancja skończyła się po spustoszeniu Polski przez Szwedów. Zaczął się wielki strach. Strach i niepokój rodzą nietolerancję.

•

W poprzednim felietonie kpiłem z Jadwigi Staniszkis, że mówi głupstwa w wywiadzie, który ukazał się w „Newsweeku". Teraz jej córka Joanna oburza się na tygodnik i protestuje: „Wiedzieliście, mama ma demencję, a mimo to opublikowaliście". Nie wiedziałem i przykro mi. Jest coś ogromnie upokarzającego, gdy taka zapaść dotyka ludzi inteligentnych. Tak bliski nasz rozum bezrozumu. To przydarzyło się mojemu ojcu, boję się, aby mnie to nie spotkało.

•

Z Franiem na rowerach do pobliskiego Helenowa, ośrodek dla niepełnosprawnych dzieci, pawilony w dużym parku, wybieg dla koni, zagrody dla zwierząt. Są kozy, osły, kangury, jest staw i głaz upamiętniający pobyt tu Piłsudskiego, który w przeddzień decydującej fazy bitwy warszawskiej w roku 1920 snuł tu zwycięskie plany. Franio spotyka koleżków na hulajnogach, zostawiam go z nimi. Wracając, widzę na poboczu pustej drogi bezdomnego na kocyku – tak mi się w pierwszej chwili zdawało, a to wyznawca islamu, w białym bereciku, modli się. Po raz pierwszy widzę w Polsce taką scenkę. Zapowiedź nowego świata, który, ociągając się, przychodzi też do nas? Chociaż jestem ateistą, poczułem szacunek dla modlącego się i udało mi się nie skojarzyć go z islamskim terroryzmem. Ale to wymagało małego wysiłku.

•

Jak ocenił prezes, „bzdurą jest twierdzenie, że aborcja jest zakazana. Wciąż jest dopuszczalna, jeśli ciąża wywodzi się z przestępstwa i jeżeli zagraża życiu albo zdrowiu kobiety. (…) Wiem, że są ogłoszenia w prasie, które każdy średnio rozgarnięty człowiek rozumie, i może sobie taką aborcję za granicą załatwić, taniej lub drożej". No proszę, kto by się spodziewał takich porad po prezesie. Państwo powinno finansować takie wyjazdy. A na Jasnej Górze Przemysław Czarnek ogłosił nową dyscyplinę naukową – biblistykę. W szkołach zaś mają być lekcje o rodzinie, bo rodzina zagrożona przez truciznę, jaka płynie z Zachodu. Do zakazu rozwodów jeden krok.

•

Jestem zardzewiały. Dlatego funduję sobie masaż na warszawskich Stegnach. Pamiętam, jak powstawała ta część dzielnicy, nie było tam drzew, a teraz jest gęsty park. W budynkach jedyna zmiana to nowe windy, a korytarze pachną przyjemnie środkami czystości. W jednym z tych domów, w grudniu stanu wojennego, w mieszkaniu Iwonki Smolki, zakładaliśmy „Wezwanie", podziemne pismo, które ukazywało się do 1988 r. Pamiętam grozę tego grudnia i naszą determinację. Było nas bodaj sześcioro, ale tylko ja wyrzucony za burtę swojego domu zaczynałem roczną odyseję. Dwójki z nas już nie ma. Ileż ja miałem wtedy sił i energii, ile wiary, że nie wolno się godzić na zło i że świat można poprawić.

•

Do galerii Monopol na wystawę malarstwa Łukasza Korolkiewicza. Galeria w arkadach, pomiędzy placem Zbawiciela a placem Konstytucji, te arkady są w stanie skrajnego zaniedbania, zabazgrane tatuażami graffiti. A to przecież Marszałkowska, centralna ulica stolicy. Jest z nami Franio, Antoś się zaparł, że nie pojedzie. Franio też protestował, ale uległ. Mamy mu za to poświęcenie kupić w drodze powrotnej frytki, cheeseburgera i colę. Moje dzieci nie mają pasji do sztuki, niestety. To nowe obrazy Łukasza, ale nie ma nowego okresu w swoim malowaniu, raczej łączy motywy z kilku dawnych, autoportrety nago, maski na twarzy, zaniedbane mury domów, rośliny, dziewczynka na progu dojrzewania, naga. Takie czasy nastały, że ta nagość dziecka budzi niepokój, czy nie oskarży się artysty o pedofilię. Ze wzruszeniem widzę na obrazie pole i Łukasza z naszą dużą i zieloną piłką lekarską (teraz widzę tę piłkę w naszym ogrodzie). To mój dawny Maciejów, wieś, gdzie miałem domek. Łukasz często korzysta w malowaniu z dawnych fotografii, nowe obrazy bywają oparte na starych zdjęciach.

Na wernisażu znajomi z różnych lat. Do wszystkich nas dobrał się czas. Ta kędzierzawa starsza pani to S., właścicielka mieszkania w pobliżu Nowego Światu, gdzie w stanie wojennym miałem wieczór autorski, moje „wojenne" wiersze czytała Krysia Janda. To był taki tajny salon artystyczny, wiele takich powstało w stanie wojennym. Okazuje się, że S. teraz zagorzała pisówka. Krzywi się na nazwisko Janda. Rozmawiam potem o tym szeptem z Łukaszem, jak się mówi o kimś miłym, ale doświadczonym przez ciężką i wstydliwą chorobę.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 86890ebbab

Lew(icow)y czerwcowy

Mieliśmy w ubiegłym stuleciu trzy wielkie momenty państwowotwórcze – rok 1918, 1945 i 1989. Każdy był w głównej mierze dziełem ludzi lewicy

Paweł Siergiejczyk

Wiek XX był dla Polaków czasem niezwykłym. Dwa razy, po każdej z wojen światowych, budowaliśmy własną państwowość. O ile ten pierwszy proces, zapoczątkowany utworzeniem niesuwerennego Królestwa Polskiego przez okupantów w listopadzie 1916 r., zakończył się powstaniem państwa całkowicie niepodległego, o tyle Polska powstała po II wojnie światowej na pełną suwerenność musiała czekać aż 45 lat. Mieliśmy zatem w ubiegłym stuleciu trzy wielkie momenty państwowotwórcze, znaczone symbolicznymi datami: 1918, 1945 i 1989.

W powszechnej świadomości Polaków nie istnieje jakże oczywisty fakt, że każdy z tych trzech momentów był w głównej mierze dziełem ludzi lewicy. II Rzeczpospolitą budowali przede wszystkim działacze polityczni i wojskowi wywodzący się z PPS, z Józefem Piłsudskim na czele. Z kolei powojenna Rzeczpospolita Polska, która z czasem zyskała przymiotnik Ludowa, choć narodziła się z woli Stalina i jego zachodnich aliantów, była dziejowym osiągnięciem polskiej lewicy komunistycznej, do której dołączyło wielu przedwojennych socjalistów.

Ta sama lewica, która dzierżyła władzę w PRL, z jednej strony strzegła ideologicznych dogmatów narzuconych z Moskwy, ale z drugiej konsekwentnie poszerzała sferę niezależności Polski od ZSRR. Na tyle konsekwentnie, że gdy tylko Moskwa, zajęta własnymi kłopotami, straciła zainteresowanie obroną ustroju w krajach satelickich, polska lewica przystąpiła do działań, które doprowadziły do odzyskania całkowitej suwerenności.

Michaił Gorbaczow na obradach X Zjazdu PZPR, 29 czerwca 1986 r.

Gorbaczow i Jaruzelski

Mało kto o tym pamięta, więc warto te prawdy przypominać: nie byłoby trzeciej niepodległości, gdyby nie Michaił Gorbaczow i gdyby nie Wojciech Jaruzelski, który zainicjował proces demokratyzacji PRL, dialogu z opozycją, a w rezultacie zmiany ustroju i budowy nowego państwa. Niestety, ani jeden, ani drugi nie mogą liczyć na sprawiedliwą pamięć potomnych. Generał nadal postrzegany jest wyłącznie jako autor stanu wojennego (a często wręcz jako „przywódca zbrodniczej junty"), nie zaś jako inicjator Okrągłego Stołu i pierwszy prezydent III RP. O Gorbaczowie niemal wszyscy zapomnieli, a najnowsza historia Rosji opisywana jest u nas według schematu „od Lenina do Putina", czyli jako dzieje państwa zawsze zbrodniczego i antypolskiego. Na Gorbaczowa, podobnie zresztą jak na innego komunistycznego reformatora, Borysa Jelcyna, nie ma w takim schemacie miejsca, bo ani jeden, ani drugi nie pasuje do stereotypu „czerwonego cara".

> Nie byłoby trzeciej niepodległości, gdyby nie Michaił Gorbaczow i Wojciech Jaruzelski, który zainicjował proces demokratyzacji PRL.

Swoją drogą to zdumiewające, jak szybko Polacy zapomnieli o tych przywódcach Związku Radzieckiego, którzy okazali się dla nas najbardziej przychylni, przyczyniając się nie tylko do odbudowy polskiej niepodległości, ale i do ujawnienia prawdy o krzywdach, jakich doznaliśmy od ich poprzedników, zwłaszcza o zbrodni katyńskiej. Gdyby nie absurdalne uprzedzenia, w Warszawie już dawno powinny zawisnąć tablice pamiątkowe (a może nawet stanąć pomniki) ku czci prezydentów Gorbaczowa i Jelcyna – ojców demokratycznej Rosji i zarazem faktycznych współtwórców III RP. Tymczasem w centrum Warszawy stoją jedynie pomniki prezydentów Reagana i de Gaulle'a – postaci niewątpliwie mających wpływ na polskie dzieje, ale nie tak bezpośrednio jak przywódcy rosyjscy.

FOT. WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS

eprasa.pl 86890ebbab

Imponujący dorobek

Na pomnik ani nawet skromną tablicę nie może oczywiście liczyć również prezydent Jaruzelski. I dzieje się to w chrześcijańskim kraju, gdzie niemal w każdą niedzielę z ambon czyta się fragmenty listów św. Pawła, któremu jakoś nie wypomina się, że wcześniej był Szawłem prześladującym wyznawców Chrystusa. Ale dla gen. Jaruzelskiego jest inna miara – nie uznaje się, że wieloletni udział we władzy PRL odpokutował z nawiązką w latach 1989-1990 jako inicjator i obrońca przemian ustrojowych. Dość przypomnieć, że to za jego prezydentury powstał i działał rząd Tadeusza Mazowieckiego, zmieniono nazwę i godło państwa, przyjęto i wdrożono plan Balcerowicza, rozwiązano PZPR i podzielono jej majątek, przeprowadzono pierwsze wolne wybory samorządowe, zlikwidowano cenzurę i bezpiekę, przekształcono milicję w policję, nawiązano przyjazne relacje z jednoczącymi się Niemcami, a w końcu przeprowadzono pierwsze w dziejach Polski powszechne wybory prezydenckie, które wygrał niedawny przywódca opozycji.

Który z polskich prezydentów mógłby się poszczycić równie imponującym dorobkiem, w dodatku w tak krótkim czasie? Może jeszcze Aleksander Kwaśniewski, za którego 10-letniej prezydentury Polska uzyskała nową konstytucję oraz weszła do NATO i Unii Europejskiej. Pozostali lokatorzy Pałacu Prezydenckiego nie wpłynęli zasadniczo na kierunek polskich dziejów, realizując jedynie własne ambicje (Lech Wałęsa) lub wspomagając partię, która wyniosła ich do najwyższego urzędu (Lech Kaczyński, Bronisław Komorowski, Andrzej Duda).

Ale nie tylko prezydent Jaruzelski został zapomniany jako ojciec trzeciej niepodległości. Przy okazji kolejnych rocznic 4 czerwca 1989 r. (które notabene jakoś nie mogą stać się pełnoprawnym świętem w III RP – i pewnie już nigdy się nie staną) zawsze mówi się o Sejmie „kontraktowym" wyłonionym w „częściowo wolnych wyborach". Wspomina się przy tym o triumfie kandydatów Solidarności w wyborach senackich, choć mało kto chce pamiętać, że przywrócenie Senatu zaproponował przy Okrągłym Stole młody polityk PZPR Aleksander Kwaśniewski. Rzadko natomiast przypomina się o tym, jaki układ sił funkcjonował w Sejmie PRL (a potem RP) X kadencji, istniejącym przecież – co warto podkreślić – od lipca 1989 r. aż do października 1991 r.

Na mocy porozumień okrągłostołowych Solidarność objęła 161 mandatów poselskich, czyli wszystkie, które były do zdobycia przez nią w wyborach czerwcowych. Nie była to jednak największa frakcja w tamtym Sejmie, gdyż na Wiejskiej znalazło się wówczas 173 przedstawicieli PZPR (do tego 76 posłów ZSL, 27 członków SD i 23 reprezentantów chrześcijańskich stowarzyszeń działających w PRL). Ta kadencja okazała się kluczowa dla dalszych losów polskiej lewicy również dlatego, że zdecydowana większość posłów PZPR zasiadła w ławach poselskich po raz pierwszy, a całe kierownictwo partyjne (z wyjątkiem prof. Mariana Orzechowskiego, członka Biura Politycznego KC i byłego ministra spraw zagranicznych) znalazło się poza Sejmem, startując z listy krajowej, która została odrzucona przez większość wyborców.

> Przywrócenie Senatu zaproponował przy Okrągłym Stole Aleksander Kwaśniewski.

Wymiana pokoleń

Ten zupełnie niespodziewany obrót spraw wymusił nie tylko szybkie rozwiązanie partii rządzącej Polską od 1948 r., lecz także błyskawiczną wymianę pokoleniową oraz przeniesienie ośrodka kierowniczego lewicy z gmachu Komitetu Centralnego do Sejmu. Dzięki tej „rewolucji czerwcowej" do polskiej polityki weszły tak ważne później postacie, jak Izabella Sierakowska, Barbara Blida, Wiesław Kaczmarek, Jacek Piechota, Zbigniew Sobotka, Janusz Zemke czy Włodzimierz Cimoszewicz, który na początku 1990 r. przejął po Orzechowskim funkcję szefa frakcji sejmowej, już pod nazwą Parlamentarnego Klubu Lewicy Demokratycznej. Taki wysyp talentów sejmowych na lewicy był możliwy również dlatego, że przywódcy nowej Socjaldemokracji RP, Aleksander Kwaśniewski i Leszek Miller, znaleźli się na Wiejskiej dopiero jesienią 1991 r., gdyż dwa lata wcześniej przepadli w wyborach do Senatu.

Odnotowując na gorąco w swoich dziennikach fakt uchwalenia zmian w konstytucji 29 grudnia 1989 r., Mieczysław F. Rakowski zauważył: „Klub PZPR, oprócz jednego posła, głosował za zmianami. Gdyby głosował *en bloc* przeciwko, to zmiany by nie przeszły". Ta oczywista, ale jakże mało uświadamiana prawda dotyczyła nie tylko zmiany nazwy i godła państwa. W tak pogardzanym dziś Sejmie „kontraktowym" wszystkie zasadnicze zmiany ustrojowe przechodziły zdecydowaną większością głosów, przy pełnej akceptacji posłów wybranych z rekomendacji PZPR. A przypomnijmy, że działo się to w sytuacji narastającej „wojny na górze" w obozie solidarnościowym, która coraz bardziej utrudniała prowadzenie spójnej i konsekwentnej polityki reformowania państwa. Apogeum kompromitacji elit wyrosłych z dawnej opozycji nastąpiło w latach 1992-1993, co umożliwiło powrót do władzy lewicy, która już nigdy nie zboczyła z demokratycznego i prozachodniego kursu, wyznaczonego przez jej przywódców w czasach Sejmu X kadencji.

Paweł Siergiejczyk jest historykiem i publicystą

eprasa.pl 86890ebbab

Jerzy J. Wiatr

Zrozumieć Walickiego

Samodzielność intelektualna i odwaga cywilna skazywały Walickiego na swego rodzaju samotnictwo

Ukazała się znakomita książka o Andrzeju Walickim. Jej tytuł, „Spotkania z Andrzejem Walickim", świadomie nawiązuje do „Spotkań z Miłoszem" – jednej z ważniejszych publikacji Walickiego, poświęconej nie tyle sławnemu nobliście, ile refleksji nad pewnego rodzaju paralelnością dróg życiowych obu tych wybitnych postaci.

Autorem „Spotkań z Andrzejem Walickim" jest Paweł Kozłowski – socjolog i ekonomista, przyjaciel i częsty interlokutor Walickiego. Na książkę składają się: obszerny rozdział wstępny, w którym Kozłowski przedstawia podstawowe wątki swoich rozmów z Walickim prowadzonych przez niemal 30 lat, aż do śmierci Walickiego w sierpniu zeszłego roku, kilka już wcześniej publikowanych artykułów i recenzji prac Walickiego oraz trzy teksty bohatera tej książki – dwa wywiady przeprowadzone z nim przez autora (w jednym wypadku wraz z Januszem Dobieszewskim) oraz obszerny tekst Walickiego napisany w związku z rozprawą Kozłowskiego o ekonomii i historii idei, w której zawarte były ważne rozważania o Warszawskiej Szkole Historii Idei i o roli Walickiego w tym nurcie nauki polskiej.

Dla czytelnika znającego najważniejsze prace Walickiego szczególnie cenny jest rozdział wstępny zatytułowany „Andrzej Walicki – z rozmów ostatnich", stanowiący bardzo ważne świadectwo myśli i odczuć uczonego, którego samodzielność intelektualna i odwaga cywilna skazywały na swego rodzaju samotnictwo, a często także – na niezrozumienie lub pochopne krytyki.

Trzy wątki rozmów Kozłowskiego z Walickim wydają mi się szczególnie ważne.

Po pierwsze, stosunek do marksizmu. Walicki nigdy nie był marksistą, ale rozumiał Marksa lepiej niż większość wyznawców jego doktryny. Dał temu wyraz w wielu pracach, szczególnie zaś w *opus magnum*, jakim jest wydana w 1995 r. praca „Marksizm i skok do królestwa wolności". Recenzując tę książkę bezpośrednio po jej ukazaniu się, a jeszcze przed pojawieniem się polskiego przekładu, podkreśliłem jej znaczenie zarówno dla zrozumienia istoty

marksistowskiej wizji historii, jak i dla krytycznego, ale doceniającego jej wagę, stosunku do spuścizny Marksa. Jest to bowiem bez porównania głębsze i intelektualnie bardziej twórcze „przezwyciężenie" Marksa niż skądinąd erudycyjne, ale nacechowane rozczarowaniem byłego wyznawcy rozważania Leszka Kołakowskiego, z którym zresztą Walicki pozostawał w ciekawej, choć niepozbawionej sporu przyjaźni. Relacjonując swoje z nim rozmowy, Kozłowski stwierdza, że Walicki „zamierzał problematykę kapitalizmu i Marksa rozwinąć w oddzielnym, obszernym tekście" (s. 43).

Po drugie, stosunek do Rosji. Walicki był zdecydowanym krytykiem stalinowskiego totalitaryzmu, ale nigdy nie był rusofobem. Rosyjską filozofię i myśl społeczną znał jak nikt inny w Polsce i jak mało kto w świecie. Swoje studia nad filozofią rosyjską prowadził z wyraźnym celem politycznym, gdyż chciał, by zrozumienie rosyjskiej tradycji intelektualnej służyło przezwyciężeniu komunistycznego doktrynerstwa i zbliżeniu polsko-rosyjskiemu. Ocenę rządów Władimira Putina rzucał na szersze tło historii Rosji, widząc w nich realizację programu konserwatywnej liberalizacji (ale nie demokratyzacji) kraju, który nigdy nie doświadczył dłuższego okresu rządów demokratycznych. Był zdecydowanym i odważnym krytykiem polskiej rusofobii, co ściągało na niego ataki nie tylko skrajnej prawicy, ale także środowiska „Gazety Wyborczej". Krytykując rusofobię, był Walicki – o czym świadczą relacjonowane przez Kozłowskiego rozmowy – coraz bardziej krytyczny w stosunku do amerykańskiego hegemonizmu. Uważał, że „lepiej, gdy na świecie są dwa, wzajemnie się ograniczające mocarstwa globalne niż jedno" (s. 45). Doceniał rosnącą rolę Chin. W tym wszystkim szedł wyraźnie pod prąd temu sposobowi myślenia o współczesnym świecie, który ku jego wielkiej trosce dominuje w polskiej polityce i publicystyce politycznej.

Po trzecie, stosunek do przemian ustrojowych w Polsce. Rozmawiając z Pawłem Kozłowskim, Walicki dawał wyraz swojej ocenie niedawnej przeszłości – bardzo krytycznej w stosunku do Solidarności i nacechowanej zrozumieniem dla decyzji gen. Jaruzelskiego, który „wywoływał szczególnie pozytywną reakcję Walickiego i skupił jego uwagę z powodu odwagi podejmowania wyborów i dramatycznych okoliczności, w których w ostatnim dziesięcioleciu to robił, od żadnej decyzji nie uciekając, w pełni świadom tego skutków" (s. 37). Pod wpływem krytycznego stosunku do polskiej transformacji Walicki wyraźnie przesuwał się w lewo, sympatyzował z socjaldemokratyczną lewicą, krytykował neoliberalizm i wskazywał możliwość – wręcz konieczność – zespolenia liberalizmu z postulatami społecznej sprawiedliwości.

Dokumentując ten proces intelektualnej ewolucji, Paweł Kozłowski pomaga lepiej zrozumieć oryginalność Andrzeja Walickiego i jego znaczenie dla budowania w Polsce klimatu intelektualnego sprzyjającego odejściu od zaściankowego nacjonalizmu i prymitywnego antykomunizmu.

Paweł Kozłowski, *Spotkania z Andrzejem Walickim*, Książka i Prasa, Warszawa 2021

eprasa.pl 86890ebbab

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Domy niespokojnej starości

Demencja w prajmtajmach: poczytny tygodnik publikuje wywiad z prof. Jadwigą Staniszkis, choć ta wedle córki cierpi na starcze otępienie; Anthony Hopkins dostaje Oscara za rolę chorego na alzheimera; lada moment w kinach premiera gwiazdorsko obsadzonej „Supernovej" (demencja wystawia na próbę wieloletni związek pary gejów), tyle co z ekranów zszedł „Relic", opowiadający o starczej demencji w gatunkowych ramach horroru.

U mnie w rodzinie po mieczu dziedziczy się senioralne zaburzenia umysłu właściwie bez wyjątków – jeśli dożyję starości, dożyję też alzheimera; nie powiem, żebym się tą świadomością na co dzień zadręczał, ba, paradoksalnie raczej wzmaga ona we mnie radość życia w czasie teraźniejszym, skoro żadnego wspominania dawnych dobrych czasów z wnukami przy kominku nie będzie. Babcia i jej rodzeństwo odchodzili wiele lat w nieświadomościach, o których nie sposób powiedzieć, że były błogie; ojcu ciało odmówiło posłuszeństwa nieco szybciej niż umysł. Nigdy nie zapomnę zrozpaczonej miny, z którą matka kiedyś powitała mnie na korytarzu DPS-u przerażającym odkryciem: „On w i e, gdzie jest". Myśleliśmy: tata wierzy, że jest w szpitalu, z którego wyjdzie, jak tylko skończy się długotrwała kuracja, tą myślą się pocieszaliśmy, oczyszczaliśmy się nią z wyrzutów sumienia. Nie było nas stać na hospicjum klasy luks, wierzyliśmy w uczciwość i sumienność personelu, właściwie tylko raz matka urządziła słuszną awanturę na widok ojca… przywiązanego do krzesła. Przez całe życie uwielbiał się rozsiadać w fotelu i kłaść nogi na stoliku, w takiej półleżącej pozycji czytał, dumał, drzemał, oglądał telewizję – to przyzwyczajenie przeniósł do domu spokojnej starości, z fotelu na hospicyjne krzesło. Próbował umościć się tak, żeby wyciągnąć nogi na stolik, ale oczywiście to mu się nie udawało, w efekcie osuwał się z krzesła na podłogę, a potem nie umiał się wgramolić z powrotem; pielęgniarki nie były w stanie mu wyperswadować starego przyzwyczajenia, więc postanowiły go przypinać pasem do krzesła, żeby z niego nie spadał. Kiedy matka pierwszy raz zobaczyła go w tej pozycji, wyglądał jak ofiara napadu, brakowało mu tylko knebla w ustach, zrobiła raban, obiecaliśmy, że mu dostarczymy prawdziwy fotel, ale wkrótce potem nie miał siły już nawet siedzieć. Znękanemu chorobą, było mu już wszystko jedno, czy to dom starców, czy oddział geriatryczny szpitala miejskiego, czas i miejsce przestały mieć znaczenie, skoro żadnej akcji nie było. Najważniejsze, że nie czuł się sam – do końca rozpoznawał bliskich, domagał się ich obecności, choć mózg dawno stracił funkcje kontrolne nad ciałem. Wypowiadał imię swojej żony, do samego końca to ją przywoływał, czyli jego choroba nie zdążyła spustoszyć pamięci zupełnie, wszak nie wzywał osób dawno umarłych, nie wołał swojej mamy, jak to czynią chorzy w zaawansowanej fazie choroby, jak to czyni bohater oscarowego „Ojca" Floriana Zellera.

Ten film, autorska adaptacja sztuki teatralnej, trochę niestety „glamouryzuje" chorobę alzheimera; nie zachwyca dlatego właśnie, że jest zachwycający – w aktorskiej wirtuozerii Hopkinsa, w misternie zapętlonym scenariuszu, w buñuelowskim pomyśle na obsadzenie różnych aktorów w tych samych rolach (tyle że w „Mrocznym przedmiocie pożądania" był to zabieg oddający dwoistość kobiecej natury, tu po prostu pomaga nam zrozumieć zaburzenia postrzegania), także w zachwycającej twarzy Olivii Williams. Niedoszła pani Sikorska, najpiękniejsza po mojej Żonie kobieta świata, jest opiekuńczym aniołem bohatera w luksusowym domu starców – och, jeśli cała ta demencja kończy się tym, że człowiek ląduje w ramionach Olivii Williams, nie ma się czego bać…

Jeśli cała ta demencja kończy się tym, że człowiek ląduje w ramionach Olivii Williams, nie ma się czego bać.

Znacznie ciekawiej poradziła sobie z tematem Natalie Erika James, która fenomenalną etiudę „Creswick" rozwinęła w pełnometrażowy „Relic", zamieniając dramat córki odkrywającej początki demencji ojca na klaustrofobiczną opowieść o trzech pokoleniach kobiet, w których domostwie choroba Alzheimera lęgnie się dosłownie jako ucieleśniony demon. Wolę wersję krótkometrażową, która potrafi przerazić nawet… oparciami krzeseł. Kobieta odkrywa chorobę ojca stolarza, widząc w jego warsztacie kolejne, coraz bardziej dziwaczne i niefunkcjonalne modele krzeseł – rutyna jeszcze pozwala je wykonać, ale umysł już nie ogarnia formy. W obu filmach powtarza się personifikacja choroby jako nagiego upiora, który dosłownie wiesza się na dotkniętych chorobą postaciach. „Relic" jest już właściwie klasycznym filmem grozy, wygrywającym dwuznaczność stwierdzenia „babcia już nie jest sobą". Nieoswojona, narowista bestia grasuje po domu niespokojnej starości, przy czym amnezja jest bodaj najłagodniejszym z figli, które płata. Strasznie dobre kino.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 86890ebbab

Rozmawia Artur Zaborski

Jak ona mogła tego nie zrozumieć?

Prawdziwie cieszyć się z małych rzeczy potrafią właśnie ludzie najmocniej doświadczeni przez życie

ANNA CIEŚLAK
– aktorka, ambasadorka Fundacji La Strada

W serialu „Szadź" (Player, TVN) gra pani kobietę przeżywającą horror uwięzienia w małżeństwie z mężczyzną, który ją osacza i manipuluje nią.

– To dla mnie niezwykle ważna postać. Zależało mi tak bardzo, żeby odegrać ją wiarygodnie, ponieważ znam osobiście takie kobiety.

Skąd?

– Od ponad dziesięciu lat jestem ambasadorką i wolontariuszką Fundacji La Strada, która działa na rzecz pomocy ofiarom niewolnictwa w Polsce. Wspominam o tym, ponieważ współczesne zniewolenie objawia się także manipulacją psychiczną. Doświadcza jej moja serialowa bohaterka, która jest mentalnie terroryzowana przez męża. A ponieważ go kocha, ma poczucie, że naprawi swoją miłością nawet to, co złe – popada najpierw w niemoc, a potem w pewien rodzaj obłędu, w którym człowiek, mimo że czuje, że coś jest nie tak, nie bardzo wie, jak sobie z tym poradzić.

Pani bohaterka nie przechodzi prostej przemiany, nie odwraca się od męża, kiedy tylko dowiaduje się, że ma on coś na sumieniu. Przekonanie o winie nie powoduje, że chce od niego się uwolnić, nie próbuje od razu uciekać.

– To mechanizm zachodzący w takich przypadkach – kiedy pojawiają się prawdziwe emocje i uczucia, przeważnie towarzyszy im wypieranie prawdy. Od wielu lat mam kontakt z kobietami, które opowiadają wstrząsające historie i przechodzą proces wracania do siebie po przejściach. A ten jest długi. Zanim kobiety będą w stanie mówić o sobie i rozliczać ludzi wokół nich, mija wiele lat. Analizę swoich relacji zawsze zaczynają od zadawania sobie pytania: „Co ja takiego zrobiłam, gdzie popełniłam błąd?". Towarzyszy im wieloletnie wypieranie faktów i nieustające poczucie winy. Jest ono także uzależniające.

Jak związała się pani z La Stradą?

– Zadebiutowałam w wyreżyserowanym przez Franca de Peñę filmie „Masz na imię Justine", który opowiadał o uprowadzonej dziewczynie zmuszanej do prostytucji. Fabuła była oparta na prawdziwych

eprasa.pl 86890ebbab

historiach, dlatego zwróciła uwagę osób pracujących w fundacji. Produkcja przedstawiana była na wielu festiwalach filmowych na całym świecie i została uznana przez Fundację La Strada za dobry materiał szkoleniowy. Irena Dawid-Olczyk i Joanna Garnier, założycielki organizacji, postanowiły zaprosić mnie do głębokiej rozmowy, która trwa do dzisiaj i wiele nam wzajemnie daje. Dowiedziałam się, w jaki sposób mogę pomagać. Moja obecność w fundacji polega m.in. na szkoleniu ludzi, na ich resocjalizacji. Kluczowe jest rozumienie, co naprawdę dzieje się z osobą, którą się opiekujemy i której staramy się pomóc. Ci ludzie mierzą się z różnymi momentami, a podczas każdego z nich wskazany może być kontakt z innym specjalistą. Może to być psychiatra, coach, socjolog, psycholog, a nawet nauczyciel języka polskiego, bo takich lekcji przyjeżdżającym do Polski również udzielamy.

Kim są ludzie, z którymi pani tam pracuje?

– Są to zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Są wśród nich wykształceni, anglojęzyczni Filipińczycy, którzy z powodu nieznajomości języka i znalezienia się w obcym środowisku, bez przyjaciół, pracują jako kierowcy tirów na minimalnych stawkach. Żyją w kanciapach, na najniższym możliwym poziomie. To wcale nie są tylko filmowe historie, one nadal dzieją się w naszym świecie. Dlatego razem z wolontariuszami fundacji przykładamy ogromną wagę do uświadamiania ludziom ich praw, przywileju wolności.

Aby pomóc drugiej osobie, trzeba podejść do sprawy konstruktywnie i logicznie.

Działania w La Stradzie i w obszarze sztuki przenikają się u pani?

– Szukam powiązanych z nimi scenariuszy – nie zawsze są to dramaty, zdarzają się komedie. Zależy mi na odgrywaniu ról kobiet, które mają coś do powiedzenia lub z czymś sobie nie radzą. Dlatego „Szadź" była idealna. Sama znam kobiety, które pochodzą z bardzo bogatych domów, są zabezpieczone finansowo, a mimo to pozwalają zastraszyć się i zmanipulować mężczyznom.

Stereotyp mówi, że to kobiety zależne ekonomicznie poddają się swoim partnerom.

– Nie jest wcale tak, że ofiarami stają się tylko źle sytuowane czy niewykształcone kobiety. Status społeczny i doświadczenie życiowe nie zawsze przesądzają o losie.

W serialu kwestia prestiżu i przynależności do konkretnej klasy społecznej wydaje się istotna. Widzowie czują, jak wiele ma do stracenia pani bohaterka, kiedy decyduje się odejść od majętnego męża.

– W pierwszym sezonie pada pod adresem mojej bohaterki ważne zdanie: „Jesteś słaba, przesypiasz swoje życie". Ona te mocne słowa zapamiętuje. Monika jest matką dwójki dzieci.

Status społeczny i doświadczenie życiowe nie zawsze przesądzają o losie.

Kobieta niezależna, samodzielna może sobie pozwolić na zupełnie inne działania niż ta, która jest odpowiedzialna za czyjeś życie. Matka myśli o tym, co będzie najlepsze dla jej dzieci. Musi w związku z tym dokonywać innych wyborów. To skomplikowane kwestie, bo w życiu nic nie jest jednoznaczne. Czasami ludzie ubierają coś w bardzo ładne słowa, jednak za nimi kryje się mrok. Po przeczytaniu scenariusza pomyślałam: „Boże, jak ona mogła tego nie zrozumieć?! Nie wyczuć, że jej mąż jest tak okrutnym człowiekiem?". A przecież bardzo często żyjemy z kimś, tak naprawdę nie wiedząc, kim dana osoba jest.

Monika z jednej strony nie chce, by Piotr był obecny w życiu jej i dzieci, z drugiej ma świadomość, jak obciążająca dla psychiki dziecka będzie myśl, że jedno z rodziców jest seryjnym mordercą.

– No właśnie. Należy zadać sobie pytanie, co i na jakim etapie możemy dziecku przekazać. Sama nie mam dzieci, ale z zasłyszanych historii wiem, jak trudną sztuką jest przekazywanie im informacji. Co powiedzieć, kiedy rodzice nie dogadują się między sobą, jakie słowa mogą pozostawić uszczerbek na psychice dziecka do końca życia. Znam mnóstwo takich sytuacji z La Strady.

Kobiety nie myślą o swoim dobru, tylko skupiają się na innych?

– Bardzo często stawiają siebie na ostatnim miejscu. W ten sposób krzywdzą siebie i w konsekwencji także swoich bliskich. Jeżeli sama nie odbijesz się od własnej tragedii i brakuje ci chęci do zmiany sytuacji, będziesz przenosić nieszczęście na dzieci, które są jego uczestnikami. Jest taka stara prawda, że jeśli nie pokochasz siebie, to nie pokochasz nikogo.

Jak przebiega proces wyzwalania osób, które trafiają do fundacji?

– To bardzo indywidualna kwestia. Te osoby mają przeróżne historie. Zanim ktoś taki jak moja serialowa Monika w rozmowach ze specjalistami zacznie mówić o swoich potrzebach, mijają dziesiątki godzin. Musi upłynąć wiele miesięcy, nim przestanie mówić o tych, których chroni i dla których chce jak najlepiej. Czasami są to godziny spędzone nie tyle na dialogu, ile na słuchaniu i współistnieniu, obserwacji wyrzucanego na zewnątrz cierpienia i łez. Te działania pozwalają ostatecznie dokopać się do samego siebie. Może upłynąć wiele lat, zanim dana osoba zacznie postrzegać świat inaczej. Nie wystarczy powiedzieć jej, że obrany przez nią sposób myślenia jest błędny.

Obcowanie z ofiarami manipulacji musiało wpłynąć również na pani priorytety. Czy wolność jest dla pani najważniejsza?

– Tak, wolność i prawdziwe relacje z drugim człowiekiem. Żyjemy w bardzo trudnym świecie, w którym nie mamy dużo czasu. Nawet teraz, w trakcie lockdownu, nie znajdujemy chwili na przyjrzenie się drugiemu człowiekowi, usłyszenie go, a przede wszystkim na współbycie z nim. A przecież tylko wtedy możemy stworzyć relację, za którą idzie zaufanie. I dopiero kiedy to zaufanie zbudujemy, druga osoba może poprosić nas o pomoc.

Jak pani sobie radzi z emocjami związanymi z pracą w fundacji? Czy potrafi pani odciąć się od usłyszanych tam historii?

– Anna Dymna zawsze powtarzała, że nie można wesprzeć ludzi poprzez współodczuwanie. Aby pomóc drugiej osobie, trzeba podejść do sprawy konstruktywnie

FOT. KAMIL PIKLIKIEWICZ/DDTVN/EAST NEWS

eprasa.pl 86890ebbab

i logicznie. Nabycie umiejętności, za sprawą której uczucia innych nie będą obciążały cię emocjonalnie, jest dla mnie najtrudniejszą sztuką. Praktycznie niemożliwą, bo czasami jest się świadkiem nieprawdopodobnych historii. Bardzo bolesnych, takich, które śnią się po nocach. Trzeba jednak zrozumieć, że nie chodzi o utożsamianie się z cierpieniem drugiej osoby. Należy się zastanowić, co można zrobić, aby ją wyedukować, doprowadzić do innego sposobu myślenia. Uświadomić, że możliwe jest zbudowanie dla siebie innej rzeczywistości.

Wierzy pani, że dzięki sztuce możemy się nauczyć zwracać uwagę na te problemy, na osoby, którym w życiu codziennym nie poświęcamy czasu?

– Naturalnie, właśnie z tego powodu zostałam aktorką. W teatrze gram nieprzerwanie od 25 lat, zakochałam się w nim. Pamiętam uczucie, które towarzyszyło mi, kiedy obejrzałam naprawdę dobre przedstawienie: „Myślałam, że tylko ja tak mam, a okazuje się, że na ten temat tworzone są całe sztuki!". Nasze problemy są bardzo podobne i dobrze jest przyjrzeć się im z bliska. Nie zmieniają się ludzie, zmieniają się okoliczności.

Poprzez sztukę możemy się pochylić nad tematami, które dla kogoś będą bardzo bliskie. Po premierowym pokazie filmu „Masz na imię Justine" na festiwalu w Montrealu podeszła do mnie kobieta, która wyznała, że właśnie mija dziewięć lat od momentu, w którym udało jej się uciec z podobnego piekła. Rozmawiałyśmy całą noc. To, że dla mnie coś jest białe lub niebieskie, nie oznacza, że takie same barwy będzie miało dla osoby pogrążonej w mrocznych myślach.

> Zdarza się, że żyjemy z kimś, nie wiedząc, kim ta osoba jest.

Czy mimo obcowania ze skomplikowanymi postaciami i pracy w La Stradzie udaje się pani zachować życiowy optymizm?

– Oczywiście, przecież gram również w komediach! Między innymi właśnie po to, aby zachować równowagę psychiczną. Mam w sobie dużo pozytywnego spojrzenia na świat. Współpracuję obecnie z Anną Polony, która ma 86 lat i przeszła w życiu bardzo wiele. Przeżyła wiele śmierci i innych tragicznych sytuacji – jak każdy w tym wieku. W sferze marzeń pozostaje to, żebyśmy wszyscy mieli w sobie tak wielką pogodę ducha jak ona. Z małych rzeczy potrafią prawdziwie się cieszyć właśnie ludzie najmocniej doświadczeni przez życie. Wciąż biegniemy, zapominając dokąd. W pewnym momencie jesteśmy zmęczeni, nie wiemy już, o co w tym wszystkim chodziło. Ale brniemy dalej i nie zauważamy tego, co najważniejsze.

Teraz zachowuje pani balans i dostrzega to, co ważne?

– Przede wszystkim staram się przebywać w otoczeniu ludzi, którzy mają taką umiejętność. Mam swoich mistrzów.

Artur Zaborski

eprasa.pl 86890ebbab

FABUŁA

DOBRY ZDRAJCA

reż. Christina Rosendahl, prod. Dania, dostępny w serwisach VoD

Reżyserka potrafi wymownie zarysować różnice pomiędzy Europą i USA z początku II wojny światowej. Gdy w tej pierwszej słychać strzały, w drugiej – odkorkowywane szampany, bo separatystyczna Ameryka ma konflikt w nosie. Dopóki Henrik Kauffmann (znakomity Ulrich Thomsen), duński ambasador w Waszyngtonie, nie wpadnie na pomysł, by za gwarancje bezpieczeństwa Grenlandii dać Rooseveltowi prawo do ulokowania wojsk amerykańskich na jej terenie. Po kapitulacji duńskiego rządu Kauffmann ogłasza się władcą wolnej Danii na uchodźstwie. Słabo znany w Polsce fakt pokazano nie tylko z politycznej perspektywy. Ważne jest również życie prywatne Henrika, który rozgrywa bliskich niczym oponentów. Uwikłany w romans ze szwagierką potrzebuje względów żony przyjaźniącej się z Rooseveltem. Christina Rosendahl dobitnie przypomni, czym kończy się mieszanie uczuć i polityki. Choć momentami scenariusz traci werwę, film nadrabia to kostiumami i scenografią oraz aktorstwem na najwyższym poziomie. *Artur Zaborski*

OSLO

reż. Bartlett Sher, prod. USA, dostępny w HBO i HBO GO

Podpisane w 1993 r. porozumienie, na mocy którego Izrael i Organizacja Wyzwolenia Palestyny wzajemnie uznały swoje istnienie, stało się podstawą trzygodzinnej sztuki teatralnej. Przez lata wystawiana z sukcesem na Broadwayu – przyniosła autorowi, J.T. Rogersowi, prestiżową nagrodę Tony – teraz dała podwaliny filmowi z Ruth Wilson i Andrew Scottem. Aktorzy grają małżeństwo; ona jest norweską minister spraw zagranicznych, on socjologiem. Jest między nimi chemia, a dialogi, na których film się opiera, brzmią w ich ustach wiarygodnie i przekonująco. Skupienie na rozmowach zdradza teatralną proweniencję, ale twórcy wykorzystują je, by pokazać kulisy podpisywania porozumień. Szantaży, gróźb, obietnic, blefów, jak i wylewanej żółci jest na tyle dużo, by zaliczyć „Oslo" do grupy zajmujących thrillerów politycznych. Przy tym jest na tyle zakorzenione w historii, że nie można mu odmówić walorów edukacyjnych – po seansie lepiej zrozumiecie, co dzieje się dziś między Izraelem a Palestyną. *Artur Zaborski*

MIĘDZY OKŁADKAMI

Beata Chomątowska
Andreowia
Wielka Litera, Warszawa 2021

„Szopka krakowska składa się z zakamarków, drugich i trzecich planów" – to z motta. Zakamarki ma też potoczysta, lekko baśniowa opowieść o Krakowie, której centralnymi punktami są Pałac Prasy u zbiegu Wielopola i Starowiślnej oraz kamienica na rogu Chopina i Szymanowskiego. A zaludniają te zakątki, te drugie i trzecie plany postacie fantastycznie barwne. Królują jednak w „Andreowii" babka i matka narratora. To one kształtują jego świat, choć już wiedza o erotyce pochodzi z diariusza aktorki i utalentowanej fałszerki, która też stała się częścią tej nietypowej familii. Ojciec – wielka niewiadoma, dominującą figurą męską jest więc dziadek, smakosz i nieokiełznany kobieciarz. Szczególny, żartobliwie sentymentalny urok mają wcześniejsze etapy rodzinnej (ale i dziennikarskiej) sagi, bo odkąd bohater wyrósł z wieku dziecięcego, coraz mniej wzbudza sympatii – mimo to do końca śledzi się jego losy z niesłabnącym zainteresowaniem.

Aleksandra Pańko

Dorota Kotas
Cukry
Wydawnictwo Cyranka, Warszawa 2021

Dorota Kotas pisze o sobie i to jest jej *love story*. Otwiera się, pokazuje dzieciństwo, traumy i radości. Wyjaśnia, że jest osobą wysoce wrażliwą i bolą ją złe recenzje w internecie. Ma do tego prawo. Wielu czytelnikom ten „Dom nad rozlewiskiem" *à rebours* się podoba. Nie można odmówić autorce stylu i chęci, ale „Cukry" to tylko uzupełnienie debiutanckiej powieści. Pierwszy raz ciekawiło, teraz nuży. Autokreacja autorki-bohaterki jest nieznośna. Tyle tu typowego dla tzw. nowej młodej prozy autobiografizmu, przepisywania Instagrama i Facebooka. Plus modne wątki o niedostosowaniu, o trudach bycia kobietą itd. Można odnieść wrażenie, że poza depresją i Weltschmerzem nie ma w młodej literaturze innych tematów. W żaden sposób nie można nazwać „Cukrów" literaturą przełomową. Niemniej ciekaw jestem następnej, prawdziwie drugiej książki Doroty Kotas, w której pokaże pełnię pisarskich umiejętności, odejdzie od siebie i wybije się na oryginalność.

Rafał Pikuła

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 86890ebbab

GRAND PRESS PHOTO 2021

Międzynarodowa Przyjaźń

eprasa.pl 86890ebbab

II miejsce w kategorii LUDZIE, FOTOREPORTAŻ – Małgorzata Adamczyk, Pix.House

Osiedle Przyjaźń na warszawskim Bemowie powstało w 1952 r. dla radzieckich budowniczych Pałacu Kultury i Nauki. Po zakończeniu robót w drewnianych domach zamieszkali studenci i pracownicy warszawskich uczelni. Teraz do historii osiedla dopisywana jest nowa karta. W pokojach mocno wysłużonych budynków mieszkają także cudzoziemcy, dla których Przyjaźń jest pierwszym domem w Polsce.

eprasa.pl 86890ebbab

Polska gościnność na egzaminie

Nasz kraj okiem zagranicznych studentów

Paula Leśniewska

– Wszyscy Polacy pytają, dlaczego przyjechałam akurat tutaj. Odpowiadam: „A dlaczego nie? Żyjecie w świetnym kraju, ciekawią mnie wasza kultura i historia". W Polsce można znaleźć wszystko: zamki, góry, rzeki, plaże, morze... No i jest naprawdę tanio – mówi Lara Maria Guedes Gonçalves Costa, studentka III roku International Relations and Area Studies na Uniwersytecie Jagiellońskim. Do Krakowa przyjechała z Brazylii. Jest jedną z wielu osób, które zdecydowały się na studia w Polsce.

Według raportu „Studenci zagraniczni w Polsce 2020", opublikowanego przez „Perspektywy", w roku akademickim 2019/2020 w Polsce studiowało 82 194 studentów zagranicznych. Ta liczba rośnie z roku na rok. 10 lat temu na polskich uczelniach obcokrajowców studiowało prawie cztery razy mniej.

Dlaczego Polska?

– Dużo czytałem o słowiańskiej kulturze, zafascynowała mnie. Wydawało mi się, że Polska jest najlepszym krajem do życia ze wszystkich państw słowiańskich. Niesamowicie szybko się rozwija pod względem ekonomicznym – tłumaczy Deepjyoti Nath, student III roku kierunku Computer Science na Uniwersytecie Łódzkim. – Moim zdaniem Indie i Polska mają dużo wspólnego. Zanim tu przyjechałem, wielu ludzi mówiło mi, że Polacy są zimni, wiecznie niezadowoleni i zamknięci w sobie. Przekonałem się, że to nieprawda. Są tacy jak Hindusi, przyjaźni i otwarci. Kiedyś na stacji benzynowej podeszła do mnie starsza kobieta, dotknęła dłonią mojej twarzy i powiedziała: „piękny". Zupełnie się tego nie spodziewałem, więc wydukałem tylko „dziękuję" – uśmiecha się Deepjyoti. Pochodzi z miasta Silchar w Indiach. Jak mówi, zadomowił się tu na dobre – uczy się i założył firmę.

– Ja przyjechałem, żeby studiować medycynę – wyjaśnia Marlon Souza Luis z Kanady, student VI roku kierunku lekarskiego na Gdańskim Uniwersytecie Medycznym. – Przyjaciel rodziny powiedział, że to dobra uczelnia. Po długim namyśle zdecydowałem, że pojadę. Wcześniej nie miałem okazji spędzić dużo czasu w Europie, chciałem spróbować czegoś nowego. Toronto, z którego pochodzę, bardzo się różni od polskich miast. Tam wielokulturowość widać na każdej ulicy. Tutaj jest inaczej.

Lara: Gdy wybuchła pandemia, wiele krajów ogłosiło, że zagraniczni studenci muszą wrócić do domu. W Polsce było odwrotnie.

Największą grupą zagranicznych studentów są Ukraińcy i Białorusini. Dlaczego decydują się studiować w Polsce? Aliaksandra Shmyk z Mińska, studentka III roku automatyki i robotyki na Politechnice Warszawskiej: – Branża inżynierska na Białorusi nie jest dobrze rozwinięta. W krajach anglojęzycznych wykształcenie techniczne jest bardzo drogie, poza tym polski jest dość podobny do białoruskiego, więc nie miałam problemów z opanowaniem języka. Politechnika Warszawska każdego roku przeprowadza rekrutację na bezpłatne studia dla osób bez polskiego obywatelstwa, więc postanowiłam spróbować. I dostałam się.

Aliaksandra, Marlon, Deepjyoti i Lara to laureaci konkursu Interstudent 2021, organizowanego przez Fundację Edukacyjną Perspektywy. Co roku fundacja przyznaje cudzoziemcom studiującym na polskich uczelniach nagrody. Warunkiem udziału w konkursie jest aktywność w lokalnym środowisku: kulturalna, społeczna, ekologiczna, sportowa, a także działania na rzecz wielokulturowości oraz dobre wyniki w nauce czy też udział w ciekawych projektach badawczych.

Lara jest wolontariuszką Wspólnoty Hanna w Krakowie, która pomaga bezdomnym. Razem z koleżanką ze studiów i Brazylijskim Stowarzyszeniem Studentów przygotowała przewodnik dla cudzoziemców „Jak studiować w Polsce". Deepjyoti skonstruował robota do dezynfekcji przestrzeni publicznych. Aliaksandra jest członkinią Studenckiego Koła Astronautycznego i prowadzi zajęcia robotyczne dla dzieci. Marlon od lat jest zaangażowany w studencki projekt

eprasa.pl 86890ebbab

edukacyjny „Fun with English", w ramach którego uczy chore dzieci i ich rodziców angielskiego. – Czasem dowiaduję się, że mój podopieczny, który jeszcze niedawno cieszył się prezentami od Mikołaja, nie żyje. To naprawdę rozdzierające – mówi ze smutkiem Marlon.

Rasizm, ksenofobia i Kościół

„1 marca 2020 r. podczas mszy w kościele pw. św. Michała Archanioła we Wrocławiu ksiądz salezjanin Leonard Wilczyński stwierdził w kazaniu, że epidemia koronawirusa to »kara boska za życie w grzechu: za homoseksualizm«. Dodał, że Chińczycy »są brudni, jedzą nietoperze i martwe płody«", czytam w raporcie „Wirus nienawiści: Brunatna Księga czasu epidemii" Stowarzyszenia Nigdy Więcej. Podobnych przykładów rasizmu i ksenofobii w Polsce jest znacznie więcej, niż można by przypuszczać.

– Kiedyś usłyszałam od Polaka, że do niczego się nie nadaję, bo jestem z Brazylii. Bardzo mnie to zabolało – wyznaje Lara. – Niektórzy Polacy źle traktują cudzoziemców w codziennych sytuacjach. Na przykład znają angielski, ale nie chcą odpowiedzieć na pytanie, bo czują się urażeni, że nie zapytałam po polsku. Nie rozumieją, że dla wielu obcokrajowców polski jest po prostu zbyt trudny. To dla mnie szokujące, ponieważ w Brazylii, chociaż mieliśmy do czynienia z kolonizacją, nauczyliśmy się witać obcokrajowców z uśmiechem, nawet jeśli nie mówią po portugalsku. Przyjechałam tutaj, żeby przynieść korzyść Polsce i wynieść z waszej kultury to, co najlepsze. Polska i wiele innych krajów europejskich potrzebuje obcokrajowców, a przyjęcie ich jest korzystne dla obu stron.

Deepjyoti: Kiedyś na stacji benzynowej podeszła do mnie starsza kobieta, dotknęła dłonią mojej twarzy i powiedziała: „piękny".

– W moim przypadku niechęć zazwyczaj ograniczała się do dziwnych spojrzeń w tramwaju, chociaż muszę przyznać, że tę samą reakcję wywołuję, gdy jeżdżę do mojej rodziny w Goi w Indiach – opowiada Marlon. – Niestety, zdarzały się też bardziej niebezpiecznie sytuacje i próby sprowokowania mnie do bójki. Raz na Długiej w Gdańsku w moją stronę poleciała butelka po piwie. Natychmiast jednak podeszła do mnie obca osoba, żeby się upewnić, że wszystko jest w porządku, i zaczęła przepraszać mnie za całą sytuację, chociaż nie miała z nią nic wspólnego – podkreśla Marlon. Dodaje, że jego ciemnoskórzy przyjaciele wielokrotnie doświadczali wyzwisk, a nawet przemocy fizycznej od Polaków.

Aliaksandra: – Słyszałam opinie, że Polacy są niechętni przyjezdnym. Ale w otoczeniu studenckim nigdy nie doznałam żadnych przykrości, wręcz przeciwnie, mam tutaj więcej przyjaciół Polaków niż Białorusinów. Kiedyś w wakacje pracowałam w hotelu w recepcji i tam zdarzyło się, że jak ludzie usłyszeli mój akcent, zaczęli traktować mnie z góry. Nie lubię też wizyt w urzędach, bo zwykle muszę przygotować więcej dokumentów niż Polacy, aby móc załatwić taką samą sprawę. W takich chwilach czuję, że nie jestem u siebie. Chociaż wydaje mi się, że w każdym innym kraju niż Białoruś miałabym podobne problemy.

Aliaksandra: Politechnika Warszawska co roku przeprowadza rekrutację na bezpłatne studia dla osób bez polskiego obywatelstwa. I dostałam się!

Brat Aliaksandry jest lekarzem i przez jakiś czas rozważał rozpoczęcie kariery w Polsce. Po dłuższym zastanowieniu zrezygnował z tego pomysłu. – Nie spodobało mu się, że episkopat ma tak dużą władzę w Polsce – wyjaśnia Aliaksandra. – Czuć duże napięcie w społeczeństwie z tego powodu. Ja też uważam, że nie powinno tak być, szczególnie że Polska oficjalnie jest państwem świeckim. Według mnie wiara jest intymną sprawą każdego człowieka i trzeba z nią się obchodzić bardzo delikatnie, ale niestety czasem właśnie z kościelnej ambony padają słowa, które dzielą ludzi.

Druga strona medalu

Mimo przykrych incydentów studenci mówią, że w Polsce spotkało ich o wiele więcej dobrego niż złego. Deepjyoti: – Ja mam same pozytywne doświadczenia z Polakami. Sprawili, że poczułem się w Łodzi jak w domu. Co roku świętujemy razem Noc Kupały.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE (4)

eprasa.pl 86890ebbab

Nie można chyba bawić się bardziej słowiańsko niż w ten właśnie sposób. Uwielbiam polskie wsie. Tęsknię tylko za indyjskim street foodem. Jest naprawdę pyszny.

– Ja uwielbiam polską kuchnię i bogatą historię. Jest to miejsce po przejściach, jednocześnie zjednoczone i podzielone przez swoją tragiczną historię. Najważniejsze jednak, co zawdzięczam Polsce, to to, że poznałem osobę, która wkrótce zostanie moją żoną i z którą mam nadzieję spędzić resztę życia – śmieje się Marlon. – Kiedy wybuchła pandemia, zostałem w Polsce z narzeczoną, choć miałem możliwość polecieć do Toronto. Jako student medycyny zostałem szybko zaszczepiony.

– Kiedy przyjechałam do Polski, czułam się samotna – wtrąca Lara. – W Brazylii ludzie są bardziej otwarci, często się przytulają, dużo mówią. Potrzebowałam czasu, żeby się przestawić. I po kilku latach w Krakowie mogę powiedzieć, że w Polsce czuję się świetnie. Gdy wybuchła pandemia, wiele krajów ogłosiło, że zagraniczni studenci muszą wrócić do domu. Tutaj było odwrotnie – przekonywano mnie, żebym została. Kiedy zaraziłam się covidem, trafiłam do szpitala. Pielęgniarki traktowały mnie bardzo dobrze, za co jestem niesamowicie wdzięczna. Niedługo będę mogła odwiedzić rodzinę w Brazylii, bo zostanę zaszczepiona. To najlepszy prezent, jaki dostałam od Polski.

Marlon: Raz na Długiej w Gdańsku w moją stronę poleciała butelka po piwie.

Z raportu „Sytuacja studenta w czasie epidemii koronawirusa" opublikowanego przez Niezależne Zrzeszenie Studentów wynika, że uczelnie w dużej mierze nie były przygotowane na zdalny tryb nauki. Zarówno kadra, jak i studenci sami musieli zapewnić sobie sprzęt do nauki i pracy, a także nauczyć się obsługiwać platformy e-learningowe. – Uważam, że moja uczelnia starała się jak najlepiej wykorzystać zasoby, które miała. Niektóre wydziały były bardziej efektywne niż inne, to jasne. Mimo wszystko cała ta sytuacja ma pewien plus. Przyszli studenci będą mogli połączyć naukę na uczelni i zdalną – kwituje Marlon.

Paula Leśniewska
p.lesniewska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 86890ebbab

Internetowe testy DNA

Klucz do zdrowia czy zagrożenie?

Anna Brzeska

Dlaczego niektórzy przechodzą COVID-19 bezobjawowo, inni zaś poważnie chorują lub umierają? Naukowcy już wiedzą, że jednym z czynników są predyspozycje genetyczne.

Informacje o wynikach różnych badań potwierdzających te przypuszczenia szybko zaczęły wykorzystywać prywatne firmy diagnostyczne. Już dziś, nie wychodząc z domu, możemy za ok. 450-500 zł sprawdzić, czy geny sprzyjają nam podczas pandemii, czy nie. Wystarczy za pomocą zamówionego zestawu testowego pobrać wymaz z policzka, a następnie odesłać go do analizy. „Wynik badania pozwoli ocenić zarówno podatność na wystąpienie infekcji, jak i ciężkość przebiegu choroby, co znacznie ułatwi lekarzom postępowanie przy diagnozowaniu i leczeniu choroby", czytam na stronie jednej z firm specjalizujących się w usługach diagnostycznych.

W ofercie tego typu firm od dawna są dostępne również testy na ojcostwo, testy predyspozycji genetycznych do zachorowania na różne typy nowotworów, chorobę Alzheimera, chorobę zakrzepowo-zatorową, nawet predyspozycji do łysienia. Ceny za badanie jednego genu zaczynają się od 200 zł, a testów na ojcostwo od ok. 600 zł. Coraz popularniejsze są też testy pozwalające ustalić pochodzenie etniczne – te możemy sobie zafundować za niecałe 80 euro, czyli nieco ponad 350 zł.

Wydaje się, że sprawdzenie swoich genów może przynieść wyłącznie korzyści. Pamiętamy przypadek aktorki Angeliny Jolie, która po badaniu genetycznym na obecność mutacji genu BRCA1 (o kilkadziesiąt procent zwiększa ryzyko zachorowania na raka piersi lub raka jajnika) poddała się profilaktycznym operacjom podwójnej mastektomii oraz usunięcia jajników i jajowodów. W publikacji na łamach medycznego czasopisma „Journal of the National Cancer Institute" naukowcy sugerowali, że wskazane byłoby wykonywanie badań przesiewowych kobiet pod kątem występowania tego typu mutacji.

Czy jednak powinniśmy bez wahania rzucić się na internetowe testy, by zbadać się pod kątem każdej możliwej choroby? Czy są one legalne? Czy na podstawie wyników tych testów możemy podjąć decyzje o ewentualnej profilaktyce lub leczeniu?

Odpowiedzi na te pytania dostarcza nam niedawny raport Europejskiego Centrum Konsumenckiego. Dowiadujemy się z niego, że nie istnieją żadne ogólnoeuropejskie przepisy, które regulowałyby rynek tzw. rekreacyjnych (czy inaczej konsumenckich) testów genetycznych. W Europie jedynie Francja i Portugalia wyraźnie ich zabraniają.

Rynku konsumenckich testów genetycznych nie regulują żadne ogólnoeuropejskie przepisy.

Interpretacja testu genetycznego w celu ustalenia predyspozycji danej osoby do pewnych dziedzicznych chorób zawsze opiera się na aktualnym stanie wiedzy medycznej i genetycznej – a te dziedziny stale się rozwijają. Zmieniają się również sposoby diagnozowania chorób przez lekarzy. Wyniki takich testów powinny być zatem uważane za ważne wyłącznie w momencie ich ukończenia. Ponadto naukowcy coraz częściej podkreślają, że na ujawnienie się konkretnych genów ma wpływ styl życia, metabolizm, środowisko danej osoby. Posiadanie mutacji jakiegoś genu nie oznacza, że zmutowany gen się ujawni lub że inne geny nie zrekompensują jego mutacji.

I właśnie dlatego autorzy raportu konkludują, że wyniki internetowych testów mogą być mało wiarygodne i nie powinniśmy ich traktować jako badania medycznego. Radzą wykonywać badania genetyczne w certyfikowanych ośrodkach zatrudniających doświadczonych specjalistów z zakresu laboratoryjnej genetyki medycznej oraz lekarzy – genetyków klinicznych.

Poza tym robienie testów – zarówno ujawniających predyspozycje do chorób, jak i testów na ojcostwo czy pochodzenie etniczne – na własną rękę może wywoływać duży stres lub inne konsekwencje psychologiczne, bo otrzymane informacje też będziemy musieli udźwignąć sami.

Raport wskazuje również innego rodzaju zagrożenie – decydując się na analizę swojego DNA, przekazujemy poufne informacje o sobie i swojej rodzinie. Te nierzadko są wysyłane do ośrodków diagnostycznych poza UE, gdzie mogą już nie być uznawane za chronione dane osobowe (a właśnie za takie uważane są na terenie Unii od roku 2018).

Jeśli mimo wszystko chcemy się przetestować, skonsultujmy się najpierw z lekarzem (najlepiej genetykiem) – i spójrzmy na wskazówki, które przygotowało Europejskie Centrum Konsumenckie:

- Sprawdź, czy usługodawca podaje szczegółowe informacje na temat swoich procedur. Bądź ostrożny z informacjami dotyczącymi mutacji genów. Uważaj na wszelkie zalecenia dotyczące zmiany stylu życia podane na podstawie wyników testu. Porozmawiaj z lekarzem.
- Sprawdź, jak i gdzie będą przechowywane twoje dane osobowe i medyczne, czy będą dalej wykorzystywane lub udostępniane innym osobom. Poproś o usunięcie danych po otrzymaniu wyników, nie wyrażaj zgody na dalsze ich wykorzystywanie lub ponowną ocenę.
- Pamiętaj, że w przypadku zakupów online masz 14 dni, aby się wycofać – chyba że rozpocząłeś korzystanie z usługi.

a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 86890ebbab

Niezdarne zdalne

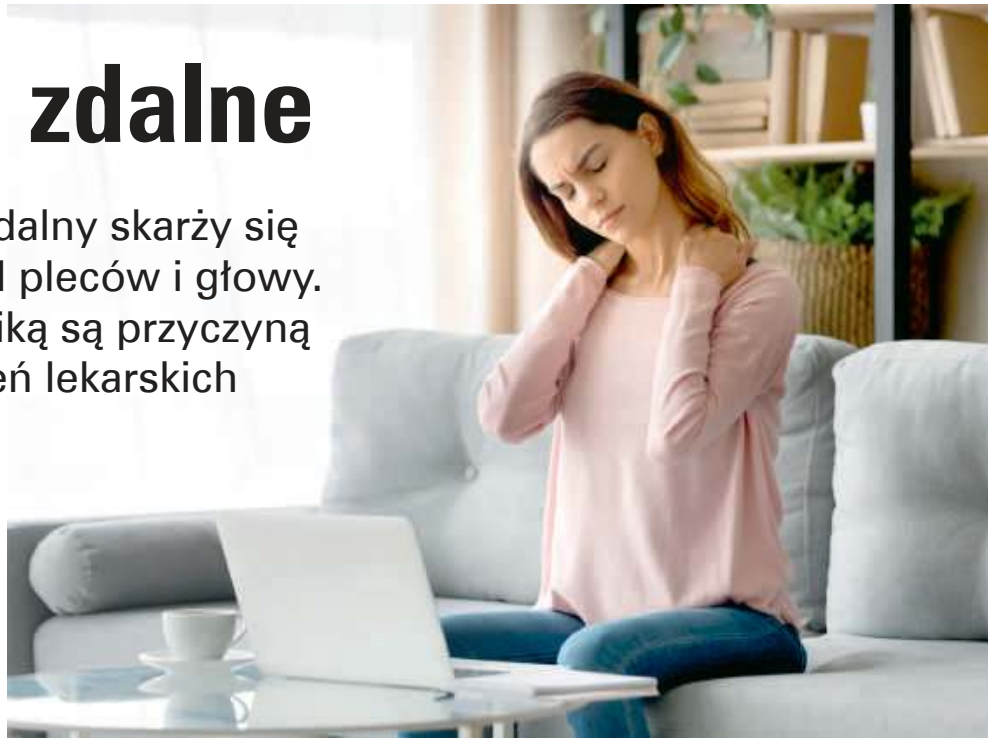

Co drugi pracownik zdalny skarży się na zmęczenie oczu, ból pleców i głowy. To i problemy z psychiką są przyczyną większości zwolnień lekarskich

Beata Igielska

Plecy przygarbione od schylania się w kierunku laptopa leżącego na blacie, oczy przekrwione od wpatrywania się w ekran, ziemista cera, opuchnięte kostki i nadgarstki – efekt złej postawy w trakcie pracy. Otyłość brzuszna – wynik braku ruchu. Ilu z nas, pracowników zdalnych, dotyczy ten opis? Co może się stać w perspektywie kilku lat, jeśli nie zmienimy nawyków?

– Mój mąż, informatyk, często pracuje w... wannie. Ja siedzę przy stole w kuchni i klepię w klawiaturę laptopa. Już dwa razy musiałam pójść na zwolnienie z powodu paraliżującego bólu szyi, powodującego sztywność górnej części pleców – opowiada Hanna z Warszawy, lat 36, pracownica banku.

Mąż Katarzyny jest nauczycielem. Uciekał pracować do łazienki – siedział z laptopem na klozecie. Mają dwoje dzieci w wieku szkolnym, a więc na zdalnej nauce, i 36-metrowe mieszkanie. Katarzyna nie znajdowała dla siebie miejsca, często przesiadywała z książką w pobliskim parku.

Moja praca dziennikarska polega na wystukiwaniu tysięcy znaków dziennie, przeczesywaniu internetu w poszukiwaniu informacji oraz przeprowadzaniu setek rozmów telefonicznych. Telefon w trybie głośnomówiącym, ja z notesem na kolanach, w pozycji pozostawiającej wiele do życzenia, bo akurat przy jednym biurku odbywają się zdalne zajęcia dla studentów, a przy drugim lekcja online syna. Mieszkanie małe. Parę razy ważne wywiady z uczonymi odbyłam, siedząc w łazience. Rozmówcy podeszli do sprawy ze zrozumieniem, zapewniając, że u nich w domu wygląda to podobnie. Nic dziwnego, że przy takim trybie pracy pojawiają się problemy psychiczne i że w Polsce pracowników zdalnych całkowicie wolnych od bólu jest ledwie 7%. To średnio dwa razy mniej niż w innych państwach europejskich.

Sami czujemy, że potrzeba nam jakościowych zmian *home office*, zwracają na to uwagę również eksperci. Inaczej nie pozbędziemy się rosnącej liczby zwolnień lekarskich. Z danych ZUS wynika, że w 2020 r. polscy pracownicy spędzili na L4 w sumie ponad 255 mln dni. I to nie przez covid. Po L4 sięgaliśmy z powodu schorzeń korzeni rdzeniowych i splotów nerwowych (ponad 1,2 mln zwolnień) oraz bólów grzbietu (ok. 982 tys. zwolnień). Tylko te dwie jednostki chorobowe przełożyły się w zeszłym roku na 23,7 mln dni absencji pracowników. To o ponad jedną czwartą więcej niż w 2019 r. Oprócz tego lekarze wydali niemal 618 tys. zwolnień covidowych. Jednak bóle kręgosłupa czy zaburzenia psychiczne to także pośrednie skutki lockdownu, zamknięcia milionów Polaków w czterech ścianach, pracy i edukacji zdalnej.

Stawy lubią ruch

– Wcale nie dziwią mnie te dane – komentuje Piotr Borek, kwalifikowany fizjoterapeuta. – Przeciążenia statyczne kręgosłupa pojawiają się ze względu na długie siedzenie przy biurku i złą postawę. Zapominamy, że stawy lubią ruch. Miałem wiele pacjentek nauczycielek. Wraz z nauką zdalną i tkwieniem w dziwnych pozycjach przed laptopem zaczęły się problemy z kręgosłupem szyjnym i barkami. Brak ruchu źle też wpływa na perystaltykę jelit, bo przy siedzeniu gorzej pracuje przepona, oddech staje się płytki i pojawiają się dolegliwości gastryczne. Nie chodzi nawet o specjalistyczne zestawy ćwiczeń. Ważne, by zgodnie z zaleceniami specjalistów od BHP wstać raz na godzinę na pięć minut od biurka, pochodzić, żeby rozruszać łydki. Dzięki temu unikniemy zastojów żylnych. Można wykonać delikatny automasaż karku, poruszać barkami. To bardzo

W najbliższej przyszłości będziemy mówić o nowych chorobach cywilizacyjnych wynikających z pracy zdalnej.

eprasa.pl 86890ebbab

ważne, bo po paru miesiącach niergonomicznej pracy przy laptopie powstaje lęk: znów muszę usiąść przy biurku, znów będzie bolało. To zjawisko tzw. centralnej sensytyzacji, nadwrażliwości na bodźce. Na sam widok biurka odczuwamy stres, a ten usztywnia mięśnie kręgosłupowe i pojawia się autentyczny ból. Brak ruchu nie jest korzystny dla żadnego z naszych układów – podsumowuje Piotr Borek.

– Najgorszym skutkiem braku ergonomicznego miejsca pracy i długotrwałego przebywania w warunkach jedynie na pozór wygodnych, bo domowych, może być pojawienie się bólu w różnych częściach ciała, głównie kręgosłupa – odcinka szyjnego czy lędźwiowego. Dobre zaplanowanie *home office* to podstawa. Zorganizowanie sobie odpowiedniej przestrzeni do ośmiogodzinnego dnia wytężonego wysiłku umysłowego to pierwszy krok do efektywnej pracy. Chodzi przede wszystkim o ergonomiczne oraz wygodne biurko i krzesło, ustawienie kąta monitora czy oświetlenie – wyjaśnia fizjoterapeuta Michał Dachowski.

Porównajmy dane rok do roku: z powodu bólu grzbietu oraz schorzeń korzeni rdzeniowych i splotów nerwowych (tzw. zapalenie korzonków) w 2019 r. wystawiono 1,85 mln zwolnień. W 2020 r. było to już przeszło 2,18 mln zwolnień. Wraz ze zwolnieniami wynikającymi ze zmian zwyrodnieniowych i innych schorzeń kręgosłupa przełożyło się to na ok. 33,75 mln dni absencji polskich pracowników. Przy założeniu, że średnia dniówka wynosi ok. 180 zł netto, straty oscylują w granicach 6 mld zł rocznie – tylko z tytułu dolegliwości związanych z bólem pleców, rąk czy nóg. Z powodu L4 w roku 2020 straty mogły sięgnąć nawet 46 mld zł!

Osoby ubezpieczone w ZUS szły na zwolnienie lekarskie także z powodu zamknięcia w domu, obaw o zdrowie swoje i najbliższych. Przyczyny zwolnienia to: reakcja na ciężki stres i zaburzenia adaptacyjne (prawie 512 tys. zwolnień, wzrost rok do roku o ponad 35%), epizod depresyjny (ok. 253 tys. zwolnień, wzrost o 24%) oraz inne zaburzenia lękowe (ok. 247 tys. zwolnień, wzrost aż o 51%). Badanie firmy Fellowes nie pozostawia złudzeń, że za pracę w domu płacimy słoną walutą – obciążeniami psychicznymi. O nawracającym zmęczeniu mówi aż 63% zapytanych pracowników zdalnych. 48% wskazuje poczucie samotności i izolacji, a 38% poczucie przytłoczenia sytuacją.

– Osoby wykonujące pracę w formie *home office* częściej odczuwają dolegliwości fizyczne i obciążenia psychiczne. Większość pracujących w domu jest aktywna zawodowo dłużej niż uprzednio w biurze. Gorzej ocenia równowagę praca-dom, swoją motywację i zaangażowanie w pracę, produktywność. Świadczy to o nasileniu zjawiska nieefektywnej obecności w pracy, które – gdy wiąże się z problemami psychicznymi – może generować wyższe koszty niż absencja. Jego źródłem są ogólne skutki pandemii (m.in. niepewność, lęk, zaburzenia aktywności i relacji społecznych, pogorszenie zdrowia) i często mała lub fasadowa troska firm o zdrowie pracowników, mimo że dostępne są proste i skuteczne metody promocji zdrowia personelu – tłumaczy dr Krzysztof Puchalski z Krajowego Centrum Promocji Zdrowia w Miejscu Pracy.

Potrzebne zmiany

Widać więc, że w najbliższej przyszłości będziemy mówić o nowych chorobach cywilizacyjnych wynikających z *home office*. Dlatego natychmiast potrzebne są zmiany.

– Eksperci w dziedzinie zdrowia od dawna ostrzegają przed negatywnymi skutkami siedzącej pracy biurowej. Biura jednak z konieczności musieliśmy przenieść do domów i mieszkań, nieprzystosowanych do wymagań pracy zdalnej. Bez pomocy pracodawców, sami musieliśmy wyposażyć domowe stanowiska, co oznaczało, że zagrożenia zostały zwielokrotnione. Stworzona na podstawie naszego badania z 2019 r. Emma, czyli model pracownika biurowego przyszłości, została postawiona przed nowym wyzwaniem – pracy w domu. Emma, podobnie jak polscy pracownicy, boryka się z wieloma dolegliwościami. Zmęczenie i przekrwienie oczu, sztywność karku, bóle pleców i głowy to tylko niektóre – mówi Iwona Zastawna, *marketing manager* w Fellowes.

W czasie pracy we własnych czterech ścianach należy również zadbać o higienę umysłu. Niestety, badanie Fellowes wskazuje, że wykonując zadania z domu, nie tylko pracujemy dłużej, ale też często towarzyszy nam poczucie, że musimy być dostępni dla współpracowników przez cały dzień. Wszystko to wpływa na zacieranie się granicy między pracą a życiem prywatnym. W czasie dnia pracy zdalnej zapominamy także o robieniu regularnych przerw, mimo że mają one zbawienny wpływ na nasze ciało i umysł.

– Przerwy w czasie *home office* są bardzo potrzebne. Zwiększają naszą produktywność, odświeżają głowę, a spędzane aktywnie – zapewniają choć odrobinę tak potrzebnego naszemu organizmowi ruchu. Myśląc o przerwie, powinniśmy mieć zaplanowane różnorodne odciążające aktywności: spacer, rolowanie czy swobodny ruch – wymienia fizjoterapeuta Michał Dachowski.

My sami, pracownicy zdalni, widzimy, że musimy coś zmienić. Inaczej zniszczymy sobie zdrowie i przestaniemy być efektywni. Aż osiem z dziesięciu zapytanych przez Fellowes osób uważa, że gdyby pracodawca zapewnił im lepsze domowe warunki pracy, byliby bardziej zmotywowani i produktywni.

b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

O nawracającym zmęczeniu mówi aż 63% pracowników, 48% o samotności i izolacji, 38% jest przytłoczonych sytuacją.

Badanie online zlecone przez Fellowes zostało przeprowadzone 10-14 listopada 2020 r. przez Atomik Research na próbie 7 tys. pracowników z siedmiu europejskich krajów, w tym 1 tys. pracowników z Polski, którzy z powodu pandemii pracowali z domu przez co najmniej cztery miesiące.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 86890ebbab

BIELIKI są trochę jak my

Wiele wskazuje, że potrafią poznać swoje dzieci, kiedy te już są dorosłe

Konrad Malec

Kilka tygodni temu prowadziłem wycieczkę przyrodniczą po rezerwacie zlokalizowanym na stawach rybnych. Blisko stawów gniazduje para bielików i liczyłem na ich pokazanie zwiedzającym oraz opowieści o tych ptakach i ich ochronie. Rzeczywistość znacznie przewyższyła oczekiwania – na miejscu zastaliśmy cztery bieliki, dwa dorosłe i dwa młode (podczas kolejnej wizyty dostrzegłem, że młode były w drugim i trzecim roku życia). W pewnym momencie zobaczyliśmy, jak jeden z dorosłych ptaków opada na rozpostartych skrzydłach, wyciąga przed siebie łapy, uderza o taflę wody i podrywa się z rybą. Nasze emocje już były podkręcone, ale moje osiągnęły ekstremum, gdy dorosły bielik rzucił zdobycz w kierunku młodziaka, który schwytał ją w locie. Koleżanka z Siedliska Leluja, która organizowała wyprawę, widząc moją reakcję, stwierdziła, że za kolejną wyprawę to ja płacę uczestnikom.

Rzecz działa się pod koniec kwietnia, kiedy przynajmniej jedno z dorosłych powinno siedzieć na jajach lub z młodymi. Gdy później konsultowałem tę obserwację z Tomkiem Przybylińskim, koordynatorem regionalnym na Łódzkie Komitetu Ochrony Orłów, zauważył, że dorosłe były najpewniej po stracie, czyli nie udało im się odchować potomstwa. Gdyby im się powiodło, jedno z rodziców, najpewniej matka, intensywnie zajmowałoby się potomstwem, ojciec zaś dostarczałby pokarm. Wprawdzie u bielików samiec bierze udział w wysiadywaniu i bezpośredniej opiece nad potomstwem, co wyróżnia te ptaki na tle części rodziny jastrzębiowatych, gdzie panowie zajmują się aprowizacją, samice zaś nie opuszczają gniazda, ale jego udział w czynnościach domowo-wychowawczych jest dość skromny. W sumie nie ma co się dziwić, większa i znacznie silniejsza samica prędzej obroni gniazdo przed potencjalnym napastnikiem.

U bielików samiec bierze udział w wysiadywaniu i bezpośredniej opiece nad potomstwem.

Wspomnianą czwórkę widzieliśmy w różnym natężeniu przez cały czas pobytu w rezerwacie. Rzecz działa się w niewielkiej odległości od gniazda i strefy ochronnej wokół niego. Chociaż bieliki słyną z dużej tolerancji na pobratymców, o ile ci nie naruszą przestrzeni w najbliższym sąsiedztwie gniazda – a osobnikom młodocianym nawet pojawienie się dość blisko gniazda może ujść płazem – dokarmianie samodzielnych już ptaków nieco mnie zaskoczyło. Tomek wysnuł przypuszczenie, że to potomkowie pary lęgowej, a rodzice, dokarmiając starsze dzieci, dawali upust niezrealizowanemu instynktowi.

– Często widuję młodociane osobniki z poprzednich lat, nawet czteroletnie, siedzące na gałęzi obok gniazda z pisklętami. Mimo zmieniającego się upierzenia bieliki rozpoznają swoje potomstwo, wiele wskazuje, że potrafią poznać swoje dzieci, kiedy te już są dorosłe – podkreślał koordynator.

Tu słowo wyjaśnienia – bieliki są trochę jak my. W przeciwieństwie do drobnych ptaków, które już w kolejnym roku po wykluciu zakładają własne rodziny, dojrzewają kilka lat. Może nie tak długo jak ludzie, trwa to zaledwie pięć-sześć lat, ale też bieliki żyją krócej. Ptak, który dożyje wieku dorosłego, może się spodziewać kolejnych 15 lat, choć nierzadkie są przypadki orłów przeszło 30-letnich. A wracając jeszcze na chwilę do życia pisklęcego, nawiążę do głośnej dyskusji, czy bieliki są orłami. Czasem odpryski tej debaty trafiają do mediów, zwykle z budzącymi śmiech przez łzy puentami. Stąd nagłówki w stylu „Bielik to bardziej sęp niż orzeł". Ja kategorię orzeł traktuję bardziej w znaczeniu kulturowym niż biologicznym, lecz jeśli mamy się trzymać ortodoksyjnego kanonu polskiej orłowatości (bo np. u naszych zachodnich i północnych, zamorskich sąsiadów bieliki są orłami morskimi), to bieliki mają nieopierzone skoki (tę część nogi przed palcami, zwykle braną za łydkę, choć

eprasa.pl 86890ebbab

jest odpowiednikiem naszego śródstopia). Ale, co istotniejsze, u orłów właściwych bardzo rzadko gniazdo opuszcza więcej niż jedno młode. Starsze pisklę zwykle zabija młodsze rodzeństwo (klujące się dwa-trzy dni później). To zjawisko nazywamy kainizmem i zdarza się ono także u bielików, ale wydaje się występować tylko w czasie niedoborów pożywienia.

Ba! Znany jest przypadek, gdy w gnieździe bielików wychował się myszołów. Po prawdzie raczej nie trafił do domostwa większych krewniaków dobrowolnie, najpewniej został porwany z rodzinnego gniazda w charakterze obiadu dla małych bielików, ale że te nie były głodne, myszakowi się upiekło. A skoro już znalazł się w gnieździe, to dostawał strawę na równi z prawowitymi mieszkańcami, aż wyrósł i odleciał, ale jego dalsze losy są nieznane. Najpewniej wraz z wylotem zakończył się jego fart, młode ptaki szponiaste potrzebują opieki i nauki po wylocie z gniazda, a jego nastąpił dużo wcześniej, niż dorosły do tego bieliki. Zresztą nawet gdyby przybrani rodzice zajęli się edukacją młodego myszaka, nie na wiele by się ona zdała, bo myszołowy łowią gryzonie i inne drobne zwierzęta, na które z najwyższą niechęcią polują największe polskie drapole.

Skoro już poruszyłem temat kulinariów, warto wspomnieć, że nasz symbol narodowy jest generalistą pokarmowym. Pisząc po ludzku, je wszystko, co uda mu się schwytać. Albo znaleźć. Albo zrabować. Nasz narodowy symbol nie tylko poluje, ale też żywi się padliną, szczególnie zimą (jedna trzecia pożywienia o tej porze roku jest martwa, nim bielik rozpoczyna posiłek). Zdarza mu się także napastować inne ptaki, np. czaple, kormorany czy rybołowy, by te oddały mu świeżo złapaną rybę. Ryby są również bardzo ważnym elementem zdobyczy własnych, w zależności od pory roku i warunków lokalnych mogą stanowić 40-70% pożywienia. Inną częstą ofiarą są łyski i kaczki nurkujące, zwane grążycami. Bieliki rzadko polują na ssaki lądowe, ale i to ma miejsce. Ich ofiarą padają lisy, zające i inne zwierzęta tej wielkości. Zwykle stanowią kilka procent pożywienia, ale pewna para w Szkocji, zamieszkała na terenie niezbyt zasobnym w jeziora i z dala od wybrzeża, gdzie na ogół żyją bieliki, w 70% żywiła się królikami. To pokazuje, jak elastyczny jest ten ptak.

Wracając do posilania się padliną – bieliki często żywią się postrzałkami, czyli rannymi zwierzętami, którym udało się ujść z życiem spod lufy myśliwych, ale wyzionęły ducha nieco później. Względnie zostały dobite przez bieliki. Niestety, przy okazji takiego posiłku ptaki zatruwają się ołowiem i giną, bo myśliwi sprzeciwiają się zakazowi używania ołowianej amunicji. Ołowiem zatruwają się też, zjadając ptaki chore na ołowicę po połknięciu ciężarków wędkarskich. Tu nawet nie zajaśniał postulat, by ciężarki ołowiane zastąpić mniej szkodliwymi dla środowiska, a wędkarze podczas połowów sporo ich tracą. Poza tym ptaki trują się, zjadając zwierzęta, które wcześniej zostały celowo lub przypadkiem otrute. Warto tu wspomnieć, że wystawianie zatrutej padliny, której ofiarą mają paść lisy czy wilki, jest przestępstwem, choć polskie sądy dla tego formatu kryminalistów są bardzo wyrozumiałe, jeśli nie ucierpi człowiek lub jeśli nie rozpęta się burza medialna.

W przeciwieństwie do drobnych ptaków bieliki dojrzewają kilka lat.

Ołów niestety trafia do bielików również bezpośrednio. Sprawców strzelania do nich trudno wykryć, głównymi podejrzanymi są myśliwi i właściciele stawów rybnych. Ci drudzy mają prawo w pewnych okresach strzelać do czapli siwych i kormoranów na własnych stawach, ale nadużywają go i prują do rybołowów, bielików i innych. Myśliwi zaś nadal często traktują bieliki jako konkurentów, których się pozbywają. Wprawdzie proceder ten jest coraz rzadszy, niemniej jednak ma miejsce nieprzerwanie od wieku XIX. Wówczas w zaborze rosyjskim za ubitego orła można było otrzymać trzy ruble, a to była pokaźna kwota. Nadmieńmy, że przy słabej znajomości ptaków i znacznej dozie łapówkarstwa za dowód zabicia orła uznawano łapki ptaków niezaopatrzonych w szpony, np. dzięciole bądź czaple. Podobne premie za odstrzał drapieżnych szkodników wypłacano w całej Europie, choć zapewne nie wszędzie w tej kategorii mieściły się dzięcioły (te podlegały tępieniu w Prusach, z racji niszczenia surowca drzewnego).

Myślenie o ptakach drapieżnych jako szkodnikach było powszechne w XIX stuleciu, a motywacji do tego nierzadko dostarczały przesądy, poparte autorytetem naukowym. Nieco na usprawiedliwienie wspomnę, że ówczesne metody badawcze nie zawsze pozwalały na precyzyjne określenie, co ptaki jedzą i ile czego zabijają. W latach 60. XIX w. niemiecki zoolog Alfred Brehm w monumentalnym dziele „Życie zwierząt", opisując ilość dostarczanego pisklętom pożywienia, określił gniazdo bielików mianem składu rzeźniczego. Nawet piszący w tym samym czasie polski zoolog Władysław Taczanowski, jeden z pierwszych, jeśli nie pierwszy na świecie, który ujął się za drapolami, w „O ptakach drapieżnych w Królestwie Polskim pod względem wpływu, jaki wywierają na gospodarstwo ogólne", stwierdzał: „Ponieważ żywi się samą grubą zwierzyną, rybami

Ryby są bardzo ważną zdobyczą bielika i mogą stanowić 40-70% pożywienia.

FOT. RENATA I MAREK KOSIŃSCY/FORUM, ADRIAN ŚLĄZOK/REPORTER

eprasa.pl 86890ebbab

i drobiem, znaczne szkody wyrządza, a żadnych pożytków nie przynosi, może zatem zasługiwać na tępienie". Zaraz jednak dodawał: „Lecz że nie jest pospolitym, ogół szkód jest małoznaczącym, nie warto zatem dlatego nastawać na zagładę zupełną tak pięknego i wspaniałego ptaka". Mimo tego światłego apelu w „Spisie ptaków Królestwa Polskiego, obserwowanych w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu", wydanym w 1888 r., ten sam autor zanotował: „Obecnie nie mogę wskazać żadnych miejsc lęgowych i przybliżonej liczby gniazd, jakie się jeszcze znajdują w kraju". Stało się tak za sprawą odstrzału i wycinki lasów. Na wszelki wypadek zaznaczę, że chodzi o granice Kongresówki, nie zaś o przedrozbiorowe czy obecne.

Plusem nauki jest to, że jest zdolna do autokorekty. Już w okresie międzywojennym Jan Sokołowski, najpiękniej piszący o ptakach ornitolog, stawał w obronie wszystkich drapieżników. On też obalał mity o rzeźniczych jatkach w ich gniazdach. O gnieździe bielika w „Ptakach ziem polskich", wydanych w 1958 r., pisał: „Czystość w gnieździe jest wzorowa i nie ma na nim porzuconych szczątków zdobyczy, które taką odrazą napełniały fantazję dawnych autorów". Pod ochronę bielik trafił dopiero w 1952 r. Nim to nastąpiło, w 1947 i 1948 r. zabito minimum siedem ptaków, przy liczebności nie przekraczającej według Sokołowskiego 20 par (inne dane sugerują nawet 50 par). Po ustanowieniu ochrony populacja stopniowo się odbudowywała i na przełomie lat 60. i 70. szacowano ją na ok. 100 par. Później jednak załamała się na skutek stosowania insektycydu zwanego DDT i jego pochodnych. Rzecz jasna, nie ustawały inne formy prześladowań i w 1974 r. na łamach „Chrońmy Przyrodę Ojczystą" Bogdan Jakuczun pomstował na zastrzelenie bielika rok wcześniej. Gdy zakazano stosowania DDT, populacja zaczęła się odbudowywać.

Nasz symbol narodowy jest generalistą pokarmowym, czyli je wszystko, co uda mu się schwytać.

Dodatkowym wzmocnieniem było ustanowienie ochrony strefowej w 1983 r., polegającej na zakazie prowadzenia wszelkiej działalności wokół gniazda, z podziałem na strefę całoroczną i na czas opieki nad potomstwem. Warto zaznaczyć, że Polska była jednym z pierwszych krajów na świecie, które wprowadziły tę formę ochrony, początkowo dla 10 najrzadszych ptaków, obecnie także dla innych zwierząt, roślin i grzybów. Dzięki tym zabiegom w 1990 r. udało się osiągnąć poziom ok. 300 par. Obecnie ptaki te odzyskały dawną liczebność i terytoria, szacuje się, że jest ich 1,3-1,9 tys. par. Zdarza się, że ptaki gniazdują w miejscach, które dawniej nikomu nie przyszłyby do głowy, np. w śródpolnych olsach. Coraz częściej widywane są dorosłe osobniki, które nie mają pary, ponieważ nie mogą znaleźć terytorium. Znany jest też przynajmniej jeden przypadek, gdy na skutek próby przejęcia terytorium doszło do bratobójczych walk, których ofiarą były trzy dorosłe ptaki.

Nie oznacza to, że zniknęły wszelkie zagrożenia dla największych drapoli w Polsce. Zagrażają im, poza już wymienionymi niebezpieczeństwami, np. linie energetyczne, o które ptaki się rozbijają, słupy do tychże linii, na których bieliki czatują na zdobycz, co niekiedy kończy się porażeniem prądem. Bywa, że ptaki zderzają się ze śmigłami elektrowni wiatrowych lub tracą energię na omijanie farm wiatraków między gniazdem a terenami łowieckimi.

Poważne problemy niesie turystyka i rekreacja, zajmująca wszelkie brzegi rzek, jezior i morza, a to ulubione miejsca bielików. Ludzie poruszający się po lesie nie przestrzegają zakazów przebywania w strefach ochronnych, dotyczy to szczególnie coraz modniejszych sposobów spędzania czasu w lesie, takich jak *bushcraft*, którego ideą jest zbliżanie ludzi do natury. Intensyfikująca się gospodarka leśna pozbawia lasy starych drzew, na których bieliki zakładają gniazda, choć na drugą nóżkę warto zaznaczyć, że właściwie wszystkie strefy ochronne powstały dzięki współpracy ornitologów i leśników. Chociaż według „Czerwonej listy ptaków Polski" (PRZEGLĄD nr 20/2021) niedawno bielik znalazł się wśród gatunków mniejszej troski, nie znaczy to, że tak już pozostanie. Planowane przez rząd użeglownienie rzek, rodem z minionej epoki, źle wróży na przyszłość. Narew, nad którą mieszkam, ma być nową wodną autostradą, którą spragnieni wypoczynku warszawiacy podążą na Mazury. To może oznaczać, że niebawem już nie ujrzę umykających kaczek, za którymi podąża bielik.

Konrad Malec

ALARM! Morelka i maleńki Marcelek idą na rzeź

Wyślij SMS o treści RATUNEK pod numer 7412 i pobierz tapetę
(koszt 4,92 zł z VAT)

Wiesz, jak wygląda rozpacz? Widziałam ją nie raz. Utkana z żalu, strachu i samotności bierze w swoje objęcia konie skazane na rzeź. Czai się w handlarskich oborach, rzeźnickich ciężarówkach i uboojniach.

Najpierw zalewa je obezwładniający strach – one zawsze czują zbliżający się koniec. Potem przychodzi żal za zmarnowanym życiem. Na końcu pojawia się samotność, bo tam, gdzie muszą iść, są same. Samotność towarzyszy im do końca. Samego końca. Bo rzeźnicki nóż zagłusza ich krzyk pojedynczo, i tylko następny w kolejce usłyszy, jak rozpaczliwie wołają do ostatniego tchu o pomoc, która nigdy nie nadchodzi.

Widziałam rozpacz nie raz. Ale nie wiem, która jest bardziej wstrząsająca. Czy to histeria i przerażenie maleńkiego dziecka siłą zabranego od mamy, które długo walczy, by do niej wrócić? I nie rozumie jeszcze, że choć dopiero zaczęło się życie, to już nadchodzi jego kres. Czy to rezygnacja i świadomość tych, które wiedzą, że zostanie zabite ich dziecko, a nie mogą tego zmienić? Końskie matki zapadają się we własne cierpienie, nie reagując już na nic. One przegrały wszystko. Utrata ukochanego maleństwa przyćmiewa nawet strach przed rzeźnią.

Dwie stęchłe komórki, jeden skup koni i rozpacz niosąca się żałosnym rzeniem po podwórku. Ale co niesie się tutaj, tu na zawsze pozostaje. Nie usłyszysz więc, jak bardzo Morelka płacze za swoim Marcelkiem, nie ścisnie Ci gardła żal, nie napłyną też łzy pod powieki, bo nie będziesz widział szamoczącego się kilkumiesięcznego Marcelka zabranego od ukochanej Morelki. Dwa konie, jedna tragedia, wyrok ten sam. Rzeźnia.

Morelka to starszy koń. Nie ma siły chodzić na swoich zdeformowanych ochwatem kopytach. Każdy krok to dla niej ogromne cierpienie. Gdy przyjechaliśmy, stała uchnięta z tyłu za dużymi końmi. Tępym wzrokiem wpatrzona w ścianę, ożywiała się tylko, gdy słyszała wołanie Marcelka. On stał w komórce obok. Z rzeźnickim sznurem na głowie, szarpał się i wspinał, nadaremno szukając drogi do Morelki. W oborze handlarza ludzie o amputowanym sumieniu rozdzielają matki z dziećmi, rozdzielają te, które od zawsze były ze sobą. Rozdzielają, bo mogą.

Handlarz mówi, że kupił je razem na targu. Stały wtulone w siebie, z przerażeniem patrząc, jak kolejne konie ładowane są do samochodu. Wziął, bo nie były drogie. Wziął, bo na ich zabiciu może zarobić. Dziś drwi z nas, że chcemy te, których nikt inny nie chciał.

Uprosiliśmy handlarza, by trzymał je razem. Wybłagaliśmy, by zdjął Marcelkowi rzeźnicki sznur z małej głowy. Teraz ośmielamy się prosić Was o życie dla nich. Jeśli Marcelek i Morelka mają żyć, musimy zebrać aż 3400 zł – tyle kosztuje ich życie i transport. Mamy tylko kilka dni na ratunek, 10 czerwca minie termin spłaty.

Błagamy Was z całego serca, pomóżcie, bo bez Waszego wsparcia nie damy rady.

Możesz im pomóc dokonując darowizny z tytułem MORELKA I MARCELEK na konto: PKO BP 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350

ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488
www.centaurus.org.pl

CENTAURUS

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze
Regulamin: https://centaurus.org.pl/rklamy/

eprasa.pl 86890ebbab

Oni się śmieją, a śmiesznie nie jest

Są sprawy, w które trudno uwierzyć. Chociażby taka: Polska za miliard złotych kupiła 24 drony od Turcji. Jak bogaty szejk – zobaczył coś na wystawie, spodobało mu się, to kupił… Od Erdoğana.
Dlatego na marginesie warto wspomnieć, że w tym samym czasie, kiedy Duda ściskał się z prezydentem Erdoğanem i wpychał mu polskie pieniądze, Turcy storpedowali wszystkie ostrzejsze akcenty w rezolucji NATO w sprawie uprowadzenia samolotu do Mińska.

Warto też wiedzieć, że podczas wizyty Andrzeja Dudy miały zostać podpisane również inne umowy, dla Polski korzystne. Ale ich nie „skonsumowano", a była to m.in. umowa o współpracy w dziedzinie rolnictwa.

Skąd ta niefrasobliwość i nieporadność? Można rzec, że to także efekt braku jakiegokolwiek systemu wsparcia naszego eksportu. Ów system został rozmontowany w latach 2017-2018 za sprawą zamknięcia wydziałów promocji handlu i inwestycji ambasad (podlegały one resortowi gospodarki/rozwoju) i dobity w 2020 r. likwidacją wydziałów ekonomicznych w prawie wszystkich ambasadach. Przeprowadził to były dyrektor generalny Andrzej Papierz, a kibicował mu dzielnie wiceminister Paweł Jabłoński, odpowiedzialny za współpracę gospodarczą.

Tak to jest, gdy rządzą dyletanci. Paweł Jabłoński, zanim trafił do MSZ, nie zajmował się ani dyplomacją, ani sprawami gospodarczymi. W MSZ został podsekretarzem stanu ds. współpracy ekonomicznej, rozwojowej oraz polityki afrykańskiej i bliskowschodniej. I co? I nic. To przecież nie ma specjalnego znaczenia, do spraw czego zostałby podsekretarzem stanu, bo i tak na niczym się nie zna. Wystarczy zresztą zerknąć na jego aktywność w dziedzinie mu podlegającej, czyli współpracy gospodarczej – nie jest ona, by ująć to delikatnie, oszałamiająca. Jabłoński nie był w stanie podczas ostatniej wizyty prezydenta w Turcji wcisnąć do programu żadnej imprezy promującej polski eksport. Trudno też doszukać się działań MSZ w zakresie promowania polskiej gospodarki.

Za to wiceminister Jabłoński chętnie biega do mediów, by wymyślać tym, których nie lubi. Wygłasza poza tym banały w sprawach konsularnych, o polityce wschodniej i europejskiej. Irytuje to jego kolegów sekretarzy czy podsekretarzy stanu, odpowiedzialnych za te problemy, ale muszą robić dobrą minę do złej gry, bo „na władzę nie poradzę".

O tym, jak śmieszny może być dyletant na zbyt wysokim stanowisku, świadczy zresztą historia Moniki Zuchniak-Pazdan. Przez lata pracowała ona w konsulatach – jak sama mówi, zajmowała się pomaganiem Polakom w kłopotach. A to ktoś zgubił paszport, albo sam się zgubił, a wycieczka odjechała, itd. Potem trafiła pod opiekę Andrzeja Papierza, była dyrektorem Biura Dyrektora Generalnego. No i z tej pozycji pojechała do Albanii na stanowisko ambasadora. I tak o tym opowiadała „Dobremu Tygodniowi Sądeckiemu":

„– Albania jest pani znana z wyjazdów turystycznych?

– Może to wydać się dziwne, ale nawet turystycznie w Albanii nie byłam. To mój pierwszy prawdziwy kontakt z tym krajem. Mówię prawdziwy, bo Albanię znam na tyle, na ile każdy pracownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych zna przeróżne kraje świata.

– Czyli teoria?

– W gruncie rzeczy teoria. Praktyka zaczyna się po objęciu placówki. W MSZ tak jest, nie my wybieramy kraj, to potrzeby służby zagranicznej w danym kraju wybierają nas (śmiech)".

My też się śmiejemy. Ale przez łzy.

Attaché

Belgijskie opactwo Grimbergen po ponad 200 latach wraca do piwowarstwa – o. Karel Stautemas i opat Erik wznoszą toast po poświęceniu zbiorników z piwem.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 86890ebbab

JOLKA

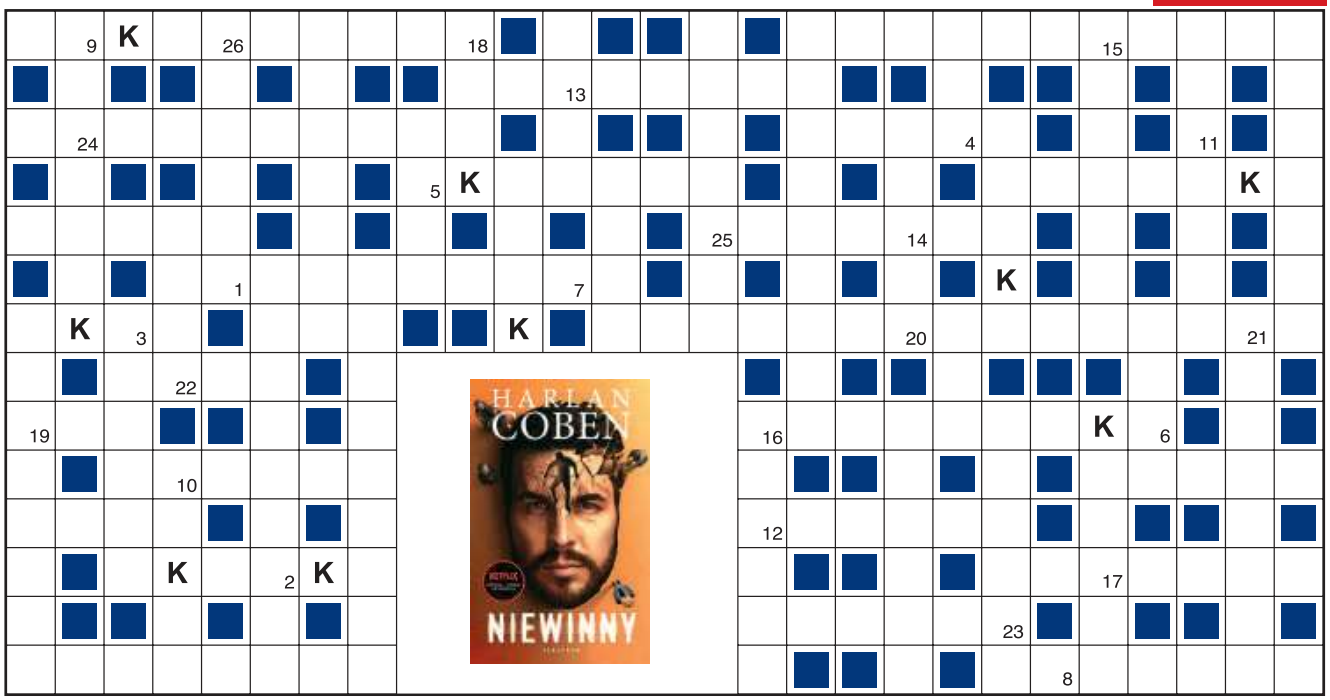

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą końcowe hasło.

- niesforna Dziewanowska z komedii z 1936 r.
- …Gorman, poetka z zaprzysiężenia Bidena
- beczułka na piwo
- muszkieter, który planował karierę kościelną
- na Pearl Harbor 7 grudnia 1941 r.
- przestarzale o uwodzicielce, kokietce
- Ewa – piosenkarka, Józef – generał
- uczucie strachu, a boża to pobożność
- zaciągnięte trzeba spłacić
- imię w tytule piosenki Chłopców z Placu Broni
- o tym bogu mowa w „Uczcie" Platona
- szlacheckie w tytule powieści Turgieniewa
- w kawiarniany jak tornado jazz się wdarł
- składana na tarlisku
- Romanum lub osmańskie
- …Komarenko, też bez sukcesu w Eurowizji
- z pustymi plażami w piosence Ireny Santor
- w niej żwirek dla kota
- zdobywca nagrody, zwycięzca konkursu
- lodowiec kontynentalny
- imię autora „Kordiana i chama"
- pojemnik na naboje do ręcznej broni palnej
- piłkarz Diego
- ansa, uprzedzenie do kogoś
- niedostatek czegoś, deficyt
- coś nie do zrealizowania, niemożliwość
- nagi na plaży
- Tumski lub Mazowiecka
- bada historię życia na Ziemi na podstawie skamielin
- handlowanie kradzionym
- kod do komórki lub bankomatu
- Święte, klinowe albo techniczne
- słowo wstępne
- imię piosenkarki Rolskiej
- brak np. trefli w ręku brydżysty
- dawny worek podróżny
- krótka łopata
- następstwa jakiegoś działania
- ich młode karmią się mlekiem matki
- szeroki, okiem nawet sokolim go nie zmierzysz
- opiekuje się pasażerami podczas lotu
- chroni szyję i ramiona przed chłodem
- emocjonalny – aby kogoś zmanipulować
- wyrób włókienniczy, materiał
- bolec, pręt do osadzania czegoś
- odzież, strój
- „…krokodyli" Schulza
- syn i małżonek Gai
- wędrówka bez określonego celu
- kooperacja, funkcjonowanie razem
- pipetka
- rezerwa lub element wymienny
- Polski Walczącej – w kształcie kotwicy
- wypływ wód podziemnych na powierzchnię

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1016". Do rozlosowania książki „Niewinny" ufundowane przez Wydawnictwo Albatros. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 13 czerwca 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1013" z nr. 21: *Można tęsknić, będąc blisko.*
Nagrody otrzymują: Krystyna Preszczyńska z Wrocławia, Andrzej Sokolnicki z Głogowa, Joanna Wojewoda z Krosna.

eprasa.pl 86890ebbab

PENETRACJE

EWA DĄBROWSKA-SZULC, PRZEWODNICZĄCA STOWARZYSZENIA PRO FEMINA

Polskie feministki celebrytki nie mówią o tym, że w PRL kobiety rodziły, bo chciały, a nie musiały, gdyż źle jest notowane pozytywne wypowiadanie się o minionym ustroju. Kto docenia reformę rolną, walkę z bezrobociem, analfabetyzmem, gruźlicą? Czy chociażby akcję „Tysiąc szkół na tysiąclecie"? Nie znam takich głosów. Prowadzona przez obecny rząd polityka historyczna wyklucza je. Mieszkanki krajów zachodnich przypływały promami do miast nadbałtyckich i tam korzystały z usług polskich ginekologów, którzy uskrobali sobie niezłe fortunki. Obecnie to obywatelki IV czy V Rzeczypospolitej Polskiej uprawiają migrację aborcyjną do wszystkich krajów sąsiedzkich.

DR HAB. URSZULA ZAJĄCZKOWSKA, BOTANICZKA

Las uczy nas, że my sami jesteśmy piękni, bo pochodzimy z przyrody, z tego lasu, ze stepu sprzed tysięcy lat. Należymy do siebie. Ja jestem tym, czym jesteś ty – sosno, łodygo czeremchy o wielkim apetycie na życie. Swoją drogą, wielu nienawidzi czeremchy, bo jest obcym gatunkiem, a przecież jej owoce są pożywieniem dla ptaków, nadają się na soki i nalewki. Mamy problem, by to wszystko uznać za swoje dziedzictwo. A przecież jesteśmy całkowicie zanurzeni w przyrodzie. Przyroda i ja to nie są odrębne byty, ale „my". Gdy to sobie uzmysłowimy, przestaniemy ją niszczyć.

DOROTA SEGDA, REKTORKA AKADEMII SZTUK TEATRALNYCH

Obecna rewolucja, która dokonuje się w szkołach teatralnych, jak każda – potrzebuje krwi, ofiar i czarownic. Ale trzeba wyważyć racje, żeby nie wylać dziecka z kąpielą. Granica bywa cienka, nie każde zadanie, które student odczuwa jako niekomfortowe, to łamanie kręgosłupa. Nie każda krytyka jest mobbingiem. Ważne, by akcja przeciwstawiania się przemocy nie zmieniła się w polowanie na czarownice.

OLGA BOŃCZYK, AKTORKA

Mama świetnie gotowała, uwielbiałam jej rosół, pierogi ruskie czy mistrzowską zupę koperkową. Pamiętam, że kiedy wpadałam, jak to nastolatka, na pomysł, że będę się odchudzać, mama przygotowywała specjalnie swoje genialne ruskie pierogi i mówiła: „Tak mi szkoda, córeczko, że jesteś na diecie i nie możesz zjeść". Miała wtedy 100% pewności, że wcześniej czy później wpadnę do kuchni i rzucę się na ten przysmak! Zwykle nie trwało to dłużej niż 20 minut. Ruskie to bez wątpienia smak dzieciństwa!

Hawański miłośnik gołębi Yonisbel Santana.

FOT. REUTERS/FORUM

Aby język giętki…

MARTA LIPIŃSKA O WŁADZY
Boję się władzy, która nie chodzi do teatrów, nie widać jej w księgarni ani w filharmonii.

DANIEL PASSENT O JOEM BIDENIE
Pełni urząd zaledwie od kilku miesięcy i jeszcze się nie zorientował, jak ważnym sojusznikiem USA jest Polska.

PIOTR GADZINOWSKI O JACKU I MICHALE KARNOWSKICH
Mistrzowie dziennikarstwa wazeliniarskiego. Wiernie, choć na kolanach, rejestrują strumienie myśli Kaczyńskiego.

STANISŁAW TYM O WYWIADZIE BORYSA BUDKI
Pokazuje się jako malutki, zakurzony krasnoludek, który bardzo dużo mógłby zrobić, ale nic nie może.

MARTA MANOWSKA O SOBIE
Jestem trochę kobietą w garniturze. Raczej silną, niezależną. W związku potrzebuję wolności, czasu dla siebie.

MAŁGORZATA FOREMNIAK O RELACJACH
Gdy chcemy, by ktoś nas zrozumiał, trzeba najpierw zrozumieć samego siebie.

JÓZEF WILKOŃ O KOTACH
Lubię je, są dziwne. Psia miłość jest oczywista, oddana. Miłość kocia – bardziej osobista.

HENRYK SAWKA O ŻONIE EWIE
Wszystkie moje rysunki konsultuję z żoną, ona jest ich pierwszą recenzentką.

EWA SAWKA O MĘŻU HENRYKU
W drobnych sporach jest trudnym przeciwnikiem, bo pamięta wszystko, jest błyskotliwy, skuteczny, dlatego trudno z nim wygrać.

WOJCIECH MALAJKAT O RODZICACH
Rodzice spotkali się w Mrągowie. Mama przyjechała z Kurpiów, ojciec jest Niemcem. Krawcowa i stolarz.

FLAVIA BORAWSKA O NAJLEPSZYCH MAKARONACH
Okolice Bolonii i Modeny, skąd pochodzą tortellini czy tortelloni, to mekka, jeśli chodzi o makarony we Włoszech.

eprasa.pl 86890ebbab

Jak dać, żeby nie dać

Koncern Amazon ogłosił program poprawy dobrostanu personelu, w ramach którego m.in. wyposaży swoje magazyny w kabiny pomagające pracownikom się uspokoić. Wewnątrz „budki zen" można posiedzieć w otoczeniu roślin, skorzystać z komputera i obejrzeć „filmy rozwijające umysł". – To interaktywny kiosk, w którym możesz eksplorować bibliotekę zdrowia psychicznego – tłumaczy pomysłodawczyni, Leila Brown. Pozostałe dobrodziejstwa zapowiedziane przez pracodawcę to np. wspomaganie zdrowego odżywiania oraz zajęcia fizyczne i umysłowe polepszające samopoczucie. O podwyżkach nie słychać, pewnie są za mało zen.

Ale głos – majątek!

Kalifornijska firma Veritone oferuje zabieganym, a pazernym celebrytom usługę… klonowania głosu. Prezes firmy wyjaśnia, że aktorzy czy sportowcy chcieliby m.in. nagrywać więcej reklam, ale „nie mają wystarczająco dużo czasu, by wejść do studia i wyprodukować *content*". Z pomocą przychodzą im algorytmy tzw. uczenia maszynowego, dzięki którym spółka jest w stanie odtworzyć głos na podstawie dostarczonych próbek. Po sklonowaniu może on być wykorzystywany nie tylko do reklam, ale choćby do audiobooków czy nawet dubbingu. A wtedy hasło „Krystyna Czubówna jest jedna!" może stracić aktualność.

Gdy cię ciśnie w „pocisku"…

W Japonii minutowe spóźnienie superszybkiego pociągu spowodowało wszczęcie dochodzenia, które wykazało niedozwolone skorzystanie z toalety. Maszynista przyznał się, że gdy poczuł ból brzucha, przekazał konduktorowi kontrolę nad maszyną, pędzącą z prędkością 150 km na godzinę, i na trzy minuty zniknął w ustępie. – Nowoczesne pociągi „pociski" są ściśle kontrolowane przez system centralnego sterowania, ale maszyniści są zobowiązani do pozostawania na miejscu, aby reagować na nieoczekiwane sytuacje – wyjaśnił rzecznik przewoźnika. No przecież zareagował!

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Cel, jedz, ognia!

Jeszcze poważniejszego nadużycia dopuścił się kanadyjski artylerzysta, który podał nieświadomym kolegom z jednostki babeczki z marihuaną. Poczęstowani żołnierze doświadczyli ataków zmęczenia, dezorientacji, a nawet paranoi, co uniemożliwiło kilku prawidłowe obchodzenie się z bronią i materiałami wybuchowymi podczas ćwiczeń. Mężczyźnie postawiono 18 zarzutów, dotyczących m.in. podania szkodliwej substancji i zachowania się w sposób haniebny. Okoliczność łagodząca jest jedna: oskarżony potrafi się dzielić.

Nienawiść w mleku matki

Urodzony w Wielkiej Brytanii były islamski ekstremista złożył na policji doniesienie w sprawie rodziców, których oskarża o nauczenie go nienawiści do Zachodu. 29-letni niedoszły terrorysta miał być radykalizowany przez pakistańską rodzinę już od piątego roku życia. Wypomina jej zmuszanie do udziału w sesjach prowadzonych przez kaznodzieję Al-Kaidy, Anwara al-Awlakiego. Jeśli doniesienie zaowocuje postawieniem formalnych zarzutów, będzie to pierwsza tego typu sprawa na Wyspach.

eprasa.pl 86890ebbab

Tancerki z Narodowego Baletu Angielskiego podczas próby generalnej i rosyjskie pływaczki na europejskich mistrzostwach w Budapeszcie.

Wielki Brat Urzędnik

Wyszło na jaw, że co szósta gmina w Holandii szpieguje mieszkańców za pośrednictwem Twittera i Facebooka. Urzędnicy zakładają lipne profile, żeby dowiedzieć się, czy obywatele nie planują nielegalnych zgromadzeń, wyśledzić miejsca spotkań chuliganów, wyłapywać osoby pobierające nienależne świadczenia socjalne itd. – Szpiegowanie obywateli pod fałszywym nazwiskiem, gromadzenie danych osobowych i wchodzenie na prywatne grupy to naruszenie praw obywatelskich – skomentował prof. Bart Custers, prawnik z Uniwersytetu w Lejdzie. A już najgorzej, gdy samorządowiec nie zostawi nawet lajka…

Miesiąc miodowy na odwrót

Po tym jak w Chinach wprowadzono obowiązkowy „okres ochłonięcia" dla małżeństw, które chcą się rozstać, liczba rozwodów spadła tam o 72%. Zgodnie z nowym prawem takie pary muszą odczekać 30 dni na potwierdzenie złożonego wniosku, który w tym czasie mogą jeszcze wycofać. Wspomniany przepis to odpowiedź władz na szybko rosnącą liczbę rozwodów, ale daleko mu do dwóch metod o stuprocentowej skuteczności, jakimi są: nieżenienie się i niewychodzenie za mąż.

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA, AMEM, Z ANTONIM, REUTERS/FORUM, AFP/EAST NEWS

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Paula Leśniewska, Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 86890ebbab

Etno Beaty Bojdy

„Etno" jest autorskim projektem Beaty Bojdy. Makijażystka i projektantka konsekwentnie sięga po rękodzieło ludowe – inspiracją do cyklu portretów były tzw. pająki wykonane z papierowych kwiatów. Bibułkarstwo rozwinęło się w Polsce na przełomie XIX i XX w., głównie na wsiach podkarpackich, małopolskich i opoczyńskich. Takich kwiatów używano kiedyś do zdobienia ram świętych obrazów, przydomowych kapliczek oraz kobiecych nakryć głowy z okazji świąt lub uroczystości, np. zaślubin. Dlatego zwieńczeniem cyklu są panny młode w koronach z białych i pistacjowych piwonii, róż i pereł. Wszystkie wieńce i korony zostały wykonane ręcznie tradycyjną metodą. Piękno tych zdjęć jest zasługą oryginalnych makijaży, zaprojektowanych przez artystkę tkanin i kostiumów oraz etnicznej biżuterii, zarówno autorstwa Beaty Bojdy, jak i pochodzącej ze świata.

Muzeum im. o. Emila Drobnego
Rybnik, Rynek 18
do 31 lipca

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 86890ebbab

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca

Jądro ciemności

premiera: 18.06.2021
kolejne przedstawienia:
19, 20, 22, 23.06

Joseph Conrad
Czachor, Czerkaszyna, Góo Bâ, Heydel, Łysak, Rakowski, Rumas, Sobiszewski, Sosulski, Stoczyński, Strycharski, Sztarbowski

„Mroczne i skandaliczne arcydzieło" – tak określane bywa *Jądro ciemności* Conrada. Rejs z Europy w głąb afrykańskiej rzeki Kongo to jednocześnie podróż w głąb europejskiej przemocy. Chcemy zabrać widzów w teatralno-dźwiękową podróż do jądra ciemności, by z dzisiejszej perspektywy opowiedzieć o kompromitacji oświeceniowego projektu.

Patroni medialni

wyborcza · wyborcza.pl WARSZAWA · co jest grane 24 · Przegląd

www.powszechny.com

TEATR CAPITOL

WRACAMY DO GRY!

Zapraszamy na sztuki z naszego repertuaru!

NAJLEPSZE KOMEDIE ◆ PIKANTNE FARSY ◆ GWIAZDORSKIE OBSADY

FUNDUSZ WSPARCIA KULTURY

GRAMY BEZPIECZNIE

• KUP BILET • www.teatrcapitol.pl

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 86890ebbab